

Kierunek:

krajobraz

parków krajobrazowych Wielkopolski

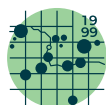
Zadanie dofinansowano z Wielkopolskiego Regionalnego Programu Operacyjnego na lata 2014-2020, Oś Priorytetowa 4 „Środowisko”, Działanie 4.5 „Ochrona przyrody”, Poddziałanie 4.5.4. „Edukacja ekologiczna”. Tytuł projektu: „Edukacja ekologiczna mieszkańców województwa wielkopolskiego na rzecz zrównoważonego rozwoju”.



Wydawca

Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego

ul. Piekary 17
61-823 Poznań
www.zpkww.pl



**Zespół Parków
Krajobrazowych**
Województwa Wielkopolskiego

Realizacja

Smartlink sp. z o.o.

ul. Wieniawskiego 5/9
61-712 Poznań
www.smartlink.pl

Teksty: Agata Rokita (rozdz. I; II; III: s. 86-89, 94-97, 106-109, 118-121; IV: 128-131),
Marek Rokita (rozdz. III: s. 82-85, 90-93, 98-105, 110-117; IV: s. 124-127, 132-163)

Redakcja i koordynacja prac: Agata Rokita

Konsultacja merytoryczna: Rafał Śniegocki, Daniel Lisek, Kornelia Kniola, Michał Białek,
Artur Golis, Artur Grześkowiak, Łukasz Ławrysz, Jan Kaczmarek

Projekt graficzny i skład: Maciej Pachowicz

Zdjęcie na okładce: Paweł Młodkowski / pawelmłodkowski.pl

Zdjęcia: Maciej Pachowicz (s. 6, 8-9, 11, 14-16, 50-54, 62-63, 65, 78, 97, 108, 111-112, 119-120, 129, 136, 138, 148-149, 151), Chroma Stock (s. 10, 31, 35, 49, 67, 77, 116, 124), Paweł Czapczyk (s. 20, 29, 37, 66, 87), Artur Golis/ZPKWW (s. 57-58, 72-73, 107, 113), Cezary Korkosz (s. 13, 19, 21, 36, 40, 46, 83, 89, 106), Paweł Młodkowski (s. 85, 90-91, 99), Jerzy Orchowski (s. 28, 38, 41, 69-71, 131), Agata Rokita (s. 26, 48, 75-76, 156), Marek Rokita (s. 80-81, 132-133, 143, 145, 152, 155), Karolina Ferenc/ZPKWW (s. 42, 88, 121), Maciej Gołembowski/Nadleśnictwo Czerniejewo (s. 82), Jerzy Gontarz (s. 98, 140-141), Go-Foto Studio Grzegorz Olejarz (s. 104-105), Patryk Janicki/OEP w Łądzie nad Wartą (s. 130), Mariola Józwickowska (s. 122-123, 134), Piotr Kitliński (s. 115, 153), Milena Kuleczka (s. 103), Muzeum Narodowe w Poznaniu (s. 127), Nadleśnictwo Jarocin (s. 100), Nadleśnictwo Włoszakowice (s. 25), Paweł Niemiec (s. 33), Sławomir Obst (s. 147), Matylda Pachowicz (s. 137), Krzysztof Radka (s. 93), Dorota Rychlewska-Serwa (s. 30), Stowarzyszenie „Partnerstwo dla Doliny Baryczy” (s. 95-96), Stowarzyszenie Przyjaciół Boszkowa (s. 160), Rafał Śniegocki/ZPKWW (s. 22-23), Urząd Gminy w Powidzu (s. 114), Urząd Miasta w Ślesinie (s. 159), Łukasz Zalesiński (s. 160, 163), Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego (s. 43-44, 61)

Opracowanie map: Katarzyna Wesołowska (ZPKWW)

Dane topograficzne: Państwowy rejestr granic i powierzchni jednostek podziałów terytorialnych kraju

Mapy archiwalne: <http://maps.mapywig.org/>

Korekta: Dariusz Stryniak

Druk: Drukma

Egzemplarz bezpłatny
Poznań 2021

ISBN 978-83-943581-5-0

Spis treści

Wprowadzenie	5
W drogę!	7
Rozdział I Lasy, puszcze i bory	8
W krainie popielicy	10
O zawilcach, przylaszczkach i kokoryczach	14
Tam, gdzie żyją dzikie stwory	18
O świetlistych dąbrowach	22
Wielka Starucha – strażniczka prastarego lasu	26
Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów	30
O sośnie – królowej wielkopolskich lasów	34
O wierzbie – szopenowskim symbolu polskości	38
O miłości Graftszynka do Pięknej z Rept	42
Diabeł, co w gruszcze mieszkał	46
Rozdział II Łąki – ginące królestwo Wielkopolski	50
Łąki kwiatami usłane	52
Przeplatka aurinia – ginący symbol wielkopolskich łąk	56
Łąki trzęślicowe – wspomnienie uroczysk i mokradeł	60
Podwodne królestwo łąk ramienicowych	64
Czajka – dama nadwarciańskich łąk	68
Na wypasie	72
Enklawy życia – łąki śródleśne	76
Rozdział III Woda – architekt krajobrazu	80
O jeziorach babskich	82
W Krainie Stu Jezior	86
Lednica – jezioro z historią	90
W dolinie Baryczy	94
W objęciach Warty i Lutyni	98
Na szlaku konwaliowym	102

W krainie raka rzecznego	106
W pradolinach Warty	110
O największym jeziorze Wielkopolski	114
O chalińskich jarach	118
Rozdział IV Dziedzictwo kulturowe	122
Pomnik Historii w Rogalinie	124
Edukacja wśród zabytków	128
Tam, gdzie Mieszko i Chrobry gród budowali	132
Krótką historia o pałacyku myśliwskim	136
Wśród krajobrazów Łysej Góry	140
O pierwszych koźlakach, drewnianych wiatrakach	144
O przybyciu 12 cysterek z Trzebnicy do Owińsk	148
W kojącym cieniu zadrzewień	152
O kminie ochweśnickiej	156
Bartek z piekła – pustelnik lasów włoszakowickich	160

Wprowadzenie

Wielkopolskie krajobrazy skrywają niejedną tajemnicę. Autorzy zabierają czytelnika w fascynującą podróż po suchym i mokrym lądzie, pachnących latem storczykowych łąkach, baśniowych puszczech, jeziorach i rzekach, wśród zadziwiających organizmów i zabytków naszej kultury. Ta subiektywna narracja relacjonowana przez podróżników i uważnych obserwatorów uczy nas dostrzegania świata wokół. Uczy opisywania zjawisk, procesów i gatunków, nazywania uczuć i emocji, które odczuwamy, obcując z krajobrazem.

Dzięki podróżom Agaty i Marka w najdalsze zakątki wielkopolskich parków dotkniemy największego chrząszcza Europy, przywitamy dzień wraz z tancerzami słońca, poczujemy zapach wiosennych zawilców i smak starych, nieco zapomnianych odmian jabłoni. Pod czujnym okiem popielic i puszczyków udamy się w gwiaździstą noc Perseidów, wpatrzeni w krajobraz ostoi ciemnego nieba. Spojrzymy na Krainę Stu Jezior z perspektywy bielika i spróbujemy pomóc słowiańskim wojom, mierząc się z liczącym 800 lat Rusem. Będziemy podróżować w czasie. Przypomnimy sobie lekcje historii, podążymy tropem Mieszka I i Bolesława Chrobrego, poznamy tajemnice rodów Radziwiłłów i Raczyńskich oraz sekrety sióstr zakonu cysterek.

Autorzy na kolejnych kartach malują słowami obrazy na długo zapadające w pamięć – są one zaproszeniem do przekroczenia bram 14 wielkopolskich parków krajobrazowych. Każdy z nich to podróż, która porywa czytelnika, otwierając przed nim mało znany dotychczas świat fauny i flory, dziedzictwa przyrodniczego i kulturowego, które jest manifestem naszej lokalnej tożsamości, sięgając aż do korzeni naszych przodków.

Książka przypomina niekiedy pamiętnik ze wspomnieniami utrwalającymi zmieniający się krajobraz – ten, który pamiętamy z czasów dzieciństwa, i ten, który pragniemy zachować dla kolejnych pokoleń. To drogowskaz do naszej ekologicznej świadomości, własnych przeżyć i refleksji. Kierunek do spędzenia niezapomnianych chwil na łonie natury i klucz do mapy odsłaniającej osobliwość 14 parków krajobrazowych województwa wielkopolskiego. To zaproszenie do odkrywania własnej drogi, zaplanowania podróży po emocjonującym świecie przyrody.

Rafał Śniegocki

Dyrektor Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego



W drogę!

Czy wyjechaliście kiedyś z domu przed świtem, by przywitać słońce w porannej mgle nad mokradłem? Albo stojąc w majowej ścianie zieleni lasu, chłonęliście muzyczny wielogłos ptasiej orkiestry? A może zamarliście w bezruchu, by nie spłoszyć odpoczywającego niepozornego zająca?

By doświadczać wyjątkowych emocji, wrażeń, zauroczeń czy pogłębiać swoją wiedzę o naturze, nie musimy wyjeżdżać w odległe krańce Polski. Kalejdoskop tajemnic i zjawisk składających się na piękno świata przyrody i bogate dziedzictwo kulturowe jest bowiem wokół nas – w Wielkopolsce.

Opowieści zebrane w książce „**Kierunek: krajobraz parków krajobrazowych Wielkopolski**” prowadzą przez wybrane w naszym regionie miejsca, do których poznawania i zgłębiania szczególnie namawiamy. Osobliwe gatunki, zjawiska, miejsca, obiekty, tradycje i związane z nimi historie są niekiedy całkiem blisko.

Wybierzcie się z nami na wędrowkę wśród kilkusetletnich buków, poszukajcie łąk z coraz rzadszymi storczykami, wsłuchajcie się w puls natury. Poznajcie też historię jeziora skrywającego tajemnice początku państwowości polskiej, odwiedźcie nasze miasteczka i wsie z zabytkami, które były świadkami burzliwych, radosnych i dramatycznych chwil.

Jeszcze bardziej zależy nam jednak na tym, byście wielkopolską przyrodę uznali za swój dom. Gościnni i – co szczególnie ważne – jednocześnie wymagający szacunku i ochrony. Nie zapominajmy, że krajobraz nie jest wyłącznie dziełem natury. Także my go kształtujemy, pielęgnujemy, ale też niestety (!) niszczymy.

Zaproszenie do krajoznawczych wycieczek kierujemy do wszystkich – bez względu na to, czy są doświadczonymi eksploratorami, którzy wielkopolską ziemię lubią zwiedzać i znają całkiem dobrze, czy niedowiarkami przeświadczonymi o tym, że nasz region nie może niczym szczególnym zaskoczyć.

Wystarczy uczynić pierwszy krok – otworzyć się na nowe i ruszyć. A potem patrzeć, słuchać, wąchać, dotykać. Chłonąć wszystkimi zmysłami. I poczuć się szczęśliwym.

Zapraszam do lektury! I na szlaki!

Agata Rokita

W drogę!

Czy wyjechaliście kiedyś z domu przed świtem, by przywitać słońce w porannej mgle nad mokradłem? Albo stojąc w majowej ścianie zieleni lasu, chłonęliście muzyczny wielogłos ptasiej orkiestry? A może zamarliście w bezruchu, by nie spłoszyć odpoczywającego niepozornego zająca?

By doświadczać wyjątkowych emocji, wrażeń, zauroczeń czy pogłębiać swoją wiedzę o naturze, nie musimy wyjeżdżać w odległe krańce Polski. Kalejdoskop tajemnic i zjawisk składających się na piękno świata przyrody i bogate dziedzictwo kulturowe jest bowiem wokół nas – w Wielkopolsce.

Opowieści zebrane w książce „**Kierunek: krajobraz parków krajobrazowych Wielkopolski**” prowadzą przez wybrane w naszym regionie miejsca, do których poznawania i zgłębiania szczególnie namawiamy. Osobliwe gatunki, zjawiska, miejsca, obiekty, tradycje i związane z nimi historie są niekiedy całkiem blisko.

Wybierzcie się z nami na wędrowkę wśród kilkusetletnich buków, poszukajcie łąk z coraz rzadszymi storczykami, wsłuchajcie się w puls natury. Poznajcie też historię jeziora skrywającego tajemnice początku państwowości polskiej, odwiedźcie nasze miasteczka i wsie z zabytkami, które były świadkami burzliwych, radosnych i dramatycznych chwil.

Jeszcze bardziej zależy nam jednak na tym, byście wielkopolską przyrodę uznali za swój dom. Gościnni i – co szczególnie ważne – jednocześnie wymagający szacunku i ochrony. Nie zapominajmy, że krajobraz nie jest wyłącznie dziełem natury. Także my go kształtujemy, pielęgnujemy, ale też niestety (!) niszczymy.

Zaproszenie do krajoznawczych wycieczek kierujemy do wszystkich – bez względu na to, czy są doświadczonymi eksploratorami, którzy wielkopolską ziemię lubią zwiedzać i znają całkiem dobrze, czy niedowiarkami przeświadczonymi o tym, że nasz region nie może niczym szczególnym zaskoczyć.

Wystarczy uczynić pierwszy krok – otworzyć się na nowe i ruszyć. A potem patrzeć, słuchać, wąchać, dotykać. Chłonać wszystkimi zmysłami. I poczuć się szczęśliwym.

Zapraszam do lektury! I na szlaki!

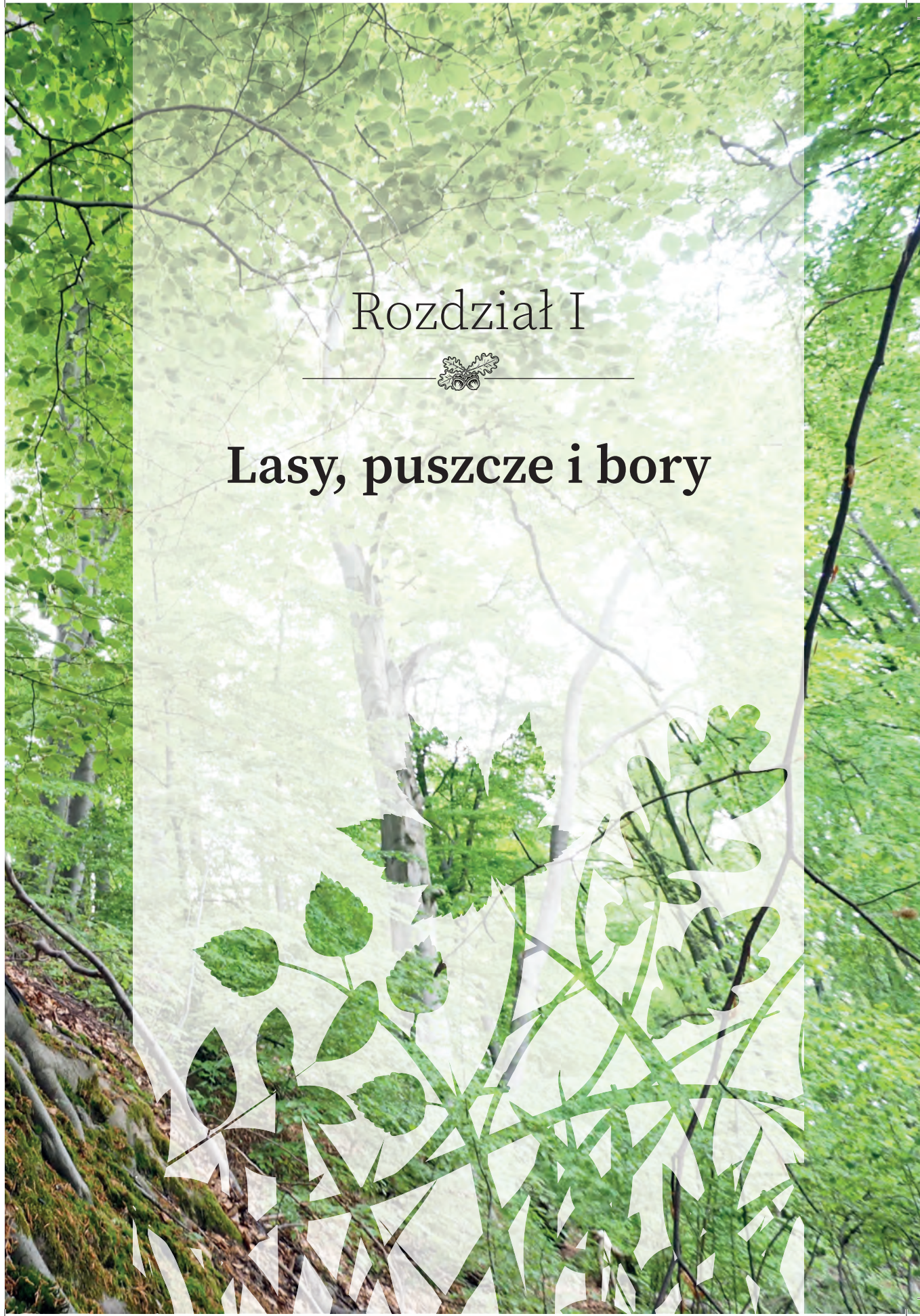
Agata Rokita



Rozdział I



Lasy, puszcze i bory



W krainie popielicy



Chcesz znaleźć w naturze architekturę świątyni? Stań w maju pod kopułami koron bukowych! Zobaczysz strzeliste jak kolumny pnie, gałęzie wygięte w łuki niczym gotyckie sklepienie. To potęga natury w czystej postaci!

Młode listki zarówno nastoletnich, jak i kilkusetletnich buków (*Fagus sylvatica*) są delikatne jak skrzydła motyla, który niedawno opuścił poczwarkę. Jeszcze lekko zgniecione, rozprostowują swe powierzchnie i nabierają mocy. Początkowo jedwabiste – falują gładkane majowym wiatrem, toczą pierwsze walki – szarpane porywami wiosennej burzy. Niebawem okrzepną, nabierając ciemniejszej barwy, tworząc tym samym prawie nieprzepuszczającą promieni słonecznych zieloną zasłonę.

Buki prawdę powiedzą

Idąc przez stare buczyny w rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim w Sierakowskim Parku Krajobrazowym, przesuwamy wzrok w górę gładkich pni bukowych starców – najstarsze, pomnikowe okazy mają nawet 300 lat i cztery metry



Orzeszki bukowe, czyli bukiew



W rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim

w obwodzie. Swoją energią działają wręcz terapeutycznie. Nie bez przyczyny powstała sylwoterapia, czyli metoda leczenia dolegliwości poprzez bliski kontakt z drzewami. Niezapomnianą galerię tworzą także sploty korzeni, które jak dłonie istot z onirycznego świata wczepiają się w ziemię, by ją zatrzymać, ochronić. Uśmiechamy się niemal bezwiednie na widok wrytych na korze inskrypcji, które niosą pamięć o miłości, nawet sprzed dziewięćdziesięciu lat.

Wędrując wąską ścieżką, rozglądamy się wokół, wypatrując też bukowych samosiejek, które rozwijają się z nasion niezjedzonych przez leśne gryzonie, dziki czy ptaki. Włącza się kolejny cykl samoodnowy. Młode splata się ze starym. Delikatność z mocą. Na trasie widzimy powalone wiatrem bukowe kolosy, które będą stopniowo obumierać, dając życie setkom, tysiącom organizmów – grzybom, pa-prociom, roztoczom, mchom czy owadom.

Ciemne buczyny są wręcz tworzywem monumentalnego malarstwa i rzeźbiarstwa natury. A może happeningu? Nad Jeziorem Lutomskim sceną tego spektaklu jest zbcze rynny polodowcowej, poprzecinanej wąwozami, jarami, drażnionymi przez spływające wody opadowe.

Małe jest piękne

Ale nie tylko dojrzałe i stare buki są bohaterami tych lasów. Żyjące z nimi w symbiozie popielice (*Glis glis*) reprezentują przy nich wręcz wagę piórkową. Te, żywiące się między innymi orzeszkami buka, małe ssaki mieszkają przede wszystkim w starych rozległych buczynach. Na niżu takich lasów jest niewiele, a tym samym brakuje tych zwinnnych szarych gryzoni z białym brzuszkiem i puszystym ogonem. W ciągu dnia nie mamy szans podziwiać ich akrobatycznych wędrowek w poszukiwaniu pokarmu. Jako zwierzęta prowadzące nocny tryb życia drzemią wówczas w nadrzewnych kryjówkach – dziuplach czy specjalnie przygotowanych dla nich budkach. Gdy zapada noc, a drzewa otula ciemność, opuszczają swe sypialnie, by rozpocząć ucztę. W menu popielic znajdują się pączki i liście drzew, ptasie jaja, owady, a pod koniec lata i jesienią – orzeszki bukowe i leśne owoce. Niczym linoskoczkowie zwinnie przebiegają i przeskakują na wysokościach. Gdybyśmy stanęli poniżej, pod osłoną gałęzi, chłonąc nocną muzykę lasu, usłyszelibyśmy nad sobą charakterystyczne krząknięcia *krii*, *wiii*.

W koronach drzew popielice spędzają czas od maja do października. Później schodzą na ziemię, by zaszyć się w podziemnych norach i zapaść w hibernację. Spowolnione procesy życiowe pozwalają im przeżyć we śnie niekorzystny dla nich czas. Niezbędne funkcje są podtrzymywane dzięki zapasom tłuszczu zgromadzonym jesienią, gdy bukiew stanowiła podstawę ich diety, umożliwiając zmagazynowanie pod skórą pokładów energii. Wraz z wiosenną pobudką popielice szukają nadrzewnych mieszkań, w których mają też szansę wychować potomstwo.

Dom dla popielic

Od 2021 roku nocni eksploratorzy wielkopolskich buczyn mogą posłuchać, a może i zobaczyć popielice nie tylko na bukach nad Jeziorem Lutomskim, ale też w lasach pod Promnem. Dzięki gatunkom liściastych drzew, takich jak buk, grab, dąb szypułkowy, jesion czy klon, panują tam odpowiednie warunki siedliskowe dla tych wyjątkowych gryzoni. Popielice znają się na rzeczy – wiedzą, że stare, zwarte drzewostany mają moc. Korony drzew, splecione gałęziami ze sobą, niczym wiszące mosty pozwalają gryzoniom przemierzać rewir. To także ochrona dla lasu, który może na dłużej zachować wilgoć, co w dobie ocieplania się klimatu ma kolosalne znaczenie.

Jesienią 2020 roku w ramach reintrodukcji popielic w Parku Krajobrazowym Promno zostało wypuszczonych na wolność 17 młodych przedstawicieli tego ga-



Popielica szara

tunku. Kolejne dołączą później. Efekty projektu czynnej ochrony popielicy, realizowanego przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego oraz naukowców z Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przy wsparciu Nadleśnictwa Czerniejewo, poznamy w najbliższych latach. Założenie jest takie, by w tutejszym lesie mieszkało od 100 do 300 tych nadrzewnych ssaków. Wiosną 2021 roku z myślą o nich zamontowano 50 skrzynek rozrodczych, by wspomóc ich aklimatyzację. Kolejne skrzynki rozrodcze zawieszono dla jeszcze jednego gatunku, a mianowicie orzesznicy leszczynowej (więcej o tym gatunku w opowieści „Diabeł, co w gruszcze mieszkał” – s. 46).

W październiku, po północnej dominacji zieleni, korony drzew sukcesywnie zmieniają barwę. W buczynach zaczyna rządzić intensywny rudobrazowy odcień. Oświetlony słońcem – wręcz się żarzy. Gdy liście zaczynają opadać, spacer wśród osypującego się, wirującego listowia i po rudym dywanie jest jednym z przyjemniejszych doznań jesieni. Popielice zapadają w sen zimowy. Nie przeszkadzajmy!

O zawilcach, przylaszczkach i kokoryczach



Eteryczne białe chmury co kilka minut przesuwają się na niebie, ale i tak mrużymy oczy w spotkaniu z marcowo-kwietniowym słońcem. Korony bezlistnych drzew rzucają na ziemię delikatną i nieregularną siatkę cieni. Właściwy spektakl rozgrywa się jednak u naszych stóp – w runie leśnym. Brązową warstwę zbutwiałych ubiegłorocznych liści zaczynają zasłaniać pierwsze wiosenne rośliny. Jak zahipnotyzowani patrzymy na dywan utworzony przede wszystkim z subtelných zawilców, których tysiące białych drobnych kwiatów unoszą się nad zielonym kożuchem liści. I dosłownie zawłaszczają przestrzeń lasu.

W przyrodzie wszystko ma swój czas i rytm. Za kilka tygodni, gdy korony buków, dębów, grabów, klonów, jaworów, brzoź czy jesionów (gatunków drzew liściastych tworzących grąd) zamienią się w zwartą gęstwinę listowia, nie będzie już



Kokorycz pusta



Zawilec gajowy

śladu po mozaice białych i żółtych zawilców, które teraz wydają się wszechobecne. By odkryć ich czar, warto udać się na przykład w okolice jeziora Drażynek, do rezerwatu Las Liściasty w Promnie lub na ścieżkę przyrodniczo-leśną w Jeziercach w Parku Krajobrazowym Promno.

Leśny mikrokosmos

Zawilec gajowy (*Anemone nemorosa*), choć tak niepozorny, przejmuje w lesie władzę. Kwietny kobierzec zdaje się nie mieć końca – wygląda niczym gwiazdy w galaktyce. Trwa prawdziwa eksplozja kwitnienia. Tysiące, dziesiątki tysięcy białych punktów w runie to niezaprzeczalna potęga, a dla oka spacerowicza czy turysty – niezapomniany obraz. Spójrzmy na pojedynczy kwiat. Czyż nie przypomina zwiewnej baletnicy w zielonej misternej sukience? Obudzony promieniami słońca pąk otwiera się, by wieczorem lub pod wpływem chłodu zakończyć spektakl i stulić eteryczne płatki.

Święto wiosny

Jednak to nie zawilcowi przypisujemy pierwszeństwo w kwiecistym przedwiośniu. Już w lutym na scenę wkracza małeńki rannik wiosenny (*Eranthis hyemalis*) – zimnolubny oryginał nad oryginały. Dzięki temu, że potrafi wytwarzać ciepło, przebija



Przymłaska pospolita

się przez śnieg, by żółtymi kwiatami ozdobić ziemię. I będzie cieszyć nasze oczy nawet przez miesiąc, dopóki nie stanie się zbyt ciepło – jak dla niego – i temperatura przekroczy 10 stopni. To dla rannika znak, że czas zakończyć show.

Śnieżyczkę przebiśnieg (*Galanthus nivalis*) w konsekwencji ocieplania się klimatu rzadko dziś mamy okazję oglądać w okolicznościach zgodnych z etymologią jej nazwy. Z sentymentem wspominamy nie tak odległe czasy, gdy w marcu wypatrywaliśmy w śniegu seledynowych kielków, a potem cieszyliśmy się śnieżnobiałymi delikatnymi kwiatami, których nektar jest pierwszym źródłem pożywienia dla pszczół.

Zjawiskową kreację tworzy niewątpliwie śnieżycza wiosenna (*Leucojum vernalis*), w Wielkopolsce występująca w parku przypałacowym w Turwi, a w stanie dzikim w rezerwacie Śnieżycowy Jar pod Starczanowem nieopodal Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka. To największe na polskich nizinach stanowisko tej rośliny, tak charakterystycznej dla podgórskich rejonów Karpat i Sudetów. Ze względu na to, że rezerwat znajduje się na terenie poligonu Biedrusko, można odwiedzić to miejsce wyłącznie w wybrane weekendy. Idąc drewnianymi kładkami i wyznaczoną ścieżką, urzeczeni jesteśmy widokiem śnieżycy w każdej postaci – zarówno rozległą panoramą hegemonii tego gatunku, jak i urodą oraz ekspresją pojedynczych kwiatów.

Kolejnym aktorem wiosennego spektaklu rozgrywającego się na leśnej scenie PK Promno i PK Puszcza Zielonka, wprawdzie nie tak ekspansywnym i wszechobecnym jak zawilec, jest niebieskofioletowa przylaszczka. Swą łacińską nazwę *Hepatica nobilis* zawdzięcza niezwyklej w kształcie, zimozielonym liściom, które przypominają płaty wątroby (łac. *hepar*). Do jej kolorystycznych pobratymców należą fiołki leśne, miodunki ćma i plamista. Łany fioletowych i białych kokoryczy pustych (*Corydalis cava*) rozpościerają się między innymi w pobliżu leśniczówki w Annowie na terenie PK Puszcza Zielonka. Prześwietlone promieniami słońca wzruszają swym pięknem, a przed amatorami przyrodniczej fotografii stawiają nie lada wyzwanie.

Wszystkie przywołane tu gatunki to geofity, czyli niskie rośliny tworzące runo leśne, które kwitną krótko przed rozwinięciem się liści na drzewach, zaś resztę sezonu spędzają w postaci podziemnych bulw i kłączy. Różnorodność kwiatostanów zauważamy na pierwszy rzut oka. Przyjrzyjmy się jednak także bogactwu kształtów liści. Mogą być wąskie i smukłe – jak u przebiśniegów, śnieżycy wiosennej i złoci. Przypominają też kryzy lub sukienki baletnic – jak u ranników czy zawilców.

Metamorfozy natury

W czasie aspektu wiosennego, czyli masowego kwitnienia geofitów, wędrowka przez lasy w PK Promno i PK Puszcza Zielonka jest okazją do podziwiania jednego z cudów lokalnej natury, ale warto się tu wybrać na wycieczkę także tydzień albo dwa tygodnie później, gdy kwiaty pojawiają się w warstwie podszytu. Obsypują się nimi tarniny i głogi wyglądające jak śnieżne kule, odorująco pachnąca czeremcha, kruszyna, dereń świdwa i kalina koralowa. Osobnym zjawiskiem jest zakwitający już w lutym różowy wawrzynek wilczczyko, rosnący na terenie obu przywołanych tu parków krajobrazowych (więcej o tym gatunku w opowieści „Diabeł, co w gruszcze mieszkał – s. 46). W PK Promno zliczono ponad 500 okazów tego gatunku. Pamiętajmy, że część opisanych tu roślin jest objęta ochroną ścisłą, nie wolno więc ich zrywać czy w jakikolwiek inny sposób niszczyć.

Gdy przemierzamy las, towarzyszy nam ptasia orkiestra. Zięby wyspiewują swoje arie, co rusz słychać charakterystyczne *cilp-calp* pierwiosnka. W szalonym locie przemknęła para dzięciołów czarnych, w swej szacie spójna z obudzoną z zimowego snu rusałką żałobnikiem. Po wielu miesiącach hibernacji motyl łapie ciepłe promienie słońca, wygrzewając się na brzożowej korze. Budząca się do życia przyroda ożywia i nasze zmysły, i nasze uczucia. A pierwsze z nich to – jak pisał poeta Adam Asnyk – kwiaty wiosenne.

Tam, gdzie żyją dzikie stwory



Przez szczytowe partie drzew co rusz przebija się tarcza księżycy. Czy wyżowa noc przyniesie doznania, których oczekujemy? O których marzymy? W miarowy szum oddechu i szelest butów na leśnej ściółce wdziera się dobiegający z głębi lasu trzask złamanej gałązki. W ciemności Puszczy Noteckiej brzmi jak ostry akord i przyprawia o szybsze bicie serca. Strach? Niewiadoma: kto bezszelestnie stąpa całkiem blisko? Obserwuje nas? Ma niejako na muszce? Tu my jesteśmy obcy.

W rewirze Księcia Ciemności

Zapuszczając się w odległe knieje, nierzadko na granicy leśnych mokradeł i bagien, mamy szansę usłyszeć niosące się po lesie *buuuu, uuuuu*, które osobę nieprzygotowaną na tego typu doznania (gotową chyba też...) mogą zmrozić i przestraszyć. Tymczasem to on jest płochliwym pustelnikiem żyjącym z dala od człowieka.

Bezszelestny lot, aparat słuchowy doskonale przystosowany do namierzania potencjalnej ofiary, kryptyczne upierzenie, dzięki któremu idealnie wtapia się w otoczenie – to arsenał Wielkiego Księcia Ciemności – puchacza (*Bubo bubo*). Największa z rodzimych sów i jednocześnie jedna z najrzadszych żyjących w Polsce (krajową populację tego gatunku szacuje się na zaledwie 250 par) jest jednym z wyjątkowych skarbów Sierakowskiego Parku Krajobrazowego. W Wielkopolsce

”

Taki był układ: cztery dni sam na sam z puchaczem. Już pierwszej nocy rozpętała się burza i trochę się przeraziłem, że zaraz zmoknę, a przede mną parę dni siedzenia. [...] Włączyłem na moment kamerę na podczerwień i zobaczyłem samicę – osłaniała swoim ciałem pisklęta, woda sphywała jej po dziobie i skrzydłach. Kiedy grzmiało i błyskało, zamykała oczy i kurczyła się ze strachu. Rano puchacze były tak mokre i sponiewierane przez deszcz, że wyglądały jak siedem nieszczęść. Zdjęć nie mogłem robić, ponieważ obiektyw zaparował [...]. Po dwóch godzinach z letargu wyrwał mnie głos lądującego na gnieździe puchacza. Powoli zerkam do aparatu i to, co widzę, jest nagrodą za wszystkie cierpienia. W całym kadrze mam stojącą samicę – patrzy w moją stronę, jest wspaniała.

Artur Tabor, „Sowy Polski”, Kruk Jolanta Tabor, Jedlnia-Letnisko 2013, s. 239.



Puchacz

to jedyne potwierdzone miejsce jej występowania. Ze względu na swoje gabaryty puchacz nie zasiedla dziupli, lecz przejmuje rozłożyste duże gniazda innych skrzydlatych mieszkańców leśnych ostępów – między innymi bocianów czarnych i ptaków szponiastych. Zdarza się, że jaja składa bezpośrednio na ziemi, zajmując ukryte wykroty i nisze lub – jeśli na swój dom wybrał bagienny teren – karpny olch. W tym wariantcie młode, zostawiane przez rodziców same w „gnieździe” na czas łowów, padają niekiedy ofiarą drapieżników. Puchacz poluje nie tylko na leśną drobnicę, czyli małe gryzonie i ptaki, ale w jego menu znajdują się zwierzęta średniej wielkości, jak: kaczki, zające, karczowniki, jeże czy wiewiórki. I mniejsze gatunki sów (!): puszczyki, włochatki czy uszatki.



Wilk szary

Piętno „złego”

Zejdźmy piętro niżej – na ziemię.

Wśród drapieżnych ssaków aktywnych także w nocy dźwierz palnę pierwszeństwa. Od wieków – podobnie jak sowy, którym przypisywano nadprzyrodzone moce i traktowano jako wysłanniczki sił nieczystych – uznawany za symbol okrucieństwa, podstępności, dzikości. Tymczasem wilk (*Canis lupus*) – bo o nim mowa – w konfrontacji z człowiekiem przegrywa. W konsekwencji naszych braków w wiedzy i stereotypowego postrzegania oskarżany o skłonność do napadania na domowe zwierzęta, a nawet, jeśli byłaby ku temu okazja, człowieka – jest zawsze jego ofiarą. Wilcza wataha przemierza rozległe tereny Puszczy Noteckiej, której część znajduje się na terenie Sierakowskiego PK. Budowa i kondycja maratończyka pozwalają wilkowi przemieszczać się w poszukiwaniu pokarmu dziesiątki kilometrów dziennie. A znakomity węch i przenikliwy słuch czynią go perfekcyjnie przystosowanym do penetracji swojego terytorium (o średniej powierzchni ok. 250 kilometrów kwadratowych), jak i komunikacji z grupą rodzinną. Polując przede wszystkim na dzikie ssaki kopytne, takie jak jelenie, sarny czy dziki, wybiera osobniki o gorszej kondycji, osłabione, poranione. Tym samym odgrywa ważną rolę selekcyjną, eliminując zwierzęta, które najprawdopodobniej niedługo i tak czekałaby śmierć. Swoje menu urozmaica zającami, lisami czy wałęsającymi się psami lub zdziczałymi kotami. Wśród jego ofiar są bobry, z którymi wiąże się kolejna osobliwa historia dotycząca terenu należącego dziś do Sierakowskiego PK.

Stańmy zatem nad wodą i spójrzmy w jej nurt. Z mroczną historią.

Jej bohaterem jest bóbr (*Castor fiber*). Dla jednych niesławnym – za sprawą samowolnej i niekontrolowanej przez ludzi „wycinki” drzew, jak i uszkodzenia wałów przeciwpowodziowych. Dla drugich chwalebny – jako inżynier regulujący zgodną z rytmem i potrzebami natury gospodarkę wodną jest naszym sprzymierzeńcem w retencji wody. Dziś można go zobaczyć także w Poznaniu, między innymi podczas spaceru nad Wartą, nad jeziorem Malta czy przy brzegach Cybiny. Tymczasem sto lat temu toczyła się batalia o jego przetrwanie. Wkład w restytucję tego gatunku na ziemiach polskich miała bobrownia, czyli strzeżona hodowla bobrów, działająca w latach 1927-35 nad jeziorem Kublick w pobliżu Jeleńca. Na obszarze dziewięciu hektarów dzikiego terenu, gdzie bobry zgodnie ze swoją naturą ścinały drzewa i budowały żeremia, znajdowały się także zagrody, w których żyły i rozmnażały się pod specjalnym nadzorem. Dziś pozostałościami tego azylu są resztki tamy i zarastające fundamenty po budynkach.



Bóbr europejski

Ciemność pod ochroną

Zanurzając się w naturę, chcemy być jak najbliższej jej pierwotnej postaci. Wartość i znaczenie niemal dziewiczej naturalnej nocnej ciemności docenili pomysłodawcy Ostoji Ciemnego Nieba w Izdebnie i Chalinie w gminie Sieraków (od 2014 r.). Warto też dodać, że w 2017 roku na terenie Ośrodka Edukacji Przyrodniczej w Chalinie uruchomione zostało obserwatorium astronomiczne wykorzystywane przez Wydział Fizyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z kolei w ramach działań Ostoji organizowane są spotkania, na przykład pasjonatów deszczu Perseidów czy zaćmienia Księżyca. W obu wsiach założono oświetlenie, które emituje mniej sztucznego światła i świetlnego smogu. Bo ciemność i gwiazdziste niebo to kolejne gatunki zagrożone...

O świetlistych dąbrowach



Wbiegli na próchniejący pień i stanęli naprzeciwko siebie. Szybko dokonują oceny kondycji i sił przeciwnika, bujając się z góry na dół i na boki. I niczym rycerze podczas turnieju czy bitwy przyjmują najlepszą do ataku pozycję. Unoszą jak kopie ogromne żuwaczki, pokazując swój oręż. Ruszają. Szczeni starają się wzajemnie zepchnąć, zrzucić rywala. Podnieść i strącić. Wygrać przez nokaut. Jak w transie siłują się w walce na śmierć i życie. I obaj spadają – niemal jak w przepaść – na... poduszkę z mchu, po czym odbiegają w przeciwne strony.

Gdy w 1996 roku na ekrany kin wszedł przełomowy dla konwencji filmu przyrodniczego „Mikrokosmos” („Microcosmos”), jedna ze scen, obserwowana z punktu widzenia owadów, pokazywała opisany powyżej pojedynek samców jelonek rogaczy. Wyglądali w niej jak zapaśnicy albo gladiatorzy.



Jelonek rogacz – pojedynek samców



Jelonki rogacze przyłapano in flagranti

Władca świata owadów

Ten największy w naszym kraju ciemnobrązowo-czarny chrząszcz żyje w nielicznych enklawach. W Wielkopolsce można go zobaczyć w świetlistych dąbrowach lasów włoszakowickich na terenie Przemęckiego Parku Krajobrazowego. Areną walki samców jest nie tylko ściółka czy rozkładające się pnie, ale też konary dębów. Stojący na szczycie rzędu chrząszczy jelonek rogacz (*Lucanus cervus*) zawdzięcza swą nazwę imponującym brązowobordowym żuwaczkom, które przypominają miniaturową wersję poroża jeleni. Może mieć długość nawet ośmiu centymetrów, z czego żuwaczki stanowią niemal połowę. Zdarzają się też samce dwukrotnie mniejsze, zatem zróżnicowanie pod względem wielkości jest w tym gatunku spore. Samice są oczywiście zdecydowanie mniejsze i – co charakterystyczne dla świata zwierząt – skromniej wyposażone. Małymi, lecz silnymi żuwaczkami bez problemu nacinają korę dębu, by dostać się do „ambrozji”, jaką dla tego gatunku jest sok najszlachetniejszego z polskich drzew.

Upojne wieczory

W czerwcu, pod koniec dnia odbywa się rójka, której najbardziej spektakularną częścią jest przywołana na wstępie walka o partnerkę i możliwość przekazania genów. Swoje życie ten mocarz nad mocarze owadziego mikroświata związał z innym atletem w przyrodzie – dębem. Wewnętrzne obumierające części króla polskich drzew są kolebką dla larwalnych postaci tego chrząszcza. Murszejące, ale i w pełni życia okazy – ringiem i matą pojedynków oraz... stołówką. Dorosłe owady żywią się bowiem sokiem rosnących drzew – w tym celu nacinają pnie, gałęzie i liście. Unoszące się w czerwcowe wieczory feromony wydzielane przez samice uderzają samcom do głowy, prowadząc do pojedynków. W arsenale chwytów jest zjawiskowe podnoszenie przeciwnika i strącanie go w dół. Elementem rytuału jest też zapraszanie potencjalnej partnerki na łyk soku dębowego.

Zapłodnione samice składają jaja w zmurszałym drewnie rozkładających się dębowych pni albo bezpośrednio w ziemi. Olbrzymie larwy, o długości nawet dziesięciu centymetrów, żerują w pniaku i przylegających do niego korzeniach od dwóch do pięciu lat, co zależne jest od dostępności pokarmu i warunków atmosferycznych. Następnie przechodzą metamorfozę w komorze poczwarkowej zbudowanej z próchna, dębowych wiórków i odchodów.

W dąbrowy gęstym listowiu

Dąb – gatunek obdarzany przez człowieka estymą – od wieków jest przedmiotem kultu. Widziano w nim siedzibę bogów, sił nadprzyrodzonych, przestrzeń sacrum, symbol potęgi i mocy. W wyobrażeniach Słowian postrzegany był jako Drzewo Świata, łącznik między bogami (korona), żywymi (pień) i umarłymi (korzenie).

Scenerią jelonkowych pojedynków są świetliste dąbrowy, na terenie Wielkopolski rosące w Przemęckim Parku Krajobrazowym, składające się głównie z dębów bezszypułkowych. W miejscach, gdzie dziś są świetliste dąbrowy, w przeszłości wypasano zwierzęta, drzewa rosły luźno, wykaszano runo i zbierano żołądź. Dzięki tym zabiegom nie wyrastały kolejne drzewa, krzewy nie rozrastały się, a runo leśne było doświetlone. W takim lesie korony drzew nie przylegają ściśle do siebie i przepuszczają w niższe warstwy lasu promienie słoneczne, zapewniając w podszycie i runie różnorodność zarówno roślin, jak i zwierząt.

Z dębami związały życie jeszcze między innymi dwa gatunki wielkich chrząszczy, mianowicie kozioróg dębosz (*Cerambyx cerdo*), którego przybliżyliśmy w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów”



Świetlista dąbrowa w Przemęcim Parku Krajobrazowym

(s. 30), oraz pachnica dębowa (*Osmoderma eremita*). Siedliskiem tej drugiej są próchniejące wewnątrz, dorodne okazy nie tylko – jak sugeruje nazwa – dębów, ale też lip czy wierzb, w których w postaci larwalnej owad ten spędza trzy lub cztery lata. Jeśli w pobliżu przywołanych gatunków drzew poczujemy aromat śliwek bądź moreli, możemy być pewni, że to sprawka samców pachnicy wydzielających feromon o tak zaskakującym i dezorientującym ludzi zapachu.

Łut szczęścia

Zatrzymaliśmy się na parkingu przy leśniczówce Krzyżowiec na terenie Przemęckiego PK. Zwiedzamy najpierw miniarboretum, gdzie natrafiamy na dwa padalce, i kierujemy się w głąb lasu.

Po półgodzinnej wędrówce widzimy przemieszczający się na wysokości naszych oczu, na razie niezidentyfikowany, obiekt latający. Biegniemy do miejsca, gdzie owad wylądował. Czyżbyśmy mieli dziś szczęście? To wprawdzie „tylko” samica jelonka rogacza, ale i tak czujemy się wybrańcami. W drodze na parking czeka nas jeszcze jeden rarytas – jest nim przedzierający się przez trawę borodziej cieśla. *Veni, vidi, vici!*

Wielka Starucha - strażniczka prastarego lasu



Tafla Warty w okolicach Czeszewa srebrzyście połyskuje w tym nieoczekiwanie gorącym dniu majowym. Rozlewając się szeroko, kusi perspektywą spływu kajakowego. Niespodziewany krzyk żurawi rozbija senność wczesnego popołudnia. W oddali słycać nawoływania wilgi.

Starorzecze rzuca urok

Przez konary zazieleniających się dębów przebija starorzecze Wielka Starucha. To nasze pierwsze spotkanie, zatem i pierwsze niewiadome, ale przede wszystkim poznawanie jej tajemnic. Gdy od strony ukrytych w lesie jej siostr, starorzeczy Okrągłe Zaskrzęcie i Długie Zaskrzęcie, dobiega pulsujące pohukiwanie



Starorzecze Wielka Starucha

kumaków nizinnych, już myślę o przyjeździe tutaj w czerwcowy wieczór. Idealny wydawałby się dzień przesilenia letniego, bo marzenia o powrocie do słowiańskich korzeni – choćby na chwilę – odżywają w niejednym sercu i umyśle, zwłaszcza gdy za bardzo pochłania nas niebezpiecznie szybkie tempo czasów wszechobecnej robotyzacji i informatyzacji. Szczególnie w okresie letniej kaniuku miejsce to może nabrać pierwotnej mocy.

Starorzecze Wielka Starucha – jak i ukryte w najstarszym w Wielkopolsce rezerwacie Czeszewski Las kolejne: Mała Starucha, Szaniec, Łojewo, Musiówka, Czaplinc – to niezwykle ślad, choć właściwsze byłoby chyba określenie „blizny”, po działaniach przeprowadzonych tu pod koniec XIX wieku. Wtedy to bowiem wykopane zostało proste, wygodniejsze dla użytku człowieka (!) koryto rzeczne, które zastąpiło meandrującą w lasach czeszewskich Wartę (więcej na ten temat w opowieści „W objęciach Warty i Lutyni” – s. 98). Pulsujący, podnoszący się i opadający poziom wody w starorzeczach ma nierozzerwalny związek z porastającą ten obszar roślinnością szuwarową i bagienną, a także kondycją tutejszych zwierząt.

Schowane na terenie uroczyska Czeszewo i w lasach rozciągających się wzdłuż Warty łągi i olsy to rarytas z górnej półki. Relikt z dość odległej – biorąc pod uwagę żywotność drzew – przeszłości. Stanowią one największy i najlepiej zachowany kompleks tego typu lasów nie tylko w Polsce, ale i Europie. To tu rosną liczące ponad 200 lat drzewostany z dębami, wiązami, topolami, jesionami, grabami czy olchami. Część z nich, jak wiekowe dęby rosnące blisko Małej Staruchy i przeprawy promowej na Warcie, podziwiał w 1899 roku Henryk Sienkiewicz. Dziś to żywe pomniki, noszące ślady destrukcyjnej działalności kozioroga dębosza (więcej o tym chrząszczu w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30).

Rytmy natury

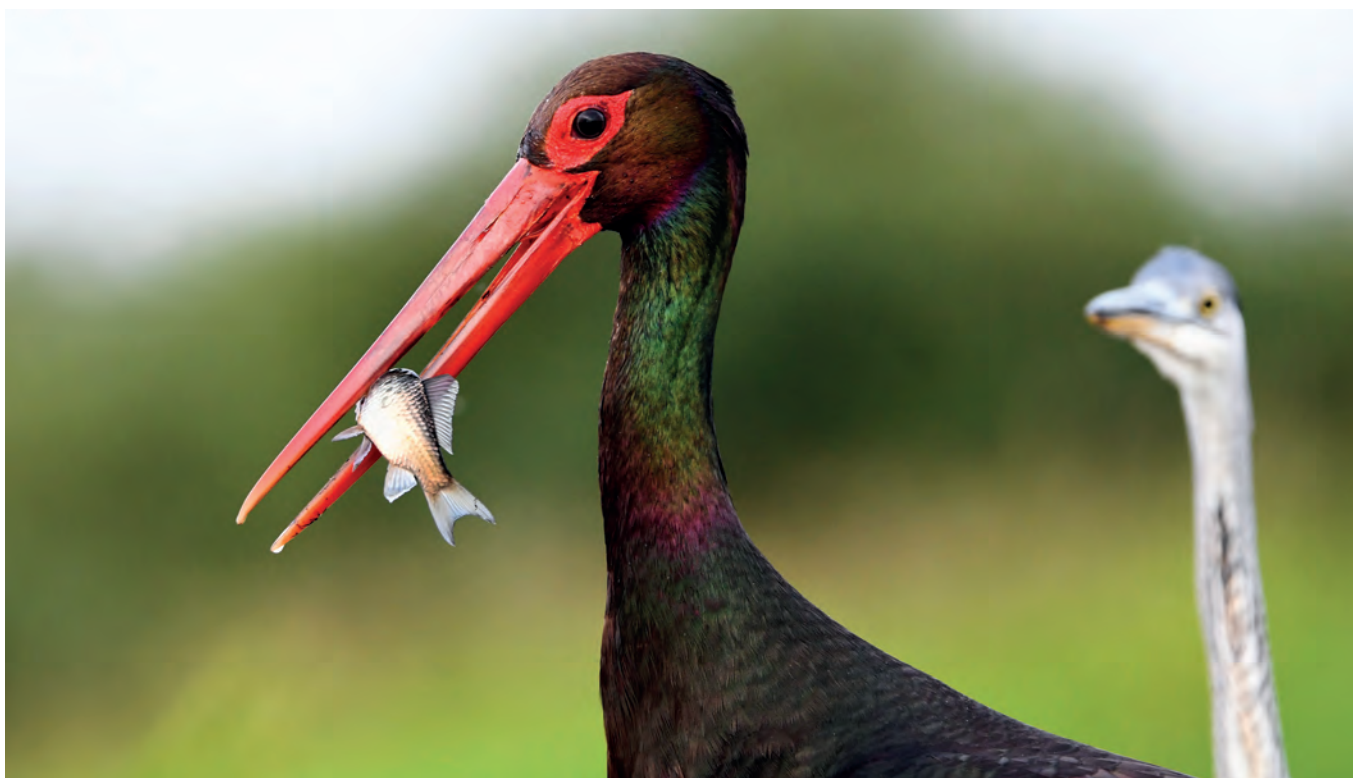
Wędrując wzdłuż wyginającej się w łuk Wielkiej Staruchy, mijamy wysokie topole białe i czarne, wiązy, graby, którym towarzyszy gdzieś klon polny – paklon. Wzrok przyciąga też dostojnie płynąca para łabędzi niemych. Szczególną uwagę przykuwają ślady aktywności bobrów – między innymi wystające z ziemi zaostrome kikuty pozostałe po drobnych drzewkach, które nasuwają skojarzenia ze średniowieczną pułapką na wroga. Jednak naszym największym zainteresowaniem cieszą się ślady bobrzej aktywności na wybranych, wciąż żyjących dorodnych okazach oraz powalone drzewa. Niektóre z miejsc przegryzienia pni wyglądają jak złamane klepsydry. Symboliczne.

Zanurzone częściowo w wodzie, przewrócone kolosy są zapewne czatowniami dla zimorodków, czapli czy kormoranów. Może wygrzewa się na nich czasem zakronec, zwany polską anakondą, który w sytuacji zagrożenia czmycha do wody.

Przyroda w tegorocznej, wolno rozbiegającej się wiosnie dopiero przyobleka zieloną szatę. Szuwary z turzycą brzegową czy błotną, kwitnącym na żółto kosaćcem jeszcze potrzebują kilku tygodni, by pokazać się w całej krasie. Szkoda, że to również nie czas grążeli i grzybieni białych, które subtelnym malarskim akcentem rozkwitną tu w czerwcu. A to tylko ułamek bogactwa i różnorodności roślin naczyniowych. W uroczysku Czeszewo rośnie ich bowiem ponad 600 gatunków.

Ptasi odludek

W głębi starego lasu doskonale musi się czuć jeden z pustelników świata ptaków. W przeciwieństwie do uwielbianego, powszechnie znanego, żyjącego z nami po sąsiedzku bociana białego, jego kuzyn – bocian czarny (*Ciconia nigra*) – trzyma się z dala od siedzib ludzkich i wiezie samotnicze życie w leśnych ostępach. Zakłada solidne gniazdo między innymi na dębach, ale też drzewach iglastych. Jego czarna szata, w świetle pobłyskująca zielono-różowymi refleksami, w zestawie-



Bocian czarny, w tle czapla siwa

niu z czerwonym dziobem i nogami dodaje mu dystynkcji i klasy. Dorosła hajstra (ludowa nazwa tego gatunku) z czarną głową, szyją i grzbietem jest prawie fotograficznym negatywem swojego wiejskiego krewniaka. Schowane w wiekowym lesie starorzecza, jak też stawy, rozlewiska czy jeziora są jej rewirem, gdzie poluje na niewielkie ryby i płazy.



Dzięcioł średni

Jeden z dziesięciu (polskich dzięciołów)

Dzięki idealnemu dla niego siedlisku, jakim w Żerkowsko-Czeszewskim Parku Krajobrazowym są liściaste starodrzewy z dużą liczbą umierających lub martwych drzew, żyje tu największa w Wielkopolsce populacja dzięcioła średniego (*Dendrocoptes medius*). Nie będąc atletą z silnymi mięśniami szyi i twardym dziobem, wybiera na swoje lokum, jak i stołówkę osłabione próchniejące drzewa, bo tylko z nimi jest się w stanie rozprawić, przygotowując „gniazdko” dla rodziny i wybierając z murszejącego drewna jak ze spiżarni chrząszcze, mrówki, larwy, bezkręgowce. W jego menu są także odżywcze nasiona buka, sosny, orzechy laskowe i żołądź.

Wielka Starucha rzuca czar. Usiądź u jej stóp i wsłuchaj się w jej historię!

Lech, Czech i Rus - o dębach upamiętniających słowiańskich wojów



Podczas każdej wizyty w Rogalinie tutejsze dęby zaskakują odmiennością. Choć są dziełem natury, trudno odmówić im artystycznego wyrazu. W zależności od pory dnia, roku, rodzaju światła – ich *entourage* nasuwa skojarzenia z romantyzmem, symbolizmem, innym razem – impresjonizmem bądź ekspresjonizmem.

Sztuka natury

W opowieści o nich uczestniczą też słońce i księżyc, które wraz z niebem tworzą stale zmieniającą się scenę, bo przecież *panta rhei*. W trakcie majowego spaceru wokół rogalińskich dębów urzeka widok gęstniejących pióropu-



Dęby na łęgach nadwarciańskich w Rogalinie



Dęby Lech, Czech i Rus w Rogalinie

szy zielonordzawych koron. Kolor niedługo okrzepnie, wchodząc w tonację głębokiej zieleni.

Ich wynurzające się z mgły, ustępującej po nocy, posągowe zarysy w błękitnej, sinej, pomarańczowej poświacie zdają się pochodzić z innego świata, czasu i miejsca. I tak właśnie jest. Trudno zignorować fakt, że swoimi korzeniami sięgają odległej historii. Stojąc przy nich, można poczuć się przeniesionym w dawne dzieje. Widziane w zimowym całunnie późnego poranka i zmierzchu, pozbawione liści, pokazują swą potęgę, przypominając demony albo zaklętych w drzewa ludzi. W obumarłych okazach znać z kolei ekspresję śmierci. Uwagę skupiają ślady zadawanych przez upływający czas ran – złamań, pęknięć... Tak potęgą obraca się w samotność i ruinę.

Trzej bracia

Sercem przypałacowego parku są znane w całej Polsce dęby o imionach legendarnych braci – założycieli trzech słowiańskich państw: Lech (6,33 m obwodu, 20 m wysokości), Czech (7,35 m, 23 m; martwy od 1992 r.) i Rus (9,15 m, 20 m; najgrubszy w tutejszej dąbrowie), a także dąb Edwarda (6,18 m). Dzięki przepro-

wadzonym nie tak dawno badaniom dendrologicznym wiemy, że rogański Rus, którego wiek oszacowano na 800-850 lat, jest najstarszym dębem w Polsce. Zdezonizował więc słynnego Bartka z województwa świętokrzyskiego. Legendarne rodzeństwo rośnie obok okazałego pałacu, który w przeszłości był własnością rodziny Raczyńskich. Jak pisał wybitny malarz Leon Wyczółkowski: „Dęby niesamowite, giganty; śniłem o nich. Jak się zbudziłem, żałowałem, że się zbudziłem. Nie mogłem znaleźć drogi do nich. Potwory z odkosami. Trzy potężne dęby rogańskie. Łąka zasiana białymi anemonami, kręgi pod dębami, które mają żółte liście. Dopiero przy końcu maja zaczynają puszczać. Dęby martwe – listki pokręcone, suche. Mówiłem o tych snach hr. Raczyńskiej”.

Trzy dęby, niewątpliwie najbardziej znane i spektakularne, są jednak promilem w tutejszej rodzinie drzew. W Rogalinie i okolicach rośnie, luźno „rozrzuconych”, 1435 okazów dęba szypułkowego (*Quercus robur*). Wszystkie mają w pierśnicy (na wysokości pnia 1,3 m) obwód przekraczający dwa metry. Wiele z nich jest pomnikami przyrody, co znaczy, że przedstawiają szczególną wartość przyrodniczą, kulturową i historyczną. Są symbolami i ikonami wielkopolskiego krajobrazu.

Co warto podkreślić, dęby rogańskie to największe skupisko starych dębów w Europie. Niektóre są ostańcami pradawnej puszczy, ciągnącej się niegdyś wzdłuż Warty. Starorzecza i uroczyska lasów łęgowych dodają miejscu dodatkowego kolorytu.

Kto żyje w dębie

W sylwetach Lecha i Rusa, dwóch żyjących braci, uwagę przykuwają monumentalne pnie – pofałdowane, z licznymi spękaniem, wyrzuszeniami, dziuplami, pokryte porostami i mchami. I na nich, i na innych okazach dębów znać ślady wydrążeń, ran zadanych przez szczególnego mieszkańca, który – choć im szkodzi – też jest pod szczególnym nadzorem i ochroną. Kim jest ten rzeźbiarz zostawiający w korze dziesiątki korytarzy nasuwających skojarzenie z reliefami? Kto również rządzi w tym królestwie?

Kozioróg dębosz (*Cerambyx cerdo*), bo o nim mowa, jest dużym, smukłym chrząszczem z typowymi dla rodziny kózkowatych bardzo długimi czułkami. Prawie cały czarny, końcówkę pokryw skrzydłowych ma w subtelnym odcieniu burgundu. Większość swego życia spędza wewnątrz dębu, w którym żywi się najpierw jego korą, potem łykiem, drażąc korytarze i chodniki. I ten właśnie etap w życiu owada przez długi czas był postrzegany jako przyczyna obumie-



Kozioróg dębosz

rania drzew. Pojawiają się jednak głosy, że dęby zaczynają marnieć wskutek obniżania się poziomu wód gruntowych. I wtedy to osłabione egzemplarze są zasiedlane przez tego chrząszcza. Ogromne larwy, o długości nawet dziesięciu centymetrów, rozwijają się od trzech do pięciu lat, zaś krótszy o połowę dorosły owad żyje tylko kilka miesięcy – do początku jesieni. W ostatnim roku rozwoju larwa przemieszcza się w stronę powierzchni dębu, gdzie buduje kolebkę poczwarkową i w niej się przeobraża. Kozioroga dębosza można zobaczyć w dorosłej postaci od przełomu maja i czerwca, kiedy wychodzi z drzewa po przepoczwarzeniu, by przystąpić do rójki. W jej rytuał wpisują się walki samców i noszenie samca przez samicę. Po kopulacji jaja są składane w spękaniach kory. I kolejne pokolenie zaczyna samodzielne życie.

Opuszczając rogalińską posiadłość, podchodzimy do rosnącego przy bramie pałacowej trzyletniego Ruska, będącego klonem Rusa. Stare symbolicznie przekazuje pałeczkę młodemu. Jaka z nim będzie się wiązać historia? Czy za 800 lat ktoś go będzie podziwiał?

O sośnie - królowej wielkopolskich lasów



Gdy w niedzielny poranek przemierzam Puszcę Notecką, wypatrując jej je-siennych darów w postaci grzybów, oddaję się idyllicznej atmosferze miej-sca. Bo zieloność powinna trwać w nieskończoność. To najlepsze lekarstwo na tak powszechny dziś zespół deficytu natury.

Feniks z popiołu

A gdy później oglądam archiwalne zdjęcia z lat 20. XX wieku, pokazujące Puszcę po gradacji strzygoni choinówki, w głowie kołacze się wymowne porówna-nie: plaga egipska. Aż trudno uwierzyć, że szum spadającego kału żerujących gąsienic przypominał deszcz, a „drzewa pozbawione igieł przybrały wygląd szarych patyków”. Najgorsze było jednak to, że choć ze szkodnikiem podjęto walkę, efekty były niedostrzegalne. Strzygonia choinówka, która w tym okresie rozprze-strzeniła się na obszarze całej Rzeczypospolitej, w ciągu trzech lat powaliła około 220 tysięcy hektarów drzewostanów sosnowych, z czego w Puszczy Noteckiej – 70 tysięcy hektarów. W konsekwencji krajobraz zmienił się tu radykalnie.

Opór zalewającej puszcze fali zagłady dała sama przyroda. Drzewa ocalały tam, gdzie znajdowały się gęsto skupione mrowiska. Takim miejscem był teren położony na wschodniej krawędzi rynny polodowcowej Jeziora Mniszego. Zało-żony tu rezerwat Cegliniec dziś jest żywym pomnikiem – symbolem wydarzeń z przeszłości. To niejako ocalała wyspa z ogromnymi sosnami w wieku około 160 lat, o wysokości dochodzącej nawet do 27 metrów. Odbijające od stromej skarpy proste kolumnowe pnie są zwieńczone rozwichrzonymi – co typowe dla tego ga-tunku – koronami. Ich ekspresja staje się wręcz demoniczna. Sosnom towarzy-szą – niczym giermkowie – między innymi brzozy i dęby.

Jej wysokość sosna

Dzisiejsza Puszcza Notecka jest drugim pod względem wielkości (po Borach Dolnośląskich) kompleksem leśnym w Polsce i zajmuje powierzchnię 137 tysię-cy hektarów. Porastając obszar w międzyrzeczu Warty i Noteci, rozciąga się od

Obornik i Rogoźna po Santok i Skwierzynę, znajdujące się już w województwie lubuskim. Na jej mało żyznych glebach rosną przede wszystkim 70-letnie bory sosnowe, urozmaicane brzozą, topolą, osiką czy dębem.

Można widzieć w lesie sosnowym monotonię i przewidywalność. Warto jednak na ten powtarzalny wzór spojrzeć razem ze słońcem, które potrafi stworzyć osobliwy malarski nastrój. I wówczas urzekną nas zmieniające się z podmuchami wiatru ruchome wzory cieni gałęzi na korze, wiązki światła słonecznego przeciskającego się między pniami czy wydłużające się wieczorem cienie. Kolejną impresją z rozgrzanego lasu sosnowego jest wzbudzający entuzjazm i euforię zapach olejków eterycznych, dzięki którym chce się oddychać głębiej i z uśmiechem.

Korony sosen, łapiąc wiatr jak wielki przestrzenny instrument, zamieniają las w orkiestrę wybrzmiewającą delikatnym szumem, niepokojącym, coraz gwałtowniejszym pulsacyjnym rytmem czy hukiem solidnej wichury.



Na grzyby!



Dzięcioł czarny

Gdzie wióry lecą

Warto przyjrzeć się korze, która nie tylko mieni się wieloma odcieniami brązu, ale także ma ciekawą fakturę tworzoną przez spękania i różnej głębokości bruzdy. A kto jest sprawcą serii otworów głęboko wykutych w pniu? Albo długich nawet na metr kilku- czy kilkunastocentymetrowych rozległych wgłębień? Jego obecność zdradza donośna, niosąca się po lesie długa kanonada (100 uderzeń na minutę), gdy solidnym dziobem, jak dłutem, wbija się w coraz głębsze warstwy drewna. Sygnałem rozpoznawczym są też wysokie, rytmiczne, ostre pokrzykiwania bądź wydawane w locie wibrujące *krii, krii, krii, krii*. I zaskakujący żałobny zaśpiew *kiaaa* – tuż przed oderwaniem się od drzewa. Do jakiego skrzydlatego mieszkańca lasu należy ta zróżnicowana gama odgłosów? Wrażenie wywiera również jego wygląd i zachowanie. Podczas dynamicznych skoków wokół pni drzew przypomina mechanicznego robota na zwiadach... Dzięcioł czarny (*Dryocopus martius*), sprawca zamieszania – największy z rodzimych dzięciołów – na samodzielnie wykuwany przez siebie dom wybiera najczęściej sosny i buki. W kolejnych latach dziuple po nim chętnie zajmują sowy, na przykład włochatki lub puszczyki, gołębie siniaki, a nawet kuny.

W leśnej Formule 1

Bór sosnowy jest także domem sprawnego lotnika – jastrzębia (*Accipiter gentilis*). Ten elegant w stalowoszarym płaszczu, na brzuchu, nogach i pod skrzydłami strojny jest w pióra tworzące wzór gęstej sieci brązowo-białych paseczków. Budowane przy pniu drzewa gniazdo regularnie uzupełnia świeżymi, zielonymi gałązkami. Swój leśny rewir, w którym poluje na mniejsze ptaki czy małe ssaki, jak wiewiórka, rozszerza na łąki i pola. Nazywany również gołębiarzem, zapuszcza się też do wsi, gdzie próbuje polować na hodowlane ptactwo domowe, między innymi kury czy gołębie.

Wycieczki z boru na wieś w celu zdobycia pokarmu urządza sobie niekiedy również krogulec (*Accipiter nisus*), mniejszy kuzyn jastrzębia, będący czasem także jego... ofiarą. To kolejny lotny mistrz sprintów, przystępujący do ataku z ukrycia, z którego patroluje teren. Gdy podczas spaceru w lesie sosnowym natkniemy się na „skubalnię”, czyli miejsce, gdzie drapieżca pozbawia upolowanego ptaka piór, może to być dzieło krogulca.

Las na każdym swoim poziomie snuje opowieść. Wątki toczą się równolegle, krzyżują, odbiegają, zawracają, umierają, rodzą... A wśród nich barwy, dźwięki, faktury, zapachy, smaki. Pełnia. I nieustanna przemiana.



Jastrząb

O wierzbie - szopenowskim symbolu polskości



Gdy wędruję wzdłuż brzegu Warty, przed oczami przewija mi się kalejdoskop portretów. Bohaterami tej galerii są siostry wody – wierzby. Rozłożyste, krągłe, przysadziste, mocne... Nawet niszczone i powalone przez siły przyrody, dominują w nadrzecznym krajobrazie.

Ki diabeł?

Zanurzając się w gęstniejący tunel gałęzi, nagle staję przed zjawiskową, wieloramienną, demoniczną wierzbą – jej pełzające przy ziemi, wyginające się w nieregularne łuki odnogi przypominają niebezpieczne mityczne zwierzę. Jakby czekała, by jedną z macek porwać nieproszonego gościa. Nie może więc dziwić, że w pogańskich czasach drzewo to wiązano z nadprzyrodzonymi mocami natury. Echa tych wierzeń przetrwały w kulturze wiejskiej do naszych czasów.



Wierzby (i nie tylko)

Wydrażone w starych okazach pnie wyglądają jak bramy do innego świata. Wyobraźnia naszych przodków zasiedlała je istotami o ponadludzkich atrybutach. W konsekwencji ludowe wierzenia umieszczały w niedostępnych wierzbowych uroczyskach siły nieczyste. Wielu z nas przypomina sobie choćby diabła Rokitę, który wychodził z wierzby, by na pokuszenie wodzić biednych (w sprowadzaniu na manowce bogatych specjalizował się Boruta). A może znikąd pojawi się nagle Mądra, która moc tego drzewa, zawartą między innymi w znajdującym się w korze kwasie acetylosalicylowym, wykorzysta do obniżenia temperatury czy złagodzenia bólu u chorych? I nie zapomnijmy o (ginącej?) sztuce wikliniarskiej – różnego rodzaju stylowych koszach, pojemnikach, pudełkach, a nawet meblach. Wszak wiklinowe rękodzieło jest jednym z symboli dziedzictwa kulturowego Wielkopolski.

O czym szumią wierzby

W Polsce notujemy około trzydziestu gatunków dziko rosnących wierzb – „czystej krwi”, ale też krzyżówek. Najbardziej znane to, występujące choćby w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym, wierzby biała (*Salix alba*) oraz krucha (*Salix fragilis*). Listki pierwszej z nich, pokryte od spodu srebrnymi włoskami, smagane wiatrem połyskują refleksami, tworząc wokół świetlistą aureolę. Z kolei drugą rozpoznamy po nisko rozgałęziającym się pniu i nieregularnej koronie. Jako dzieci wody z upodobaniem rosną w lasach łęgowych sąsiadujących z rzekami, dzieląc ten rewir między innymi z olszami, dębami czy osikami. Gdy podczas wysokiego stanu wód rzeki rozlewają się na nadrzeczne łęgi, wierzby trwają jak postumenty, bo to ich żywioł. Zjawiskowo wyglądają przeglądające się w wodzie pnie z pióropuszcami koron. Prześwietlone wschodzącym lub zachodzącym słońcem, w pomarańczowo-łososiowej poświacie, przypominają zastygłe klepsydry, w których zatrzymał się czas.

Kajakarze i inni miłośnicy turystyki wodnej, patrząc znad lustra wody w stronę lądu, mierzą się z gęstą ścianą nadrzecznych wiklin, utworzoną przez wierzby purpurową czy wiciową. Niekiedy mogą zobaczyć przymocowane do zwisającej wiotkiej gałęzi potężniejszych drzew gniazdo remiza, które kształtem przypomina boksyerską rękawicę.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno przy licznych wsiach znajdowały się pastwiska ze stadami krów, wypędzanych na swobodny popas w „rytuale” codzienności. Wydawało się, że ten rytm będzie toczył się stale. Dziś największe stojące w szeregu wierzby były 20-30 lat temu kołkami wyznaczającymi granice poszczegól-

nych pastwisk. Rosnąca wznwyż i wszere gęstwina wierzbowych samosiejek twarodo woiżi żywotności i ekspansywności tego drzewa. Taką ma moc samoodnowy.

Wykorzystują to w praktyce pracownicy Parków, sadząc wierzbowe żywokoły w Moraczewie (Lednicki Park Krajobrazowy) i Bolechowie (otulina Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka). Nowe zadrzewienia – jako kontynuacja tradycyjnego sposobu prowadzenia wierzb głowiastych – staną się siedliskiem chronionych gatunków owadów i ptaków. Będą też pełnić funkcję korytarzy ekologicznych.

Prorokini pójdzka

Widok rosochatych i dziuplastych przydrożnych wierzb wskrzesza marzenie o spotkaniu z jedną z jej mieszkańek – pójdzką (*Athene noctua*). Nawet gdyby wiązało się to z usłyszeniem znienacka przesywającego i przyprawiającego o trwoę odgłosu, tłumaczonego w tradycji ludowej jako „Pójdz, pójdz w dołek pod kościołek”. Żeby jednak oddać sprawiedliwość, warto wspomnieć, że jedno z zawołań tej sowy, odczytywane jako „powij”, miało przepowiadać narodziny dziecka.

Związana z rolniczym krajobrazem pójdzka siada u wylotu dziupli, patrolując najbliższy teren – pod warunkiem, że jest to użytkowane pastwisko czy wykaszana łąka. Tylko na otwartej przestrzeni może bowiem skutecznie polować. I do-



Pójdzki



Para dudków

słownie na piechotę dopadać swe ofiary, którymi oprócz małych ptaków i gryzoni są też chrząszcze, ślimaki, płazy, a nawet dżdżownice. Oby tylko jej lęgu nie wykryła czujna kuna domowa...

Ach, ten czubek!

Niosące się po otoczonym wierzbami pastwisku *upupup* jest dla ptasiarza szczęściem samym w sobie, ale ukoronowaniem przygody będzie widok jednego z piękniejszych i subtelniejszych polskich ptaków. Chciałoby się zobaczyć wystawiony z wierzbowej dziupli zestaw haczykowato zakrzywionych, długich dziobów – czekających na kolejną porcję jedzenia. A potem falisty lot jednego z rodziców przynoszących potomstwu pokarm. Uwagę przykuwa, postawiony niczym wachlarz, płowordzawy czubek z biało-czarnymi końcówkami sterczących piórek, pomarańczowy korpus, skrzydła, na których widać biało-czarne zakrzywiające się pasy. Bo dudek (*Upupa epops*) jest arbitrem elegancji. Wprawdzie świadomość, że w poszukiwaniu pokarmu przeszukuje także krowie placki, ujmuje mu trochę dostojeństwa, ale nie czepiajmy się szczegółów! Swoją drogą, jego dziupla pod względem zapachu może przypominać stajnię Augiasza, bowiem młode w sytuacji zagrożenia nie tylko syczą jak węże i dotkliwie dziobią, ale też w kierunku potencjalnego wroga wystrzykują cuchnącą wydzielinę z gruczołów kuprowych.

Szarpane silnym wiatrem giętke gałęzie wierzby nucą swą pieśń. Jaką treść kryje ona dzisiaj?

O miłości Grafsztynka do Pięknej z Rept



Płatki kwiatów przekwitających jabłoni delikatnie opadają na ziemię. A może by tak położyć się pod jedną, chłonąć widok białoróżowej korony i wsłuchiwać się w brzęk pszczoł? Tym bardziej że z nad pola dobiega perlisty śpiew skowronka i odgłos trznadla, który nestor polskiej ornitologii Jan Sokołowski tłumaczył jako „nie będzie suchej kobyle niiiiic”.

Jabłko dla każdego

Przemierzam Jabłoniowy Szlak, zaczynający się przy Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Chalinie. Widząc sędziwe jabłonie, ale też śliwy i grusze, z sentymentem wspominam strony rodzinne, gdzie na szczęście wciąż rośnie wiele drzew owocowych zasadzonych przed II wojną światową. Moją uwagę przykuwają świadczące o długim życiu spękania, wyrzucenia, ślady po odciętych konarach, dziuple. Są niczym zmarszczki



Jabłoniowy Szlak w Chalinie



W starych odmianach jabłoni kryje się moc

i bliźny po ranach. Przerzedzone korony, wśród których widać budki lęgowe, także snują pieśń o przemijaniu. Na szlaku rośnie 15 rozpoznanych starych odmian jabłoni, z czego sześć – jak Brünnerling czy Lance Prince Albert – jest unikatowych, a siedem – jak Graftszynek Prawdziwy oraz Żeleźniak – bardzo rzadkich w skali kraju.

Między starymi okazami jak w wielopokoleniowej rodzinie wznoszą się młode drzewa. Można się im też przyjrzeć na urządzonej w pobliżu OEP ekspozycji starych odmian drzew owocowych, składającej się z kolekcji i szkółki. W pierwszej znajdują się jabłonie zaszczerpione 50 dawnymi odmianami, takimi jak na przykład: Piękna z Rept, Borsdorfer Renette, Malinowa Oberlandzka czy Winter Goldpermane. Z kolei szkółkę stanowią podkładki jabłoni, gruszy i śliwy przeznaczone do szczepienia starych odmian. Uzyskiwanie – dzięki zabiegowi szczepienia – odmian o tej samej puli genowej, jakie ma drzewo „rodzic”, pozwala przetrwać tym ginącym i ocala je od zapomnienia.

Powrót do źródeł

Myśli biegną już do jesieni, bo chciałabym spróbować jabłek tutejszych odmian. Wręcz marzy mi się festyn, na którym królowałyby szarlotki, jabłeczniki, strudle, musy, ocet jabłkowy czy wyciskane na miejscu soki. A przede wszystkim świeżo zerwane jabłka oraz sadzonki lokalnych odmian drzew owocowych.



Młody szczep jabłoni uzyskany w technice szczepienia na tzw. przystawkę boczną

Odtwarzanie śródpolnych zadrzewień, czego podjęto się w okolicach Chalina, wzmacnia lokalne ekosystemy, w których oddzielające poszczególne pola pasy z drzewami, krzewami i roślinnością zielną służą migracji zwierząt oraz są ostoją bioróżnorodności. Jest to także istotny wkład w pielęgnowanie krajobrazu kulturowego.

Chłapowski reformator

Aby w pełni poznać koncepcję śródpolnych zadrzewień i ich wpływ na lokalne środowisko, przenieśmy się do południowej części województwa wielkopolskiego – do Parku Krajobrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego. Jego patron, żyjący w latach 1788-1879 był oficer armii Napoleona Bonaparte, po rezygnacji ze służby wojskowej w 1813 roku wrócił do rodzinnego majątku w Turwi. Niedługo potem wyjechał jednak do Anglii zgłębiać nowoczesne zasady uprawy ziemi oraz hodowli, by przenieść je na grunt lokalny.

Gdy w roku 1819 generał wrócił do podupadłej posiadłości rodowej, za cel obrał sobie wyciągnięcie jej z długów i wprowadzenie reform. Elementami poczynionych przez niego działań były: zastąpienie stosowanej od średniowiecza

trójpolówki płodozmianem, siew roślin motylkowych (np. koniczyny sprowadzonej ze Szkocji) i hodowla nieznanych w Wielkopolsce ras bydła, wprowadzenie nowoczesnych maszyn i narzędzi, w tym orki żelaznym pługiem szkockim czy młockarni, a także stosowanie drenaży z chrustu i kamieni (więcej o Dezyderym Chłapowskim w opowieści „W kojącym cieniu zadrzewień” – s. 152).

Wśród pól

Kluczową zasługą Chłapowskiego jest wprowadzenie zadrzewień śródpolnych. Te żywe parawany mają postać alei drzew wzdłuż dróg, linii – pojedynczych rzędów drzew i krzewów na miedzach, pasów – dwu- lub wielorzędowych zadrzewień, kęp, a nawet samotnie rosnących drzew. Po pierwsze, osłaniają one pola i chronią glebę przed wyjaławiającą ją erozją wietrzną (nawet do 75 proc.) oraz wyleganiem, czyli pokładaniem się zboża pod wpływem silnego wiatru i deszczu, które prowadzi do obniżenia jakości upraw, a tym samym strat finansowych. Po drugie, jako zielone parasole chronią ziemię przed utratą wilgoci, a także spowalniają odpływ wód opadowych (o 25 proc.), co dzisiaj, w dobie ocieplania się klimatu i deficytu wody, przekładającego się na gorsze zbiory, ma ogromne znaczenie. Po trzecie, drzewa w miejscach, gdzie rzucają cień, spowalniają topnienie śniegu i wysychanie gleby. Z kolei wychwytyjąc po deszczach spływające z pól opady zanieczyszczone chemicznymi związkami znajdującymi się w nawozach, chronią lokalne zbiorniki wodne przed zarastaniem brzegów i rozprzestrzenianiem się w nich glonów.

Aż trudno mi uwierzyć, gdy tuż za Turwią, gdzie zwiedziliśmy park przy posiadłości Chłapowskich (obecnie placówka Polskiej Akademii Nauk), w trakcie jazdy rowerem wylapuję z ptasiego wielogłosu śpiew ortolana. Podobno zafascynowany nim Beethoven wykorzystał tę dźwiękową frazę jako inspirację do początku V Symfonii... Przemierzając w to upalne czerwcowe popołudnie ścieżkę dydaktyczną „Drzewa o historii, ptaki o współczesności”, odpoczynek urządzamy sobie przy czereśni gęsto obwieszonej dojrzewającymi owocami. W Wyskoci cieszą nas młode drzewka gruszy i jabłoni, którymi uzupełniono obumierającą aleję grusową (na terenie całego PK im. gen. Dezyderego Chłapowskiego pracownicy Parków posadzili 500 drzew kilku gatunków).

Gdy przejeżdżamy blisko żywych ścian zadrzewień, co chwilę odurza nas kwaskowaty zapach kwiatów czarnego bzu. Najwyższy czas zerwać trochę hyćki. Na upalne dni lemoniada z niej – zbawienna.

Diabet, co w gruszcze mieszkał



W wyblakłej zieleni zmęczonych latem drzew i traw zaczynają się wybijać one: krzewy przydrożne. Bohaterki ludowych legend, pieśni i podań. Dostarczycielki leków do Bożej apteki.

Coś na ząb

„Moje ulubione drzewo – leszczyna, leszczyna / Jak ją za mocno przygiąć w lewo – to w prawo się odgina / A jak za mocno przygiąć ją w prawo – to w lewo bije z wprawą...” – śpiewał przed laty Wojciech Młynarski, wywołując nutę nostalgii. A radość (o ile nie jest się alergikiem) budzi wiosenny jej obraz, gdy okrywa się tysiącami kwiatów – bazi przypominających żółte, zwisające gąsienice. Kochająca światło leszczyna pospolita (*Corylus avellana*) to porastający brzegi lasów i śródpolne miedze krzew, roślina o niebywalej sile regeneracji, o czym przekonał się zapewne niejeden działkowicz, który próbował się jej pozbyć. Nie z nią te numery! Ale jak tu nie mieć do niej słabości – podzielanej razem z orzesznicami, dzięciołami, sójkami, wiewiórkami i, niestety, szkodnikiem słonikiem orzechowcem – skoro obdarza nas orzechami. Te pyszne owoce są



Orzesznica leszczynowa

prawdziwymi magazynami energii i niezbędnych do dobrego funkcjonowania organizmu makro- i mikroelementów. Jak wyobrazić sobie bez nich świąteczny piernik?

Przywołana orzesznica (*Muscardinus avellanarius*) w Wielkopolsce żyje wyłącznie na terenie Parku Krajobrazowego Promno – głównie w jego leszczynowych zagajnikach. Ten żółtaworudy gryzoń z białą plamą na podgardlu i białym brzuszkiem jest amatorem – zgodnie z nazwą – orzechów laskowych, ale też bukwi czy żołądzi. Kuliste, zbudowane z traw i liści gniazdo letnie zakłada nisko (na wysokości od pół metra do metra) nie tylko na leszczynach, ale też na młodych, zgryzanych przez jelenie i sarny bukach, w płataninie jeżyn oraz w dziuplach. Aby wspomóc rozród orzesznicy, w zaroślach leszczynowych PK Promno pracownicy Parków zamontowali skrzynki lęgowe, które są imitacjami dziupli. Podobnie jak występująca na tym terenie popielica, również orzesznica przespia dzień, by w nocy buszować po swoich włościach. Szykując się do snu zimowego, który trwa od października do kwietnia, pod korzeniami drzew i w norach zakłada gniazdo zimowe.

Czarne perły

Smak końca lata kryje w sobie także jeżyna. Koniecznie jednak ta dzika (fałdowana – *Rubus plicatus*). Jej długie i mocno najeżone kolcami, wygięte w łuki pędy, niczym zasięki, zawłaszczają przydroża, miedze, śródleśne polany czy zręby lasów. Doznania smakowe wiążące się z jedzeniem czarnych, lśniących, nasyconych słońcem dojrzałych owoców trudno wyrazić innym określeniem niż „chwilo, trwaj!”. Jeżyna to także prawdziwa skarbnica prozdrowotnych związków, takich jak przeciwutleniacze, witaminy, kwasy organiczne czy związki mineralne. Wyciągi z liści mają swoje miejsce w terapiach naturalnych – są wykorzystywane jako środek przeciwzapalny, przeciwbakteryjny czy pomocny w zwalczaniu biegunek. Warto więc ten leśny owoc zatrzymać na trochę dłużej. I, zrywając go, dać się pokłuć czy podrapać kolcami – zrobione z niego soki, galaretki czy dżemy są naprawdę godne tego poświęcenia. O dziwo, mimo swego piękna i mocy, jeżyna nie cieszy się takim powodzeniem – jako obiekt poetyckich opisów – jak malina. Kto napisze odę do jeżyny?

Diabli nadali!

Sąsiadem kolczastej jeżyny w śródpolnych zadrzewieniach jest, równie dotkliwie kłujący, głóg (jednoszyjkowy – *Crataegus monogyna*, dwuszyjkowy – *Crataegus laevigata*). Na wiosnę obsypany białym kwieciami, jesienią – obwieszony tysiącami



Jarzębina zwyczajna

drobnych bordowych owoców. I to jakich! W przeszłości żywili się nimi mieszkańcy wsi. Jeśli wziąć pod uwagę, że miąższ już i tak małego owocu głogu jest niewielki (dominuje pestka), a gałązki są uzbrojone w kolce – zbiór był dużym wyzwaniem. Nie powinno więc dziwić, że w ludowym nazewnictwie określano głóg – za sprawą licznych skaleczeń podczas zbioru – diabligruszką (lub jeszcze dosadniej: kolidupą!). Dziś chyba tylko koneserzy rodzimych naturalnych smaków i pasjonaci samodzielnie przygotowywanych przetworów decydują się z nim zmierzyć, by przygotować z owoców sok, nalewkę, dżem albo ususzyć je do herbaty owocowej. Z kolei kwiaty głogu „uśmiechają się” do sercowców, gdyż korzystnie wpływają na pracę narządu.

Ochronne walory kolczastych gałęzi tego krzewu doceniają drobne ptaki, które w kłującej gęstwinie zakładają gniazda lub – jak wróble – lubią w nich przesiadywać. Z kolców robi też użytek gąsiorek, nadziewiający na nie swoje ofiary, by skruszały... Zimą owoce bulimączki (inna ludowa nazwa głogu) z upodobaniem zajadają kosy, jemiołuszki, gile czy kwiczoły.

Nie tylko ozdoba

Sznur jarzębinowych koralików to częsty motyw ludowych pieśni, opowiadań, wierszy. Nie dziwota – uroda pomarańczowoczerwonych owoców przyciąga wzrok. Wiele mocy kryją też one wewnątrz. Swoją piękną kolor zawdzięczają karotenowi, którego zawierają dwa razy więcej niż marchew. Do tego trzeba dodać arsenał witamin: C, E, P, K, PP, garbniki, sorbozę i pektyny. Jarzębina wykazuje działanie przeciwzapalne, moczopędne, wspiera organizm w walce z przeziębieniami i gripą, wzmac-



Rokitnik zwyczajny – moc witamin

nia pracę serca i naczynia krwionośne, reguluje przemianę materii. Z jej walorów odżywczych korzystają naturalnie ptaki, takie jak drozdy, kosy i jemiołuszki. Twarde i jednocześnie elastyczne drewno jarzębinowe doceniano w stolarstwie i tokarstwie. Wyrabiano z niego fujarki, flety, laski spacerowe czy klepki do beczek.

Piękny i jednocześnie bestia

Dzikie krzewy skrywają nie tylko życiodajne siły. Warto znać również te, w których czai się niebezpieczeństwo.

W lutym, po kilkumiesięcznej kolorystycznej epoce szarości i brązu, która w przyrodzie tak naprawdę ma wiele odcieni, nadchodzi tęsknota do rzucających się w oczy barwnych akcentów. W podmokłych częściach lasów liściastych i ich półcienistych stanowiskach taką niespodziankę szykują krzewy wawrzynka wilczelyko (*Daphne mezereum*). Ten znajdujący się pod ścisłą ochroną gatunek w Wielkopolsce można podziwiać między innymi w PK Promno. Jego drobne, intensywnie pachnące różowe kwiaty, osadzone na gałęziach dorastających do metra, są źródłem pierwszego pokarmu dla pszczoł i motyli.

Ta delikatna z wyglądu roślina kryje w sobie zabójczą moc. Zjedzenie jednego, dwóch owoców przez dziecko, a przez dorosłego około dziesięciu prowadzi do śmierci. Trująca dla człowieka jest zresztą cała roślina. Odporne na znajdujące się w czerwonych owocach toksyczne związki są niektóre gatunki ptaków, które, wydalając pestki, przyczyniają się rozsiewania wawrzynka.

Nie zapominajmy też o dzikim bzie, kalinie, tarninie, dereniu, rokitniku czy kruszynie... Scena bohaterów planu środkowego natury jest przebogata!



Rozdział II



Łąki – ginące królestwo Wielkopolski



Łąki kwiatami ustane



Na łąkę wybierz się skoro świt – w maju i czerwcu to już czwarta nad ranem. Złota godzina wynagrodzi ewentualny trud pobudki. Wejdz w poranną łąkę oplecioną pajęczynami z nanizanymi nań kroplami rosy! Tylko uważnie patrz przed siebie i pod nogi, by nie przegapić i nie podeptać wśród traw prawdziwych perełek królestwa roślin!

Po prostu bądź w centrum tego świata! Chłoń łąkę od ogółu do szczegółu!

Ofensywa rózu

Idąc wśród traw mierzwionych porywami wiatru, wyłapujemy kolorowe kwiatne plamy, wstęgi, melanże. To między innymi wybijające się w jeszcze świeżej zieleni fioletowe plamki dzwonek rozpięchłych, prawie niewidoczne niezapominajki, blade fiołki mokradłowe czy zajmujące przestrzeń łąki po widnokrąg wszechobecne jaskry.



Łąka z firletką poszarpaną



Storczyk kukulka plamista

Jeśli kwitnie masowo, jej stanowiska, które możemy podziwiać między innymi w Nadwarciańskim czy Miedzichowskim Parku Krajobrazowym, wyglądają z daleka jak różowe łany lub rzeki. Tymczasem firletka poszarpana (*Lychnis flos-cuculi*) to zwiewny, eteryczny kwiat – oglądana z bliska zdumiewa swą delikatnością i subtelnością. Wręcz sprawia wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć. I faktycznie ginie. Jako roślina potrzebująca wilgotnych i jednocześnie dobrze oświetlonych stanowisk, łąk koszonych dwukrotnie (na początku i pod koniec lata) lub wypasanych – traci w dzisiejszych realiach klimatycznych i przez nowoczesne zabiegi agrotechniczne dogodne dla siebie warunki. Jej nazwa gatunkowa *flos-cuculi* pochodzi od łacińskich słów *flos* (kwiat) i *cuculus* oznaczającego kukułkę, zakwita bowiem w okresie szczególnej aktywności tych specyficznych pod względem zachowania ptaków.

Kolorowe akordy

A teraz wejdźmy w krąg innych kwiatnych kukulek (dzikich storczyków) i zostańmy z nimi na dłużej. Najlepiej wybierając się na Łąki Pyzdrskie w Nadwarciańskim PK, gdzie rosną między innymi odmiany: plamista (*Dactylorhiza maculata*),

szerokolistna (*Dactylorhiza majalis*) czy krwista (*Dactylorhiza incarnata*) – wszystkie w odcieniu głębokiego różu. W wiejskim pejzażu te dostojne arystokratki wyglądają jak z innego świata. Niestety, ginącego...

My mamy szczególne szczęście do kukulek plamistej i szerokolistnej. Krążymy, przeczesując łąkę, w poszukiwaniu kilku innych gatunków – każde kucnięcie obok kolejnego amarantowego kwiatostanu budzi nadzieję. Szczególnie zależy nam na odnalezieniu storczyka błotnego (*Orchis palustris*), tu znajduje się bowiem jedyne stanowisko tej rośliny w Wielkopolsce. I... marzenia się spełniają! Szkoda, że nie możemy wytropić kruszczyka błotnego (*Epipactis palustris*), choć dobrze wiemy, że powinien tu rosnąć (w badaniach przeprowadzonych w latach 2004-2010 w Nadwarciańskim PK odnotowano dziewięć gatunków storczykowa-



Świbka morską

tych). Najprawdopodobniej czas jego kwitnienia dopiero nadejdzie. Pasjonatom rodzimych storczyków podpowiadamy, że w naszym regionie możemy próbować je odnaleźć także w Puszczy Zielonce oraz na terenie Doliny Kamionki czy Lednickiego Parku Krajobrazowego. W tym drugim rosną: okazały buławnik czerwony (*Cephalanthera rubra*), podkolan biały (*Plathantera bifolia*) oraz listera jajowata (*Listera ovata*), a w ostatnim z przywołanych – między innymi wspomniany już kruszczyk błotny.

W gabinecie osobliwości natury

Podczas wypatrywania storczyków na Łąkach Pyzdrskich naszą uwagę zwraca też świbka morska, reprezentująca śródlądowe słonorośla, które w Nadwarciańskim PK tworzą również jarnik solankowy, mlecznik nadmorski i oczeret Tabernemontana. Florę tego Parku stanowi niemal tysiąc gatunków, spośród których około dziesięciu procent to rośliny rzadkie i ginące. Należą do nich także goździk pyszny, kosaciec syberyjski, goryczka wąskolistna oraz skrzyp olbrzymi.

Zupełnie innym rodzajem kwiatów zachwyca, także objęty ochroną gatunkową, pełnik europejski (*Trollius europaeus*) – wyglądający jak żółte piłeczki. Zapyłające go owady muszą włożyć trochę trudu, by przez dachówkowato nachodzące na siebie płatki przedostać się do środka. W Wielkopolsce można go poszukać w Puszczy Zielonce (koło leśniczówki Annowo) i w Parku Krajobrazowym Dolina Kamionki. Zachowanie stanowisk pełnika wymaga wsparcia w postaci regularnego wykaszania albo wypasu, dzięki którym nie jest on zagłuszany przez bardziej konkurencyjne gatunki.

Śpieszmy się podziwiać łąki...

...tak szybko znikają – chciałoby się sparafrazować poetę. Jeszcze 30-40 lat temu były powszechnym elementem wiejskiego krajobrazu, a w konsekwencji zmian w rolnictwie, takich jak choćby likwidowanie pastwisk, osuszanie, intensywna eksploatacja, dziś są coraz rzadsze.

Gdy w dolinie Warty zagłębiamy się w łąkę, towarzyszy nam rozproszony chór strumieniówek. Ptasi śpiew wybija się co chwile z innego miejsca. Jest jak fala energii – pulsująca zdrowym, naturalnym rytmem.

Przywołajcie w pamięci obraz gigantycznej monokultury sięgającej po sam horyzont! I przypomnijcie sobie mozaikę składającą się z pól uprawnych, łąk, pasów krzewów i drzew, oczek wodnych! Przy której z nich tętni życie?

Przeplatka aurinia – ginący symbol wielkopolskich łąk



Niewielki, ruchliwy, w drobną beżowo-czarną kratkę. Lecąc blisko nas, niejako droczy się z nami. Co kilka metrów przysiada na polnej drodze. Jednak gdy zbliżamy się, by mu się przyjrzeć, zrywa się i odlatuje. W końcu dostępujemy zaszczytu dłuższej adoracji. Nie mam pewności, ale ten niepozorny motyl chyba jest przeplatką. Tylko którą? Zabranym w teren atlas motyli rozwiewa wątpliwości.

Motyl jak witraż

Jeśli wziąć pod uwagę nieobliczalność przyrody, cieszymy się, że w tym czerwcowym dniu symbolicznym zamknięciem eksploracji pierwszej z nadwarciańskich łąk – w pobliżu Szwedzkiego Okopu na południe od Pyzdr – jest zobaczenie przeplatki cinksi (*Melitaea cinxia*). Istnienie niektórych motyli ściśle wiąże się z wybranymi gatunkami roślin – larwa przywołanej przeplatki tworzy zgrany tandem z babką lancetowatą, której liście są jej podstawowym pożywieniem.

Wśród ponadpółmetrowych kwitnących traw dostrzegam kołyszące się od podmuchów wiatru fioletowe kwiaty czarcikęsa łąkowego (*Succisa pratensis*). Ta charakterystyczna dla Nadwarciańskiego Parku Krajobrazowego roślina jest z kolei niezbędna do rozwoju i przepoczwarczenia się gąsienic przeplatki aurinii (*Euphydryas aurinia*) – rzadkiego i ginącego motyla. Mnie kojarzy się on z misternym witrażem, w którym sieć czarnych linii rozdziela „szkiełka” w różnych odcieniach pomarańczowego i beżu. Na wielkopolskich łąkach gatunek ten można zobaczyć niestety już tylko tu.

Gdy po powrocie do domu oglądam otrzymany w Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Łądzie folder „Puszcza Pyzdrska – motywy zdobnicze”, wzruszają mnie zdjęcia serwet z haftami przedstawiającymi przeplatkę aurinię. Twórczość ludowa zawsze spletała się z lokalną przyrodą. Dziś w okolicach Pyzdr uwagę zwracają też oryginalne przystanki autobusowe. Są na przykład zbudowane z występującej tu rudy darniowej i ozdobione delikatnymi kwiatnymi szlaczkami albo wymalowane w ogromne motyle i kwiaty rosnące w tej części Wielkopolski.



Paź żeglarz

Równia pochyła...

Podczas dzisiejszej nadwarciańskiej włóczęgi mamy przelotne – nomen omen – spotkanie z dwoma czerwończykami: żarkiem i uroczkiem. Blisko przemknę też błękitna plamka któregoś z modraszków. Od kilku lat te subtelne motylki kojarzą mi się z Cecylią Malik, performerką z Krakowa, która zainicjowała obronę terenów zielonych dzielnicy Zakrzówek przed zabudową właśnie ze względu na występowanie tam coraz radszych modraszków. Może nauczę się rozpoznawać z tej rodziny ikara, dafnida, semiargusa, srebrnoplamka, wieszczka czy ariona...

Przyznaję, że wcześniej nie przykuwały zbyt mojej uwagi, być może za sprawą swego niepozornego wyglądu. A dziś przekonuję się, że tak przyjemna nauka rozpoznawania gatunków motyli w terenie może stać się niedługo nieosiągalna. Wskutek degradacji środowiska, która na terenach wiejskich jest konsekwencją między innymi zmiany modelu rolnictwa, niewykluczone jest, że także część owadów będziemy oglądać wyłącznie na zdjęciach w książkach przyrodniczych.

Motyle potrzebują łąk bogatych w różne gatunki roślin – łąk, które niszczy-
my zbyt intensywną, przyczyniającą się do ubożenia ekosystemu eksploatacją
albo zaprzestaniem użytkowania, co prowadzi do zarastania terenu krzewami
i drzewami. Poza tym przemysłowa uprawa wiąże się z wymieraniem w danych
siedliskach roślin kwitnących, intensywnym nawożeniem traw i koszeniem ich
przed połową czerwca, gdy wiele motyli jest w stadium larwy. Tak wczesny pokos
jest zatem równoznaczny z hekatombą licznych gatunków. Siedliska niszczą mo-
tylom także sprowadzone przez nas gatunki inwazyjne, takie jak nawłóć kanadyj-
ska, która rozsiewając się, zajmuje miejsce niegdyś wielogatunkowych łąk. Mó-
wiąc dziś o wielkim wymieraniu gatunków, nie możemy zapomnieć o owadach.

Rozglądaj się wokół!

Widok żwawej sylwetki listkowca cytrynka, wybijającego się w marcu jaskrawym
kolorem na tle brązowych, bezlistnych drzew w lesie, daje nadzieję na rychłe
nadejście wiosny. Podczas spacerów o tej porze roku w pobliżu strumyków i pod-



Czerwończyk dukacik

mokłych łąk możemy też liczyć na spotkanie z biało-pomarańczowym zorzynkiem rzeżuchowcem, którego gąsienice rozwijają się – jakżeby inaczej – na rzeżusze łąkowej albo czosnaczkę.

Kto pamięta masową migrację rusałek osetników w maju 2019 roku? Nawet w środku Poznania, na skrawku trawnika przy bloku, można było zobaczyć codziennie po kilkanaście sztuk. Ten mały wielki długodystansowy wędrowiec corocznie przylatuje do Europy z Afryki. A wygląda tak niepozornie. A jakie tajemnice skrywają inne motyle z rodziny rusałek – na przykład admirał, wierzbowiec, żałobnik czy ceik? Na szczęście – mimo że jest ich coraz mniej – spotykamy je w naszych ogrodach lub na miejskich niekoszonych terenach zielonych, gdzie rosną między innymi żmijowce, komonice, ślęzy, ciociorki, koniczyny czy wyki. Czasem można zobaczyć żerujące na pokrzywach armie czarnych larw pawików czy pokrzywników, zostawiające po sobie wyłącznie ogołoczone łodygi. Czy wśród czytających te słowa są też szczęściarze, którzy mieli szansę spotkać się z największymi polskimi motylami – paziem królowej i paziem żeglarzem?

Znakomitą okazją do uważniejszego przyjrzenia się motylom jest Tydzień Liczenia Motyli. Na karcie obserwacji (do pobrania z www.zpkww.pl) zaznaczamy widziane na spacerze gatunki.

W Polsce żyje około 3200 gatunków motyli, z czego tylko około 160 to gatunki dzienne. Spotkania z ćmami też mogą przysparzać nie lada emocji, na przykład gdy jest to któraś z zawisakowatych. Przez kilka lat z rzędu oglądałam wieczorami przylatujące do ogrodu zawisaki tawulce, które niczym kolibry zawisały przed kwiatami ozdobnego tytoniu, by spijać nektar z kielichów za pomocą długiej ssawki. Niektóre zawisaki są też aktywne za dnia, jak choćby, często mylony z kolibrem (którego można jednak spotkać po drugiej stronie Atlantyku!), fruczak gołąbek.

Niestety, wśród motyli występujących w Polsce nie brakuje gatunków inwazyjnych, jak szrotówek kasztanowcowiaczek czy ćma bukszpanowa. Ich pojawienie się w naszym kraju jest jedną z konsekwencji zmian środowiskowych i klimatycznych. Niewątpliwie zmniejszanie się populacji motyli nie rzuca się tak w oczy jak ginięcie nosorożców czy wielorybów. W przyrodzie jednak każdy element systemu jest ważny. Ma wpływ na inne. Motyle mają rolę szczególną – są gatunkami wskaźnikowymi. Ze względu na swoją wrażliwość na zmiany znikają ze środowiska pierwsze.

Łąki trzęślicowe - wspomnienie uroczysk i mokradł



Pierwsze kroki po pulsujących poduszkach mokradła, na wyznaczonym szlaku i pod egidą przewodnika, wywołują ekscytację i śmiech. Trasa, na której woda o tej porze roku sięga zwykle do kostek, pokazuje nieznane wcześniej oblicze. Ekscytacja utrzymuje się do końca wycieczki. Tyle że miejsce śmiechu zastępuje narastające zdziwienie i skupienie, bo każdy kolejny krok trzeba przemyśleć. Gruntownie przemoczone buty następnego dnia nie nadają się do użytku, spodnie – oblepione błotem do wysokości połowy uda – także. Czymże to jest jednak wobec wspomnień? Bezcennych.

Cud natury: bagno

Wprawdzie opisana niezapomniana przygoda przytrafiła mi się na mokradłach we wschodniej części Polski, i to pod opieką przewodnika (swoją drogą, zszokowanego stanem wody na znakowanym szlaku turystycznym), dała jednak wyobrażenie, jak bagno... wciąga. Dosłownie, tym razem nie metaforycznie.

W czym zatem tkwi fenomen i siła bagien oraz torfowisk? Po pierwsze – jak olbrzymia gąbka zasysają i utrzymują wody gruntowe i powierzchniowe, przeciwdziałając tym samym powodziom. Po drugie – jako wielki filtr, pochłaniający między innymi substancje toksyczne pochodzące z upraw i inne zanieczyszczenia środowiskowe, oczyszczają wodę przenikającą do warstw wodonośnych. Po trzecie – bagienne rośliny chłoną dwutlenek węgla, co ma korzystny wpływ na jakość powietrza atmosferycznego. Po czwarte – to przebogaty ekosystem z wieloma rzadkimi i ginącymi gatunkami roślin. Po piąte – obniżają temperaturę w najbliższym otoczeniu. Po szóste..., po siódme...

Subtelny zabójca

W dobie ocieplania się klimatu i rosnącej fali wymierania gatunków o życiodajne obszary, jakimi są mokradła, powinniśmy dbać szczególnie. W Wielkopolsce ochroną pod postacią rezerwatu (założonego w 1959 r.) objęte jest między innymi Torfowisko nad Jeziorem Świętym w Przemęckim Parku Krajobrazowym.



Łąka wzywa. Nie czekaj!

Inny rezerwat tego typu – Mszar nad Jeziorem Mnich (utworzony w 1967 r.) w Sierakowskim Parku Krajobrazowym – chroni z kolei torfowisko przejściowe wokół ramienicowego jeziora Mnich Mały. W tym drugim rośnie między innymi 30 gatunków mchów, częściowo reliktywów glacialnych, oraz 178 gatunków roślin naczyniowych.

Na bagiennym planie aktorką charakterystyczną jest niewątpliwie rosziczka okrągłolistna (*Drosera rotundifolia*), zwana rosą słoneczną. Wydzielana przez nią lepka substancja, w postaci świetlistych kropelek, wabi głównie owady, które nieświadome niebezpieczeństwa lgną... do śmierci. Zbiorowym bohaterem jest z kolei wełnianka pochwowata (*Eriophorum vaginatum*). Jej łany po przekwitnięciu przypominają pole dmuchawców albo rozsypane na sitowiu kłębki bawełny. Urokliwy jest także bobrek trójlistkowy (*Menyanthes trifoliata*), którego białe kwiaty w postaci gwiazd są przystrojone – jak woalką – licznymi włoskami.

Nie ma próżni

Przyroda to łańcuch reakcji. Każda zmiana pociąga za sobą i napędza kolejne. Natura niczym wielki architekt stopniowo dokłada lub odejmuje symboliczne cegielki – narusza fundamenty, przestawia ściany nośne, zmienia konstrukcje dachów. Część z nich to zmiany będące efektem naturalnych procesów, inne – reakcją na działania człowieka. Wszak żyjemy w antropocenie... I to już nie brzmi dumnie.

Metamorfoza dokonuje się także na bagnach, w których szybciej lub wolniej, co głównie zależy od rozmiaru naszej ingerencji, dokonują się procesy sukcesji i ewolucyjnego przeobrażenia. Wskutek obniżania się poziomu wód gruntowych (też maczaliśmy w tym palce!), a latem zwykle podsuszenia terenu, mokradła zmieniają się i stopniowo przekształcają w zmiennowilgotne łąki trzęślicowe, niezwykle bogate florystycznie. Swoją nazwę zawdzięczają charakterystycznej dla tego siedliska roślinie – trzęślicy modrej. Ech, gdyby degradacja bagien zawsze się tak kończyła! Tymczasem łąki trzęślicowe same są zagrożone – dalszym spadkiem poziomu wód gruntowych, zaorywaniem, ale i porzucaniem użytkowania, bowiem coroczne koszenie ratuje je przed zarastaniem krzewami.

Jak jin-jang

W podłożu łąki trzęślicowej powstającej na torfowisku niskim wody gruntowe umiejscowione są płytko. Konsekwencją takiej struktury jest wiosenne jej zalewanie (oczywiście uzależnione od wielkości opadów) i pojawienie się gatunków, które w wilgotnym środowisku czują się jak w raju.



Rosiczka okrągłolistna



Wetnianka pochwowata

Gdy na przełomie wiosny i lata poziom wody opada, obok gatunków mokradłowych wyrastają te o mniejszym zapotrzebowaniu na wodę. To jak *jin-jang*, cykliczność, dopełnienie. W okresie wilgotniejszym na łąkach trzęślicowych zachwycają między innymi: kosaciec syberyjski (*Iris sibirica*), mieczyk dachówkowaty (*Gladiolus imbricatus*), goździk pyszny (*Dianthus superbus*), goryczka wąskolistna (*Gentiana pneumonanthe*) czy storczyki (więcej o nich w opowieści „Łąki kwiatami usłane” – s. 52), objęte w Polsce ochroną gatunkową. Wszystkie o arystokratycznym i artystycznym wyglądzie – w duchu secesji. Kępy trzęślic na przełomie wiosny i lata urzekają odcieniami fioletu, a gdy kanikuła dobiega końca – podobnie jak inne trawy – płowiejącymi brązami i beżami. Inni łąkowi bohaterowie, na których warto zwrócić uwagę, to: przytulia północna (*Galium boreale*), czarcikęs łąkowy (*Succisa pratensis*), chaber łąkowy (*Centaurea jacea*), dzwonek rozpierschły (*Campanula patula*) czy olszewnik kminkolistny (*Selinum carvifolia*).

Utrzymaniu charakteru łąk trzęślicowych sprzyja koszenie ich raz w roku – dopiero jesienią. Dzięki temu rośliny kwitnące późnym latem mogą objawić swą moc. Korzystają na tym różne gatunki ptaków i owadów, na przykład pszczoły. Kto już próbował miodu łąkowo-bagiennego?

Podwodne królestwo łąk ramienicowych



Na widok szmaragdowej barwy wody aż chciałoby się zanurzyć w jej toń – przejrzystą i czystą.

W zielonej głębi

Falują w niej skłębione i gęste sznury ramienic (*Charophyta*), wyglądające jak podwodne skrzypy (*Equisetum sub aqua repens* – tej nazwy używano w przeszłości). To łany łąk ramienicowych – charakterystyczny element jezior ramienicowych. Te naturalne zbiorniki wypełniają wody oligotroficzne (wskutek niedoboru substancji organicznych mało żyzne) i mezotroficzne (średnio żyzne). Cechują się umiarkowaną albo wysoką zawartością jonów wapnia, odpowiedzialnych za twardość wody. Walo-rem tego typu akwenów jest intensywne natlenienie – także w głębokich partiach. Dzięki temu nie dochodzi w nich do przyduchy prowadzącej do wymierania zwierząt wodnych, między innymi ryb. Rzadkie są również zakwity fitoplanktonu.

Swój szmaragdowy odcień jeziora ramienicowe zawdzięczają krystalicznej wodzie, w której niebieska barwa światła odbija się od jasnych, kredowych osadów i powierzchni łąk podwodnych. Urodę ramienic w pełni docenią amatorzy nurkowania. Ale można je też podziwiać znad tafli jeziora.

W ramionach ramienic

Jezioro Powidzkie znajdujące się w Powidzkim Parku Krajobrazowym, największe w województwie wielkopolskim (około 1000 hektarów lustra wody), jest też jednym z najlepiej zachowanych wielkopowierzchniowych polskich jezior mezotroficznych. Na całym obszarze Natura 2000 „Pojezierze Gnieźnieńskie”, który stanowi ponad połowę Powidzkiego PK, jeziora ramienicowe zajmują łącznie przeszło 2700 hektarów.

Badania prowadzone przez naukowców z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w ostatnich kilkunastu latach potwierdziły występowanie w akwenach Powidzkiego PK 16 gatunków ramienic, w tym dziesięciu zagrożonych wyginięciem w naszym kraju. Niestety, jesteśmy świadkami i jednocześnie



Staw z łąką ramienicową

sprawcami pogarszania się warunków środowiskowych tych roślin. W Jeziorze Powidzkim w latach 2002-2003 rosły one na głębokości dziesięciu metrów, w latach 2017-2018 – już sześciu (pojedyncze na siedmiu metrach). Świadczy to o spadku przezroczystości wody – dla ramienic w głębszych partiach jeziora robi się po prostu za ciemno, aby skutecznie prowadzić fotosyntezę.

Szczególnie zróżnicowane pod względem składu gatunkowego ramienic są obszary wokół wysp i płyčin w środkowej części zbiornika. Jest to spowodowane nie tylko właściwymi warunkami, ale przede wszystkim niewykorzystaniem tych miejsc (lub śladowym użytkowaniem) w celach rekreacyjnych. Nie ma tam kąpielisk ani przystani.

Kto tu rządzi

Jeziora ramienicowe są jednym z nielicznych miejsc występowania sielawy (*Coregonus albula*) oraz siei (*Coregonus lavaretus*) w Wielkopolsce. Te dwa spokrewnione ze sobą gatunki ryb z rodziny łososiowatych mogą żyć wyłącznie w wodach przejrzystych, zimnych – co ma związek z ich arktycznym pochodzeniem – dobrze natlenionych. Podobnie ubarwione – z opalizującym niebiesko-



Wydra europejska

zielonkawym grzbietem oraz srebrzystobiałymi bokami i podbrzuszem – różnią się przede wszystkim wielkością. Sielawa dorasta do kilograma, a sieja do trzech-czterech kilogramów. Osobniki młodociane obu gatunków żyją w ławicach i odżywiają się zooplanktonem składającym się między innymi z larw owadów, pierwotniaków czy skorupiaków.

Na szczycie tego wodnego łańcucha pokarmowego znajduje się amatorka ryb, płazów i raków – wydra europejska (*Lutra lutra*) – zwierzę herbowe Powidzkiego PK. Ta superszybka jak łódź podwodna (płynie z prędkością półtora metra na sekundę) przedstawicielka łasicowatych, jest jednocześnie muskularna, zwinna i subtelna. Obserwowanie bawiących się wydr, zwłaszcza gdy ślizgają się – niczym zawodnicy bobsleju – w wyżłobionych przez siebie śnieżnych rynnach, budzi wyłącznie pozytywne emocje i radość. Aż chciałoby się dołączyć... Inne zdanie na temat wydry mają jednak właściciele stawów hodowlanych, które – o ile znajdują się w jej rewirze – są dla niej także terenem łowieckim. Tymczasem naukowcy i przyrodnicy przekonują, że ten drapieżny ssak, polując w gospodarstwach rybackich, wybiera słabsze i chore ryby. Pełni tym samym ważną funkcję naturalnego selekcyjnera.

Słowiańska woda pamięci

Podczas naszej wędrówki po osobliwościach wielkopolskich parków krajobrazowych zanurzamy się głównie w przebogaty świat przyrody. Jednak często także kontekst kulturowy wzmacnia ich wyjątkowość i koloryt. Tak jest w przypadku jeziora Gopło leżącego na obszarze Nadgoplańskiego Parku Tysiąclecia. Ta – przywołując słowa Juliusza Słowackiego, jednego z trzech naszych wieszczów narodowych – „słowiańska woda pamięci” oddaje hołd początkom państwa polskiego i kieruje uwagę na Kruszwicę z Mysią Wieżą oraz na legendę o Popielu.

Bogactwem Nadgoplańskiego Parku Tysiąclecia jest świat ichtiofauny. W tutejszych jeziorach żyje 25 gatunków ryb, takich jak między innymi: szczupak, sandacz, sum, jazgarz, leszcz i węgorz. Jest to więc także raj dla miłośników wędkowania.

Płynąc w czerwcu po wodach Gopła, ulegamy urokowi grzybieni białych, grązeli żółtych czy różowych łąnów rdestu ziemnowodnego. Nasz wzrok przesuwają się po rozległych szuwarach tworzonych głównie przez trzcinę. W takiej przestrzeni myśli same biegną w odległą historię, zanurzają się w baśniowość...



Na ryby...

Czajka - dama nadwarciańskich łąk



Choć Józef Chełmoński zatytułował swój obraz „Kaczeńce”, pierwszoplanowymi aktorkami, doskonale odwzorowanymi przez artystę, są dwie czajki. Uchwycone w karkołomnym, tak charakterystycznym dla nich zawijasiu.

Nie tylko podniebne ósemki

Kto miał szczęście obserwować ich lotne akrobacje, którym towarzyszy charakterystyczne *kiwit kiwit*, wie, że tego spektaklu nie można przypisać żadnemu innemu ptakowi. Swoją drogą, w gwarze ludowej czajka (*Vanellus vanellus*) nazywana była *kiwutą*. Jak nie ulec urokowi tej walecznej elegantki, która założyła frak z pobłyskującymi zielono-różowymi refleksami, a głowę ozdobiła wystającymi zawadiacko piórkami?

Jeśli zobaczysz, jak nerwowo lata i nawołuje, najprawdopodobniej znalazłeś się w jej rewirze lęgowym. W ten sposób ostrzega ona przed potencjalnym niebezpieczeństwem siedzącego na jajach partnera albo pisklęta. Oddal się więc czym prędzej – również na łonie natury obowiązuje zasada: *Primum non nocere*. Tym bardziej że jej gniazdo nie jest misterną czy trudno dostępną konstrukcją, a znajduje się w zagłębieniu na łące albo pastwisku, a czasem nawet na polu z zadrzewieniami. Można więc zbliżyć się do niego bez świadomości, że to czyjś dom. O tym, że jesteś za blisko, czajka niewątpliwie da znać, próbując odciągnąć cię od gniazda, a nawet atakując. Dotyczy to nie tylko człowieka, ale też lisów czy innych intruzów.

Niestety, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza doszło do drastycznego spadku liczebności tych ptaków w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym. W latach 90. ubiegłego stulecia gniazdowało tu około 500 par, w roku 2020 – mniej więcej 20, w roku 2021 – dzięki sprzyjającym warunkom – 30.

Naczynia połączone

To, co stało się z populacją czajki w dolinie Warty, jest między innymi efektem zmian środowiskowych będących konsekwencją wybudowania w latach 80. ubiegłego wieku sztucznego zbiornika Jeziorsko (obecnie teren woj. łódzkiego),



Czajka

który radykalnie zaburzył stosunki wodne w korycie i dorzeczu Warty. Deficyt opadów i susze dodatkowo pogłębiają te negatywne tendencje. Skoro brakuje wiosennych wezbrań, teren nad Wartą nie jest podtapiany i zalewany. A tylko takie warunki pozwalają utrzymać charakter siedlisk i zachować różnorodność gatunkową ptaków wodno-błotnych. Poza tym zmienił się także sposób zagospodarowania łąk – w zaniku jest ekstensywny wypas zwierząt hodowlanych, który sprzyja gniazdowaniu ptaków siewkowych.

Choć na nadwarciańskich łąkach nadal odbywa się jeden z piękniejszych spektakli natury – toki ptaków brodzących i wodno-błotnych – nie jest już tak widowiskowy jak w nieodległej przeszłości.

Kto tu mieszka?

Dolina Warty jest ważną ostoją lęgową oraz miejscem odpoczynku i regeneracji podczas ptasich przelotów. W Nadwarciańskim PK zaobserwowano 230 gatunków, z czego około 150 wybiera tę część Wielkopolski na miejsce, w którym może wychować potomstwo. Birdwatcherzy o szczególnej słabości do siewkowych, przy odrobinie szczęścia mają szansę zobaczyć tu krwawodzioba (spadek ze 100

par lęgowych do kilku w 2020 r.; rok później obserwowano kilkanaście par) czy kszczyka, a na starorzeczach – również rybitwy: czarne, białoskrzydłe i białowąse. A spośród chruścieli – kropiatkę. Za sprawą zbyt słabych podtopień nie notowano w ostatnich latach w Nadwarciańskim PK gniazdowań rycyka ani kaczek łąkowych, takich jak płaskonos i rożeniec. Dzięki wyjątkowemu i nieoczekiwanemu, wysokiemu poziomowi wód na rozlewiskach wiosną 2021 roku zauważane były jednak cyranki i krakwy. I – ku wielkiej radości przyrodników – zaobserwowane zostały toki dubeltów, gatunku wyjątkowo pojawiającego w tej części Polski.

Latające tysiące

W świecie przyrody szczególnym widowiskiem są sezonowe – wiosenne i jesienne – migracje ptaków, podczas których zmierzają one na lęgowiska i zimowiska. W konsekwencji zmian klimatycznych zimy stały się łagodne, a gniazdujące w Polsce gęsi nie muszą już odlatywać na zachód Europy i zostają w kraju. Jezioro Lednica w Lednickim Parku Krajobrazowym od kilku lat jest miejscem, gdzie w okresie jesienno-zimowym swoje noclegowisko i zlotowisko mają gęgawy (*Anser anser*), gęsi tundrowe (*Anser serrirostris*), zbożowe (*Anser fabalis*) i białoczelné (*Anser albifrons*). Ornitologowie i ptasiarze cieszą się z możliwości oglądania tu także gęsi krótkodziobych, wszystkich występujących na terenie Europy gatunków bernikli,



w tym białolicych, rdzawoszyich i obroźnych. Nad jeziorem Lednica zimę spędza kilkanaście tysięcy gęsi – najwyższa notowana ich liczba sięgnęła aż 18 tysięcy.

Oglądając film „Makrokosmos” („Le peuple migrateur”, 2001), mamy okazję towarzyszyć w wielkiej wędrówce między innymi gęsiom różnych gatunków, bocianom, łabędziom czy żurawiom. I, lecąc obok nich, przyjąć ptasią perspektywę. Patrzeć z góry na pola, rozlewiska, rzeki, wsie i miasta... Kto chciałby dołączyć?

”

Tak do końca nie jesteśmy w stanie wyjaśnić, dlaczego akurat to jezioro [Lednica – red.]. Na pewno takie czynniki warunkujące obecność ptaków to dobre żerowiska, które się wokół znajdują, a samo jezioro obfituje w zaciszne miejsca osłonięte od wiatru, gdzie tym ptakom po prostu się dobrze i bezpiecznie nocuje. Gęsi nie chcą w okresie jesienno-zimowym zbyt daleko latać na żerowiska, w związku z czym preferują te miejsca na nocleg, które pozwolą im dosyć szybko przemieścić się w stronę, gdzie będą przez dzień żerowały [...]. Poranne polowanie pary dorosłych bielików jest to zjawisko bardzo spektakularne. Ta para ze sobą współpracuje, nawzajem sobie gęsi naganiają [...]. Jeden z ptaków potrafi gęś w powietrzu lekko szponami trącić, ona opada raniona i w tym czasie już drugi ptak wyłania się i tę gęś dopada na ziemi, na lodzie.

Michał Białek z Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego, audycja „Drzwi do lasu”, Radio Poznań, odc. 152 „Gęsi 2”, 30.12.2020.



Rodzina gęgaw

Na wypasie



Wyjatkowi szczęściarze, którzy wybiorą się do Rogalina akurat w te dwa dni w roku, mają szansę zobaczyć na wielkopolskich nizinach pod Poznaniem... redyk. Czyli wiosenne przejście owiec na pastwiska i łąki oraz powrotne, jesienne – do owczarni.

Inne oblicze Rogalina

Mieszkańcom Wielkopolski wieś ta kojarzy się głównie z posiadłością Raczyńskich i słynnymi dębami (więcej na ten temat w opowieściach „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30 oraz „Pomnik Historii w Rogalinie” – s. 124). Tymczasem od 1993 roku działalność rolniczą rozwija tu zarządzany przez Fundację im. Raczyńskich – Majątek Rogalin.



Historia gospodarstwa funkcjonującego w tym miejscu sięga roku 1294. W latach 1766-1939 posiadłość pozostawała w rękach słynnej rodziny Raczyńskich. Po przejęciu jej po II wojnie światowej przez skarb państwa do 1993 roku funkcjonowało tu Państwowe Gospodarstwo Rolne. Dziś historyczny majątek w Rogalinie jest wpisany do rejestru zabytków jako układ ruralistyczny, a od jesieni 2020 roku jest także Pomnikiem Historii.

Dla ziemi

W Majątku Rogalin rolnictwo nie jest celem samym w sobie. Wypas owiec i uprawy określonych gatunków roślin są podporządkowane bowiem utrzymaniu tradycyjnego krajobrazu wiejskiego, lokalnego środowiska objętego ochroną w ramach Rogalińskiego Parku Krajobrazowego, w tym pomników przyrody w postaci dębów.

Wzdłuż dróg i pomiędzy polami rosną stare i zasadzone kilka lat temu pasy wiatrochronne, których zadaniem jest ochrona pól przed erozją wietrzną oraz wsparcie miejscowej bioróżnorodności (więcej o znaczeniu zadrzewień śródpol-



Wypas owiec na łąkach rogalińskich

nych w opowieściach „O miłości Grafsztynka do Pięknej z Rept” – s. 42 i „W kojącym cieniu zadrzewień” – s. 152).

Owce rogałińskie, w większości rasy „biała Masywu Centralnego” (w 2021 r. stado liczyło około 600 maciorek z przychówkiem), jako „ekologiczne kosiarki” nie dopuszczają do naturalnej sukcesji, czyli zarastania nadwarciańskich łągów (o powierzchni 200 ha), co doprowadziłoby do przekształcenia lokalnego środowiska przyrodniczego. Pozostając na wypasie od wiosny do jesieni, utrzymują je w stabilnym stanie, a przynosząc nasiona – przyczyniają się do wzrostu bioróżnorodności.

Hodowane na mięso i wełnę owce są ważnym ogniwem łańcucha oddziaływań sprzyjających ochronie walorów przyrodniczych miejsca. Oprócz świeżej roślinności łąkowej i poplonów jedzą też produkty uboczne z czyszczenia zbóż, siano ze zbioru traw nasiennych, wysłodki buraczane i kiszonkę z poplonów. Ich odchody nie tylko w naturalny sposób nawożą pastwiska. Owczy obornik jest bowiem także kompostowany i w takiej postaci zasila corocznie średnio jedną trzecią gruntów ornych gospodarstwa. Wszystkie grunty są regularnie wzbogacane wapnem defekacyjnym pochodzącym z cukrowni.

Mimo że ziemie należące do Majątku Rogalin są bardzo niskiej jakości, uprawia się tu na 400 hektarach, i to z sukcesem – dzięki regularnemu nawożeniu obornikiem, poplonom i wapnowaniu – buraki cukrowe, ziemniaki jadalne i różne rośliny nasienne.

Jak drzewiej gęsi hodowano

Proekologiczny chów owiec i uprawa roli pod Rogalinem oprócz tego, że służą przyszłości, są też hołdem złożonym przeszłości i tradycyjnym praktykom rolniczym. W Wielkopolsce innym miejscem znanym z wypasu – tyle że gęsi – są okolice Zagórowa, dziś znajdujące się na terenie Nadwarciańskiego Parku Krajobrazowego.

Tradycja hodowli gęsi sięga w Polsce XVII wieku, a największy jej rozkwit przypadł na lata 80. XIX stulecia. Wtedy to bowiem nasilił się eksport tych ptaków (nawet 300 tysięcy rocznie) z Kongresówki do Prus.

Pod Zagórowem, na łąkach Płóćiczne Moczydło i Wspólne znajdowała się przystań dla gęsi i sezonowo działała dla nich... „kuźnia”. By przygotować je na długą drogę – około 20 kilometrów do przejścia granicznego w Strzałkowie – należało specjalnie zabezpieczyć im stopy. W tym celu na ziemi rozlewano smołę i wysypywano piach. Po czym kilkakrotnie pędzono przez nie ogromne stada, by w ten sposób gęsi „podkuły” się przed czekającą je niełatwą wędrówką.

Dziś hodowla tych ptaków w Zagórowie jest nikłym śladem tego, czym była w przeszłości. Mogą one jednak nadal wypasać się od wiosny do późnej jesieni na nadwarciańskich łągach, nie zaś w zamkniętej hodowli fermowej. Mają tu dostęp do świeżej zielonki i wody oraz korzystają z wolności.

W roku 2021 hodowlą – tyle że małych stadek – zajmowało się trzech pasjonatów pielęgnujących rodzinną tradycję. W roku 2020, po 40 latach, dobiegło końca życie gęsi, która występowała we wszystkich filmach o zagórowskich gęsiach. Najstarsza dziś tu żyjąca ma 30 lat.



Gęsi domowe

”

Wciąż powraca do mnie obraz, który widziałem wiele lat temu w Rumunii. [...] Był wieczór i stada schodziły z pastwisk. Wieś była nieskończenie długą ulicówką. Ciągnęła się i ciągnęła, a my jechaliśmy trzy kilometry na godzinę, bo przed nami dreptał nieprzebrany tabun. Krowy, owce, kozy. I każde z bydła wiedziało, gdzie mieszka, i bezbłędnie skręcało w swoją otwartą bramę. Stado rzedło, wieś powoli się kończyła. W otwartej furtce niewielkiego, biednego gospodarstwa stała stara kobieta. Jedna z krów odłączyła się od reszty i do niej podeszła. Kobieta wyjęła zza pleców marchewkę, podała zwierzęciu i odsunęła się, by zrobić przejście.

Andrzej Stasiuk, „Krowy”, „Tygodnik Powszechny” – „Zwierzenia Zwierząt” – wydanie specjalne, nr 3/2019, s. 82.

Enklawy życia - taki śródleśne



Idąc pod koniec sierpnia skrajem lasu, zrywaliśmy dojrzewające orzechy laskowe. Rozłupywaliśmy je w drodze, wykorzystując znajdujące co chwilę polne kamienie. Znikając z domu na pół dnia, niczym członkowie pierwotnego plemienia żywiliśmy się tym, co akurat rośnie w naturze: dzikimi czereśniami, poziomkami, borówkami czy jeżynami. Wchodzenie na drzewa było tak naturalną umiejętnością, że nikt się nad nią specjalnie nie zastanawiał. Napotkany czasem w lesie nieznany szalasz przyprawiał o szybsze bicie serca i rozbudzał ciekawość. Minęło 40 lat...

Przemiana za przemianą

Na początku była pierwotna puszcza. Przez tysiąclecia wykorzystywana przez człowieka. Trawiona przez pożary, które świadomie wzniesiono, by zyskać nową przestrzeń do użytku. Wycinana, przekształcana, zagospodarowywana



Łąka z marchwią zwyczajną



Kozioł sarny

na. Zajmowana pod uprawy, po uprzątnięciu drzew zabudowywana planowo i systematycznie. Jeśli wskutek zmieniających się warunków społecznych, politycznych czy przyrodniczych wcześniej zawłaszczone przestrzenie opuszczaliśmy, natura na nowo je przejmowała i urządziła w swym odwiecznym stylu sztafety sukcesyjnej. Najpierw dominowały rośliny zielne. Potem pojawiały się krzewy i siewki drzew – te niewycinane rządziły się po swoim, stając się gąszczem trudnym do przebycia.

Dziś łąkowo-leśne spaceru w miejscach, które poznawałam jako dziecko, często przywołują wspomnienia. Na przykład tam, gdzie zobaczyłam pierwsze w swym życiu muchomory czerwone, stoi teraz domek letniskowy. Co rusz widzę tabliczki „Teren prywatny”. Wzgórze nad jeziorem – w przeszłości porośnięte trawą świetny punkt obserwacyjny na pobliską okolicę – zarosło głogami nie do przejścia. Przynajmniej ptaki mają tu bezpieczną ostoję. I cywilizacja, i natura nie próżnują. Zgodnie ze swoimi zasadami podporządkowują sobie i kształtują krajobraz. Przemiany zapoczątkowane przez pierwszą wymuszają reakcje drugiej – zarówno dynamiczne, jak i sukcesywne, zachodzące latami. Gdy dziś



Dzwonek rozpierzchły

jesteśmy świadkami i ofiarami niszczycielskiej siły żywiołów, w końcu dociera do nas, że tę lawinę wywołaliśmy dawno temu, nie przewidując dramatycznych skutków. Ale i tak wciąż brakuje nam pokory wobec potęgi natury.

Tajemnice pogranicza

Podczas wędrówek po lesie każda polana czy łąka śródleśna jest wejściem w inny świat. To jak przeskok z ciemnego pola szachownicy na jasne. Z przestrzeni zamkniętej i wypełnionej – drzewami, krzewami, wysokimi ziołoroślami – w otwartą. Z półmroku – w jasność i światło. Z obrazów wertykalnych w horyzontalne. Do czasu.

Stojąc na brzegu lasu, jestem na pograniczu. W ujęciu naukowym – w ekotonie, czyli strefie przejściowej między dwoma ekosystemami, w tym przypadku między lasem i łąką.

Na razie jest tu całkiem pokaźna śródleśna polana. Na kwitnących, wysokich sadźcach konopiastych uwija się ruchliwa gromadka rusałek pawików. Tuż obok przemknęły rusałka kratkowiec i intensywnie pomarańczowa plam-

ka dostojki malinowca. Akurat przemierzam jedną z łąk na terenie Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka podczas ustanowionego przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego Tygodnia Liczenia Motyli i jednocześnie w Dniu Włóczykija.

Jak przystało na ciepłe lipcowe popołudnie, pod względem dźwięku miejsce zdominowała symfonia koników polnych. Gdy z wolna przesuwam się w skłębionym łąkowym zielsku, w reakcji na każdy krok – niczym meksykańska fala odskakują ode mnie. Kolorowych akcentów w tym momencie roku jest niewiele. Zmierzając w stronę rozległych traworośli trzcinnika piaskowego, w niższej trawie dostrzegam pojedyncze punkty z chabrami łąkowymi, dzwonekami rozpierschłymi, macierzanką, goździkiem kartuzkiem, świerzbnicą i przetacznikiem.

W innym miejscu, patrząc na okrajkowe ziołorośla, w których wybijają się ponad zielny tłum wysokie pędy pokrzywy i ostrożnia warzywnego, myślę o dzikiej kuchni. Kilkanaście lat temu spopularyzował ją etnobotanik Łukasz Łuczaj. Widząc wybujałe łodygi nostrzyka białego, wspominam miód nostrzykowy zalecany na przykład osobom mającym problemy z krążeniem i zagrożonym zakrzepami. Różowe łany wierzbówki koprzyca i wierzbownicy, które z upodobaniem rosną w strefie ekotonu leśno-łąkowego, jak kontrpunkt rozbijają zszarzałą zielenią środka lata. Stonowaną kolorystycznie płachtę krajobrazu przecina dynamiczna i duża sylwetka myszołowa.

Czytaj ślady

Przedzieram się przez pasmo krzewów, by skryć się przed słońcem pod parasolem koron dorodnych buków. Znajdujące się blisko granicy lasu oczko wodne jest dla mnie kolejnym sprawdzianem. Przyglądam się odcisniętym w błocie sznurom tropów zwierząt, które przychodziły tu ugasić pragnienie. Czy potrafię wszystkie rozpoznać? Sarna, jeleni, dzik, kuna nie nastroczą trudności. Na pobliskiej drodze polnej euforię wywołują zaschnięte tropy borsuka. Kręcił się tu także żuraw. Kilkadziesiąt metrów dalej natrafiam na w miarę świeży fragment szkieletu sarny. Wyobraźnia pracuje... Czy odcisnięta duża łapa to na pewno ślad psa domowego?

Po przejściu krótkiego leśnego odcinka wychodzę na kolejną niewielką polanę. W nieodległej przeszłości pasły się tu krowy. Dziś z trudem przedzieram się przez splątany, wybujały gąszcz przewyższających mnie turzyc i innych roślin. Młode osiki i olchy jako forpoczty lasu zwiastują niechybny kres łąki.

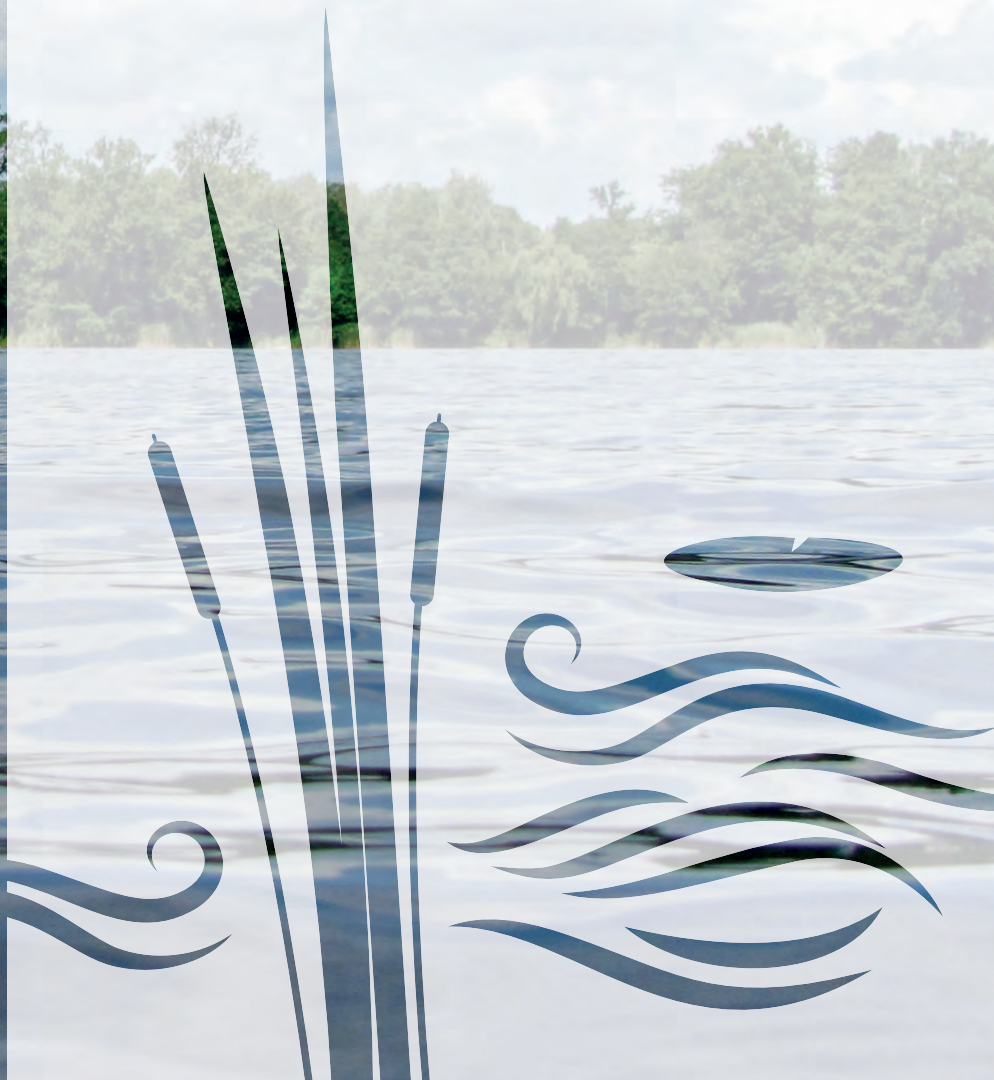




Rozdział III



Woda – architekt krajobrazu



O jeziorach babskich



To koniec. To już niemal finalna faza, gdy niegdysiejsze jezioro staje się z wolna łąką. W ostatnim czasie z niemałą pomocą człowieka tempo zaniku małowniczych, tak zwanych jezior babskich przybiera na sile. Temu najbardziej na południe położonemu nie zdążono nawet nadać imienia. Jego zanikanie zaczęło się więc już dawno. Co jednak z pozostałymi?

Podobno jest ich pięć i leżą w płytkiej rynnie polodowcowej, przez którą przepływa rzeczka Cybinka, zwana też Babą. Tak przynajmniej można wyczytać niemal w każdym źródle. Kto jednak pojedzie z taką wiedzą na wschodnie krańce Parku Krajobrazowego Promno, może się mocno zdziwić. Liczbę pięć trudno obronić, a Cybinkę niełatwo zobaczyć. Przynajmniej latem.



Nad jeziorem Uli



Czapla siwa

Nad rzeką, której nie ma

Wspomniane już nie jezioro, może nie mokradło nawet, ale torfowisko, położone na południe od jeziora Okrągłak, stanowi wraz z nim część rezerwatu, w którym możemy obserwować kilka etapów zarastania akwenu. Do brzegów Okrągłaka trudno jest dotrzeć, ale jest to możliwe. Najprościej – suchym korytem Cybinki, wzdłuż którego dokonuje się wymiana starych, okazałych olch na niewymagające tyle wilgoci klony jawory. Sam zbiornik zarastany jest ze wszystkich stron szuwarami, w których gniazduje i żeruje ptactwo. Jak chociażby czapla siwa, która spłoszona zrywa się do lotu, po czym kołuje nad niemal okrągłym akwenem.

Które jest następne? Może to mocno zarastające, bez urzędowej nazwy, ale na mapach oznaczone jako Rajskie? Jeszcze na tych przedwojennych na drodze przebiegającej pomiędzy nim a kolejnym – Babą – widnieje most. Dziś mostu nie ma, a wyschnięta Cybinka przesącza czasem swoje wody przez wąski przepust, którego wlot znajduje się na jedynej nad babskimi jeziorami plaży. Gdy poziom wody jest tak niski, jak dziś, trudno połączyć ze sobą betonowy pierścień przepustu z rzeką, choćby najmniejszą. Przez większą część roku jest w nim sucho i wówczas ze zbiorników nie odpływa woda.

Kolejny jest Cyganek – niewielkie jezioro oddzielone od Baby wysoką, naturalną groblą, przez którą przebiła się niegdyś Cybinka. Dziś siły na to raczej by nie miała. Za nim trafiamy na ścieżkę przyrodniczo-leśną i od razu na jej, być może, najciekawszy fragment. Nad rzeką, której nie ma, przerzucono kilkudziesięciometrową drewnianą kładkę, z której obserwować możemy ols z bogatym podszytem i czarną, wyschniętą, choć wciąż wilgotną żyłę Cybinki, spływającą tędy z położonego nieco wyżej, największego wśród wszystkich, jeziora Uli. Ta tajemnicza nazwa ma kilka wariantów. Na niektórych mapach funkcjonuje jako Ul, Ula, Ulli, a nawet w wersji niemieckiej – Ully. Przemierzamy wąską dróżkę poprowadzoną bezpośrednio nad zachodnim brzegiem. Wkrótce natrafiamy na niewielkie pole biwakowe, za którym ścieżka przyrodnicza rozdziela się na dwie odnogi. Prawa prowadzi nas na kolejną przeprawę nad Cybinką – drewniany mostek, pod którym możemy zobaczyć kałuże. Również tu rzeczką nie ma wystarczająco dużo siły, by spływać z wyżej położonego jeziora, lecz jednak dość na tyle, by wciągnąć nogi po kostki i upomnieć się o nasze buty.

Dalej rozlewa swoją toń już ostatnie jezioro – Ósemka. Jego nazwa również może się wydawać tajemnicza. Pochodzi od kształtu akwenu, który dzisiaj jest jednak podzielony na dwie części i przypomina raczej parę niestykających się ze sobą łezek. O Ósemce – a zwłaszcza jej górnej części – można śmiało powiedzieć, że jest trudno dostępna i zazdrośnie strzeże swoich sekretów. Wczesną wiosną, kiedy poziom wód powierzchniowych na terenie zlewni Cybinki jest najwyższy, Ósemka staje się jednym jeziorem o powierzchni około sześciu i pół hektara – nieco tylko mniejszym niż Uli. Jednak latem jego powierzchnia kurczy się do zaledwie półtora hektara. Inne akweny również cechuje duża zmienność. Okrągłak zmniejsza się trzykrotnie, ale Uli i Baba mniej więcej do jedną szóstą.

Kłóc

Zanikanie jezior jest zjawiskiem naturalnym, jednak w ostatnich kilkudziesięciu latach mocno przyspieszonym przez działalność człowieka, głównie wylesianie, regulację rzek i strumieni, meliorację, intensyfikację rolnictwa. W naturalnych warunkach obumierające rośliny tworzą osad, który powoli wypełnia misę jeziora, co prowadzi do eutrofizacji, czyli wzrostu żyzności. Jedną z roślin, które najsilniej wpływają na sukcesję jezior, jest kłóc wiechowata. Przez Wielkopolskę prowadzi wschodnia granica zwartego występowania tej byliny, której obecność jest przyjęta jako kryterium wyznaczania najcenniejszych przyrodniczo obszarów w Europie. W PK Promno można napotkać ją przede wszystkim nad dwoma jeziorami położo-



Jeziora babskie

nymi w jego zachodniej części – Dębiniec i Drażynek. Są to największe pod względem powierzchni stanowiska kłoci wiechowatej w całym regionie. Zwrócono na nie uwagę już przed II wojną światową, proponując utworzenie rezerwatów, które jednak oficjalnie powołano w latach 50. XX wieku. W 1928 roku na łamach „Ochrony Przyrody” pisał Jarosław Urbański: „Na brzegu północno-zachodnim i południowo-wschodnim, między pasem lasu a brzegiem jeziora rozciągają się na znacznej przestrzeni torfiaste łąki. Dostęp do wolnej powierzchni jeziora możliwy jest jedynie na wschodnim brzegu, z innych bowiem stron otacza go szeroki pas oczere-tów. Kłoc występuje obficie nad całym niemal jeziorem, rosnąc już to rozproszona wśród pasa trzciny, już to tworząc zwarte kępy po wewnętrznej stronie tego pasa. Najbujniejsze kępy kłoci, zwracające już z daleka uwagę swym charakterystycznym wyglądem, rosną na północnym brzegu jeziora”. Niemal stuletni opis jeziora Dębiniec nie uwzględnia powstałej w późniejszym czasie osobliwej trybuny na jego wschodnim brzegu. Jakikolwiek byłoby jej umyślne przeznaczenie, znakomicie nadaje się ona do obserwacji szuwarów i lustra jeziora. Bo z kolei Drażynek – jezioro, którego powierzchnia liczy dziś zaledwie około hektara – jest trzcina i kłocią otoczony ze wszystkich stron i trudno go podziwiać bez lornetki.

W Krainie Stu Jezior



O bniżając dynamiczny lot, wystawia do przodu nogi i rozpruwa szponami – niczym harpunem – lustro wody. I już po chwili wznosi się, dźwigając dorodnego leszcza. Niebawem czekające w gnieździe piskłę rozpocznie ucztę.

Biały ogon, nie kruk

Sto lat temu był w Polsce na krawędzi wymarcia. Dziś na szczęście nie jest już białym krukem. Programy obejmujące ten gatunek ochroną przyniosły bowiem efekty i obecnie populację bielika (*Haliaeetus albicilla*) – jednego z bohaterów tej opowieści – szacuje się w Polsce na 1500 par.

Będąc w gronie największych ptaków Europy, mimo olbrzymich rozmiarów (nawet dwa i pół metra rozpiętości skrzydeł), zwinny jest zarówno w trakcie polowania, jak i odbywanych podczas zimy godów, niepozbawionych finezji i gracji. Swoją nazwę zawdzięcza ogonowi, który biały staje się dopiero w piątym czy szóstym roku życia, gdy ptak osiąga pełną dojrzałość płciową.

Sierakowski Park Krajobrazowy jest w naszym województwie obszarem, gdzie bielików – ptaków związanych ze środowiskiem wodnym – żyje najwięcej (w Wielkopolsce występuje około 50 par). Pojezierze Międzychodzko-Sierakowskie, zwane też Krainą Stu Jezior, jest idealnym domem dla niego. W menu tego drapieżcy są ryby oraz ptactwo wodne. Warto jednak podkreślić, że ptak ten nie tylko poluje, co jest widowiskowym seanssem, ale też zjada padlinę, w tym martwe ryby, pełniąc w środowisku ważną funkcję czyszciciela.

Podczas naszej wycieczki w okolice Sierakowa z parą dostojnych bielików spotykamy się w ciągu godziny dwukrotnie. Ekscytujemy się ich widokiem, przedzierając się wąską ścieżką w rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim.

Podróż w głąb czasu

Jesteśmy w rynn timerze polodowcowej. Jak wyobrazić sobie, że tysiące lat temu pełzło tu masywne cielsko łądolodu skandynawskiego? Jak gigantyczny rzeźbiarz przewracał on, ubijał, przesuwał, drażył i rozcinał warstwy ziemi. Jego dziełem jest, nadal pulsujące przemianami, bogate ukształtowanie terenu, które możemy dziś przemierzać i podziwiać. W okolicach Sierakowa cofający się łądolód wyźłobił



Bielik

między innymi pasma jezior rynnowych, takich jak: Lutomskie, Kłosowskie, Barlin, Mnisze, Lichwińskie czy Kubek. Wchodzenie w głębokie rynny nawet na wyznaczonych szlakach wymaga niemałej sprawności i świetnego zmysłu równowagi. Osobliwością jest Jezioro Śremskie skrywające kryptodepresję – dno tego akwenu (w najgłębszym miejscu sięgające 45 metrów) znajduje się sześć metrów poniżej poziomu morza.

Najbardziej nam znanym efektem prac przesuwającego się lądolodu są moreny, dziś porośnięte lasami i zagospodarowane jako pola uprawne. Pokłady piasku, pozostawione na równinie akumulacyjnej w widłach Warty i Noteci, tworzą największy w Polsce zespół wydm śródlądowych o wysokości 20-30 metrów (maksymalnie 90 metrów), leżących w odległości około pół kilometra od siebie. Przemierzając tutejsze lasy podczas wycieczki, grzybobrania czy zbioru jagód,

warto zadumać się nad tym, że ten jednowymiarowy bór sosnowy, posadzony po gradacji strzygoni choinówki w latach 20. XX wieku (więcej na ten temat w opowieści „O sośnie – królowej wielkopolskich lasów” – s. 34), rośnie na terenie o bogatej przeszłości geologicznej.

Jedną z botanicznych pamiątek po okresie glacialnym jest tu zimozioł północny (*Linnaea borealis*), ulubiona roślina Linneusza, o charakterystycznych dwóch lejkowatych różowych kwiatach. Ten powszechnie występujący w tajdze i tundrze gatunek, w naszej strefie klimatycznej jako relikwit polodowcowy jest objęty ochroną.

Innymi pozostawionymi znakami firmowymi pełznącego łądolodu są głazy narzutowe. Szczególnym hołdem upamiętniającym tę zamierzchłą wędrówkę jest punkt widokowy nieopodal miejscowości Sprzeczo, zwany Górą Głazów, skąd roztacza się rozległa panorama na dolinę Warty i Puszcę Notecką. Znajduje się tu zbiór głazów przywleczonych z obszaru Skandynawii, z których największe wrażenie wywiera ten z różowego granitu rapakiwi (9 metrów obwodu i 2,3 metra wysokości).



Góra Głazów



Kania ruda

Ruda wyścigówka i śmieciarka

Pasjonaci ptaków, wsiadając do kajaka lub łódki, na terenie Sierakowskiego PK mogą pokrażyć po Jeziorze Kłosowskim wokół objętych rezerwatem Czaplich Wysp. Ostoję lęgową znajdują tu nie tylko czaple, ale też inne ptaki związane ze środowiskiem wodnym, takie jak rybołowy czy kormorany.

Jak zwykle naszą uwagę przykuwa szybujący drapieżnik. Drapole zdecydowanie nie są moją mocną stroną, ale w tym wypadku ogon z ostrym wcięciem, sylwetka w kształcie litery M, charakterystyczne białe plamy na pokrywach podskrzydłowych i czarne „palce” lotek szybko nasuwają odpowiedź. Trzeba przyznać – unosząca się nad polami kania ruda (*Milvus milvus*) wygląda zjawiskowo. Zwłaszcza gdy, manewrując ogonem, jako doskonały pilot wykonuje nagłe zwroty w powietrzu. Szkoda, że maestrii lotu nie dorównuje wygląd jej gniazda. Niestety, mamy w tym swój udział, bowiem kanie znoszą do swoich domów pozostawione przez nas śmieci: fragmenty folii, sznurki czy szmaty.

Na terenie naszego kraju ptaków tego gatunku żyje najwięcej na Pomorzu Zachodnim i w Wielkopolsce. Kolejna dobra wiadomość jest taka, że ich liczba (podobnie zresztą jak bielików) w latach 2008-2020 wzrosła w Polsce dwukrotnie.

Lednica - jezioro z historią



Są jeziora większe i głębsze, pewnie też piękniejsze – choć to akurat oczywiście skwestia gustu. Czy jednak jest drugie z takim bagażem znaczeń, historycznych odniesień i kulturowych zakotwiczeń, z którymi tak pięknie współgra natura?

Powstały w 1988 roku Lednicki Park Krajobrazowy był pierwszym położonym w całości w granicach Wielkopolski. Nie zdecydowały o tym walory przyrodnicze – choć te, dzięki otoczeniu terenu ochroną i poprawie jakości wody, są coraz istotniejsze – ale znaczenie dla kultury i historii Polski tego – wydawałoby się – niepozornego jeziora. Na największej z jego wysp – Ostrowie Lednickim – już ponad tysiąc lat temu istniał jeden z najważniejszych grodów wczesnopiastowskiej Polski, który mógł być jednym z prawdopodobnych miejsc chrztu Mieszka I. Być może woda pobrana z Lednicy obmywała chrzczonego księcia i jego dwór, ale też pochłonęła wielu wojów, którzy bronili grodu między innymi podczas najazdu



Ostrów Lednicki



Wielkopolski Park Etnograficzny w Dziekanowicach

czeskiego księcia Brzetysława I w 1038 roku (więcej na ten temat w opowieści „Tam, gdzie Mieszko i Chrobry gród budowali” – s. 132). Po Ostrowie stąpali dwaj pierwsi polscy władcy i najprawdopodobniej cesarz Otton III. Pływać motorówką i uprawiać wakeboard byłoby tu raczej nie na miejscu...

Historia zapamiętana w krajobrazie

Lednica wymaga od nas ciszy i nabożeństwa. Nie muszą to być uroczystości religijne, jakie regularnie odbywają się na Polach Lednickich na północno-zachodnim brzegu jeziora. Na co dzień wystarczy uważność i szacunek podczas samotnego spaceru albo rowerowej wycieczki. „Boczną drogą pod starymi wierzbami dochodzimy do wsi Dziekanowice a po za nią na pusty, cichy, trzcina trochę zarosły, lekkimi falami muskany brzeg naprzeciw ostrowa. – Przewozi nas nań rybak łódką. [...] Przed nami rozległa łąka; kwiaty na niej na wysokich łądygach, liczne, duże; gdzie niegdzie kępy krzewów; brzegi porośnięte olszyną i gęstymi splotami dzikiego chmielu; dalej jezioro, blade-błękitne, a za niem równina; łagodny, kojący krajobraz” – pisał w 1913 roku Bernard Chrzanowski w artykule „Kruszwica i Lednica”. Przewoźnik nie jest dziś rybakiem, lecz pracownikiem Muzeum Pierwszych Piastów, ale poza tym tak mało się od tamtego czasu zmieniło.

Wiele też wskazuje na to, że Lednica jest bardzo podobna do tej, jaką oglądali pierwsi Piastowie. Jezioro leży na Pojezierzu Gnieźnieńskim i jest największym zbiornikiem wodnym w jego zachodniej części. Na szczęście – w przeciwieństwie do akwenów położonych w jego wschodnim fragmencie – nie jest ono narażone na wysychanie spowodowane działalnością kopalń węgla brunatnego (choć deficyty wody i spadek poziomu jeziora są zauważalne), a wcześniej nie zostało dotknięte osuszaniem zlewni okolicznych rzek, te bowiem omijają Lednicę szerokimi łukami. Od południa zbiornik zamyka rynną polodowcową ciągnącą się ku Janowcowi Wielkopolskiemu. Wyróżnia się tym, że jest od innych jezior szersze, odprowadza swoje wody na południe i znajduje się na nim aż pięć wysp. Największą jest wspomniany Ostrów Lednicki, w przeszłości nazywany po prostu Ostrowem, a na przedwojennych mapach oznaczany czasami jako Ledniczka. Jednak obecnie Ledniczka to mniejsza wyspa, położona na zachód od Ostrowa. Również na niej znajduje się stanowisko archeologiczne – pozostałość po grodzie rycerskim lub kasztelańskim, przeniesionym tu z sąsiedniego Ostrowa. Ledniczka, podobnie jak trzy pozostałe wysepki – dwie bezimienne, niemal połączone ze sobą, położone w północnej części jeziora Lednica, a przede wszystkim Wyspa Mewia – są dziś ostoją dla ptaków.

Wyspy dla ptaków

Wśród nich króluje trzciniak, znajdujący tu znakomite warunki do życia. Praktycznie całe jezioro otoczone jest pasem szuwarów, które są środowiskiem tego ptaka, a jednocześnie pomagają w utrzymaniu czystości wody, będąc naturalnym buforem zwłaszcza dla substancji biogennych. Jeszcze poważniejszą barierą dla nich są drzewa, które również opasują niemal cały akwen. Najwięcej jest ich na północy, gdzie płynnie przechodzą w las, ale pas wierzb, wiązów, jesionów czy olch, charakterystycznych dla terenów podmokłych, oplata zbiornik ze wszystkich stron. W szuwarach oprócz trzciniaków dom znajdują również bąki, remizy czy perkozy. Na wyspach łęgi wyprowadzają między innymi gęgawy. Z ptaków drapieżnych na jeziorze gniazduje błotniak stawowy. Łącznie na terenie Lednickiego Parku Krajobrazowego zaobserwowano 158 gatunków ptaków, w tym 111 lęgowych, między innymi remizy i wąsatki. Najlepszym czasem na ornitologiczne obserwacje są oczywiście wiosna i jesień. Szczególnie widowiskowe są przeloty i zimowiska gęsi (więcej na ten temat w opowieści „Czajka – dama nadwarciańskich łąk” – s. 68) i jesienne zgrupowania żurawi, które w okolicach Lednicy zbierają się do odlotu na zimowe kwatery.

Ptaki znajdują nad Lednicą całkiem niezłe warunki życia. Co prawda rok w rok Muzeum Pierwszych Piastów odwiedza ponad sto tysięcy osób, ale ruch turystyczny jest ograniczony do stosunkowo niewielkiego obszaru. W tej części Wielkopolski króluje turystyka kulturowa. Nie jest to centrum sportu i rekreacji, choć w Lednogórze i Dziekanowicach znajdują się kameralne plaże z widokiem na Ostrów Lednicki i Ledniczkę, a na wodzie można czasem zobaczyć łódki.

Łowienie przeszłości

Dno jeziora jest natomiast intensywnie penetrowane przez nurków – i nie są to osoby przypadkowe. Lednica to prawdziwy poligon dla badaczy archeologii podwodnej, dla których jest to główny teren eksploracji. Badania prowadzone przez Centrum Archeologii Podwodnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy trwają nieprzerwanie od początku lat 80. XX wieku, choć pierwszych odkryć dokonano już około 30 lat wcześniej. Do najnowszych należą pozostałości mostów łączących zachodni brzeg jeziora z Ledniczką. Starszy z nich jest datowany już na lata 913-914, co świadczy o tym, że został zbudowany już za panowania ojca, a może nawet dziadka pierwszego historycznego władcy Polski. Okazuje się więc, że Lednica pamięta nie tylko Mieszka I, ale również jego legendarnych poprzedników Siemomysła i Lestka.



Relikty mostu na Ostrów Lednicki z X wieku

W dolinie Baryczy



Tylko dwie tonacje barwne – zgaszona czerwień i grafitowa szarość. W nieruchomym, doskonale gładkim lustrze wody odbijają się ich dostojne i smukłe sylwetki. Nagły, przesywający otoczenie krzyk niczym błyskawica rozbija statykę obrazu. Widokiem zlotowiska żurawi na Stawach Milickich trudno się nasycić. Podczas każdej wizyty spektakl ten pokazuje swoją inną odsłonę. Podobnie jak późnojesienne zloty bielików, które zwabione połowem karpi przylatują tu na doroczną obfitą ucztę.

Żywe bogactwo wody

Widziane z lotu ptaka kojarzą się z niebieską taflą poprzecinaną zielonymi kreskami i łukami łądu, po których biegną groble. Jak wyglądał początek miejsca znanego dziś jako Stawy Milickie czy – ogólniej – Dolina Baryczy?

Podczas zlodowacenia Wisły, zakończonego kilkanaście tysięcy lat temu, przesuwany się tu łądolód wyźłobił rozległe i płaskie obniżenie. I to w nim zaczęła płynąć rzeka Barycz. Jak informował w tomie VII „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”: „Okolice Odolanowa jest błotnista i niezdrówą; panują tu febry, tyfusy i biegunki”.

W XIII wieku potencjał tego terenu dostrzegli jednak cystersi, którzy – jako zakon specjalizujący się w zakładaniu siedzib w trudno dostępnych, podmokłych miejscach – w mokradłach i łąkach nad Baryczą zobaczyli swą kolejną ziemię obiecaną. I zbudowali tu system stawów, dziś znanych jako Milickie, które miały zaspokoić ogromne zapotrzebowanie na ryby – w średniowieczu posty stanowiły przecież połowę roku.

Największą powierzchnię – łącznie 13 tysięcy hektarów, dwukrotnie więcej niż dzisiaj – miały Stawy Milickie w XVIII stuleciu. Jednak ze względu na to, że ograniczone zasoby wodne terenu nie mogły utrzymać tylu akwenów, w XIX wieku część zbiorników zlikwidowano, przeznaczając je na ziemię uprawną. Do dziś z tego okresu przetrwała część urządzeń hydrotechnicznych, takich jak jazy, przepusty i mnichy, które pozwalają lepiej korzystać z potencjału obszaru.

Barycz jako rzeka charakteryzująca się najmniejszym spadkiem spośród polskich rzek (co zawdzięcza płaskiemu ukształtowaniu dna doliny), wynoszącym



Dolina Baryczy – raj dla ptaków i birdwatcherów

0,035 procenta, leniwie toczy swe wody, sącząc je od okolic Ostrowa Wielkopolskiego, by po 133 kilometrach połączyć się z Odrą w okolicach Wyszanowa.

Cystersom zawdzięczamy też sprowadzenie do Polski nieznanego tu wcześniej karpia. Dziś Stawy Milickie są jednym z największych ośrodków hodowli tej ryby w Europie. Jej poświęcone są rozłożone na trzy miesiące Dni Karpia w Dolinie Baryczy. Podczas nich odbywają się różnorodne wydarzenia przybliżające walory tej części Polski, uczty pod hasłem „Ryba do syta”, spływy kajakowe, rajdy rowerowe czy wycieczki edukacyjne.

Skrzydlate uniesienia

Zadaniem Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy jest zabezpieczenie przede wszystkim siedlisk związanych z wodą (doliny rzecznej i stawów hodowlanych). Jest on objęty konwencją ramsarską, zapewniającą ochronę najcenniejszym obszarom wodno-błotnym. Należy także do prowadzonego przez Organizację Narodów Zjednoczonych programu Living Lakes (Żyjące Jeziora), w ramach którego powstała sieć unikatowych śródlądowych zbiorników wodnych.

Stawy Milickie od lat przyciągają przede wszystkich miłośników ptaków. Podczas naszego wrześnieowego, zbyt krótkiego, spaceru mamy szczęście głównie do



Połowy karpia czas zacząć

dziesiątek czapli białych siedzących i kołyszących się na gałęziach drzew. A to przecież ułamek w ogromnej różnorodności gatunków ornitofauny, których stwierdzono tu około 300, z czego ponad połowa to ptaki lęgowe. Poruszające są relacje przyrodników czy koneserów niezapomnianych chwil w naturze, opisujących wiosenne albo jesienne mgliste poranki, podczas których tysiące gęsi – gęgaw, zbożowych czy białoczelnych – wznoszą się z noclegowiska do nieba. Huk z tysięcy skrzydeł połączony z gęganiem to solidny akord na początek dnia. Najwyższy czas własną kolekcję wyjątkowych wrażeń przeżytych w naturze uzupełnić o właśnie takie! Tym bar-

dziej że jest to osiągalne w naszym regionie. W Dolinie Baryczy jest także szansa na spotkanie z błotniakami stawowymi, wąsatkami, łabędziami krzykliwymi, perkozami dwuczubym i rdzawoszyim, głowienkami, krakwami czy rybitwami czarną i rzeczną.

Nie tylko ptaki

Dolina Baryczy jest największym parkiem krajobrazowym w Polsce. Lwia jego część znajduje się w województwie dolnośląskim, a wschodni fragment – w południowej części wielkopolskiego.

W leżącej w naszym regionie części, w pobliżu Odolanowa i Antonina (więcej o walorach tej drugiej miejscowości można przeczytać w opowieści „Krótka historia o pałacyku myśliwskim” – s. 136), na birdwatcherów czeka wieża obserwacyjna w pobliżu Stawów Przygodzickich, a dokładniej – nad stawem Trzcielin Nowy. Walorem Antonina jest też ponad 220 pomnikowych dębów, które są drugim – po dębach rogańskich – skupiskiem drzew tego gatunku w Europie.

W pobliżu Antonina znajduje się także rezerwat Wydymacz (jedyny w części wielkopolskiej PK Dolina Baryczy), który chroni między innymi łągi jesionowo-olszowy i wiązowo-jesionowy, ols porzeczkowy, acydofilną dąbrowę trzcinnikową oraz pas szuwarów wokół stawu Wydymacz. Stwierdzono tu występowanie siedmiu gatunków roślin chronionych. Są wśród nich włosienicznik skąpopręcikowy (*Batrachium trichophyllum*), nadwodnik naprzeciwlistny (*Elatine hydropiper*) czy jeziorza mniejsza (*Najas minor*).

Barycz pomnaża bogactwo natury, tocząc spokojnie swe wody. Zanurz się w jej gościnność i jak najczęściej tu wracaj!



Natura twórcą

W objęciach Warty i Lutyni



Był rok 1907, gdy Fritz Pfuhl, nauczyciel gimnazjum św. Marii Magdaleny i Akademii Królewskiej w Poznaniu oraz członek Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina, dopiął swego i doprowadził do utworzenia pierwszego i przez wiele lat jedyne w Wielkopolsce rezerwatu przyrody.

Orędownikiem jego powstania był również wybitny przyrodnik i pionier ochrony przyrody nie tylko w Prusach, ale i w całej Europie – Hugo Conwentz, znany między innymi z obrony przed wyrębem Puszczy Białowieskiej podczas I wojny światowej. Może również z tego powodu o lesie w widłach Warty i Lutyni mawia się czasem „wielkopolska Białowieża”. Jednak podstawowy powód jest inny. Ten obszar to jeden z największych i najcenniejszych lasów łęgowych w Europie. Jego istnienie zawdzięczamy przyrodzie, ale również przyrodnikom, którzy od 150 lat walczą o jego przetrwanie.



Nad Wartą

Między wałami

Właśnie półtora wieku temu Prusacy po zwycięstwie w wojnie z Francją i otrzymaniu gigantycznych reparacji przystąpili do regulacji Warty, która dotąd meandrowała, roztaczając liczne koryta i starorzecza, i gubiąc w ten sposób flisaków. Na przepłynięcie kilkukilometrowego dzisiaj odcinka pomiędzy Pogorzelicą a Dębniem potrzebowali oni niegdyś całego dnia. Rozlewająca się po pradolinie Warta – leniwa, kapryśna, niemal w miejscu stojąca – wymagała od nich wiele wysiłku. Po wyprostowaniu koryta Warty w 1871 roku odległość między ujściem Proсны a Śremem skróciła się aż o 25 kilometrów, w związku z czym zwiększył się również spadek rzeki. To, co dobre dla żeglugi, zwykle jednak nie jest najlepsze dla natury.

W ramach projektu wybudowano wał na północnym brzegu Warty, odcinając w ten sposób od okresowych zalewów północną część lasu. Na szczęście południowy wał przeciwpowodziowy powstał dopiero po II wojnie światowej i usypano go na południowym brzegu Lutyni, pozostawiając niemal całe uroczysko na terenie zalewowym. Choć początkowo plan był inny. Jeszcze przed



Warta – im więcej zakoli, tym lepiej



W rezerwacie Czeszewski Las

II wojną światową chciano zbudować wał bezpośrednio na lewym brzegu Warty, co groziło wycinką nadbrzeżnych drzew i skazałoby czeszewskie łęgi na zagładę. Wybitny ornitolog Jan Sokołowski pisał na łamach czasopisma „Ochrona Przyrody” w roku 1936, protestując przeciw tym planom: „Przeciętnie co trzy lata Warta występuje z brzegów i zalewa lasy, pozostawiając po powodzi warstwę żyznego mułu. Na tym aluwium rozwija się nadzwyczaj bujna roślinność, tworząc typowy las zalewowy. Wszędzie widać, że las żyje i rozrasta się tylko dzięki tym okresowym zalewom”. Bez regularnego zalewania w lasach łęgowych zachodzi zjawisko gładowienia, czyli zmiany składu runa, a następnie drzewostanu, wynikające z naruszenia stosunków wodnych i wysychania starorzeczy. Odcięty od rzeki łęg nie jest w stanie nim pozostać. Na szczęście malowniczy opis Jana Sokołowskiego sprzed 85 lat wciąż jest aktualny: „Las na terenie zalewowym sieje się sam, toteż podszycie jest nadzwyczaj bujne, a kwiaty i zioła leśne, jak np. białe storczyki podkolany wydają bajkową woń. Szczególnie malownicze grupy tworzą stare, wypróchniałe i częściowo połamane topole i wierzby, nigdy nie obcinane i nie krępowane w rozroście, pokryte delikatnym srebrnym ulistnieniem, są jak gdyby ucieleśnionymi obrazami

Corota. Urok lasów czeszewskich potęgują przepiękne, stare koryta rzeczne. Co chwila otwiera się las, przecięty długą, skośną polaną, zieloną jak szmaragd. Właśnie stado jeleni przebiega polaną, kryjąc się pod ścianę drzew”.

Za tamą

Kolejne zagrożenie dla czeszewskich łągów nadeszło wraz z budową zapory na Warcie. Wypełniany od 1986 roku zbiornik Jeziorsko zakłócił rytm przyrody, ograniczając wylewy i obniżając poziom wód na terenie uroczyska Warta. Jeszcze raz okazało się, że to, co dobre dla człowieka – w tym wypadku ograniczenie ryzyka powodzi – bywa złe dla przyrody. Starorzecza zaczęły się kurczyć, a charakterystyczne dla grądów, dotychczas domieszkowe, graby, lipy i klony zaczęły wypierać typowe dla łągów wiązy, jesiony czy topole. Bez interwencji człowieka jeden z najcenniejszych lasów łągowych Europy byłby dzisiaj pięknym, lecz jednak niewyróżniającym się spośród wielu podobnych do siebie grądów. By tak się nie stało, od 2004 roku na terenie Żerkowsko-Czeszewskiego PK tworzony jest specjalny system hydrotechniczny, którego głównym elementem są progi na Lutyni i jednokierunkowe zastawki, które zatrzymują wodę w starorzeczach i zapobiegają szybkiemu opadaniu jej po okresowych wylewach Warty i Lutyni.

Większy, coraz większy

Rezerwat stworzony przez Niemców (jedyne, jaki przed I wojną światową utworzono w Wielkopolsce) miał powierzchnię zaledwie 0,75 hektara i jeśli wierzyć polskim przyrodnikom, takim jak prof. Adam Wodziczko, teren ochronny nie został wybrany zbyt szczęśliwie. W dodatku po I wojnie światowej mocno go przetrzebiono. Nowy leśniczy, nie będąc poinformowanym o istnieniu na jego terenie rezerwatu, doprowadził do wyrąbania największych okazów drzew, zwłaszcza dębów. Wycinka dotknęła zresztą terenu całego uroczyska. Na szczęście najcenniejsze okazy dębów znajdowały się i do dziś rosną poza obrębem tego kieszonkowego rezerwatu, przede wszystkim w okolicy przyczółka promowego naprzeciwko Czeszewa. W 1959 roku utworzone zostały na terenie uroczyska dwa rezerwaty: Lutynia i Czeszewo, połączone w 2004 roku w jeden Czeszewski Las. Obszar objęty ochroną wciąż się powiększa. Po ostatnim rozszerzeniu granic w 2021 roku Czeszewski Las osiągnął rozmiar 500 hektarów, czyli jest prawie 700 razy większy niż rezerwat będący realizacją pomysłu Fritza Pfuhla.

Na szlaku konwaliowym



Mimo że w herbie Przemęckiego Parku Krajobrazowego widnieje perkoz dwuczuby, to jednak jego najbardziej rozpoznawalnym symbolem jest niewątpliwie konwalia majowa. I to nie taka zwyczajna. Ta rosnąca na wyspie na Jeziorze Radomierskim nie jest, jak inne, po prostu biała. Ma delikatnie różowe żyłkowanie płatków kwiatów i także nasady pręcików.

Delikatna i silna

Wyspa Konwaliowa od XIII wieku należała do cystersów z pobliskiego Przemętu. Nie można więc wykluczyć, że to im zawdzięczamy tę przyrodniczą osobliwość. Konwalia majowa ma właściwości lecznicze, często też przez swoje podobieństwo do lilii wodnej kojarzona była z symbolem czystości. Z tego też względu pojawiała się na ołtarzach i obrazach maryjnych. Lud nazywał ją „łzami Naszej Pani”, a mnisi „drabiną do nieba”. Jako symbol niewinności, a także z powodu swego upojnego zapachu wykorzystywana jest dziś w bukietach ślubnych. Szły z nią do ołtarza między innymi sławne aktorki, jak Grace Kelly, Audrey Hepburn oraz Kate Middleton, czyli księżna Katarzyna. Z drugiej strony, konwalia jest też rośliną silnie trującą, groźne są zwłaszcza jej apetycznie wyglądające owoce. Olejek z jej kwiatów uznawany jest za afrodyzjak i wykorzystuje się go w perfumach. To znaczne przeciwieństwo lilii, a przynajmniej niektórych jej gatunków, których korzenie i nasiona są jadalne, a w przeszłości uważano nawet, że ich spożywanie obniża popęd seksualny. Z tego powodu zalecano je... mnichom. O symbolicznym powinowactwie obu roślin przypominają też nazwy konwalii – dawna łacińska *Lilium convallium* i współczesna angielska *lily of the valley*.

Kajakowa pętla

Na Wyspę Konwaliową wejść nie można. Mimo że jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku odbywały się na niej zabawy i festyny ludowe, dziś cała wyspa jest krajobrazowym rezerwatem przyrody, który możemy podziwiać tylko z powietrza lub – co znacznie łatwiejsze – z wody. Sposobem na to jest wycieczka Konwaliowym Szlakiem Kajakowym, który ma około 37 kilometrów długości i łączy niemal wszystkie jeziora w Przemęckim Parku Krajobrazowym. Maj jest wyjątkowo



Konwalia majowa

dobrym czasem na jego przepłynięcie nie tylko ze względu na kwitnące biało-różowe kwiaty na Wyspie Konwaliowej, ale też dlatego, że w późniejszych miesiącach poziom wody w kanale łączącym jeziora Dominickie z Przemęckim zwykle spada tak mocno, że pokonanie tej części szlaku jest niemożliwe.

Jeziora na terenie parku – pamiątka po ostatnim zlodowaceniu – położone są w trzech rynnach, które niegdyś, jak pokazują historyczne przekazy i mapy, tworzyły znacznie większe akweny niż dziś. Być może nawet – jak pisał Jan Długosz – było w tym miejscu jedno, lecz „niezmierne” jezioro Dominice, ciągnące się od Brenna aż po Przemęt. Pamięć o „niezmiernych” wodach zachowała się też w podaniach

ludowych. Według jednego z nich Jezioro Trzebidzkie było niegdyś połączone z Przemęckim. Na pewno poziom wody w jeziorach był wyższy, a dziś nie różni się zbytnio pomiędzy tymi akwenami, które – dzięki temu oraz połączeniu ich kanałami – można opłynąć kajakiem, zataczając niemal pełną pętlę. Aby ją domknąć, należy przewieźć kajak na krótkim odcinku pomiędzy jeziorami Dominickim i Brzeźnie lub Zapowiednik. Spośród jezior przemęckich najwyżżej znajduje się leżący pomiędzy nimi niewielki Maszynek, najniżej zaś – Przemęckie



Małe. Jeziora są zwykle nie tylko płytkie, ale również nieduże. Wyróżnia się spośród nich największe i najgłębsze Jezioro Dominickie, którego objętość wynosi połowę objętości wszystkich akwenów na terenie parku.

Nie masz rzeki...

Wycieczka kajakowa po jeziorach przemęckich mogła być łatwiejsza, zanim osuszono Wielki Łęg Obrzański, rozciągający się, w przybliżeniu, pomiędzy Kościanem a Przemętą. Przez ten rozległy i niemal idealnie płaski teren płynęła do początku XIX wieku Obra, dziś uwięziona w trzech kanałach. „Nie masz rzeki, któraby wylewami swemi tyle czyniła szkody kraiovi naszemu, ile czyni Obra w Departamencie Poznańskim” – pisał w 1811 roku Wawrzyniec Surowiecki w dziele „O Rzekach Y Spławach Kraiów Xięstwa Warszawskiego”. „Nayżyzniejsze grunta, naypiękniejsze łęgi, które gdzieindziéy przyjemném tylko drażnieniem łechcą oko ludzkie, tu nie wystawiaią, jak tylko smutny obraz ponurości i spustoszenia” – grzmiał autor. Minimalny spadek i brak wyraź-



Wyspa Konwaliowa

nego koryta sprawiały, że Obra rozlewała się samopas po mokradłach pośród charakterystycznych, płaskich, polodowcowych ostańców, tworząc okresowo wielkie rozlewiska. Nie były to zresztą aż tak efemeryczne twory, skoro rysowano je na mapach. Największe z nich, rozciągające się na długości około 12 kilometrów powyżej Przemętu, miało powierzchnię większą niż dzisiejsze Śniardwy! Człowiek z rozlewisk tych nie miał jednak wielkiego pożytku, nic zatem dziwnego, że już od średniowiecza przymierzano się do ich osuszenia. Zadaniu temu przez setki lat nie dawali rady ani sprowadzeni do Kaszczoru, a następnie Wielenia i Przemętu cystersi, ani właściciele ziemscy. Zatory tamujące odpływ wody usunęli dopiero Prusacy. Oni też zbudowali system kanałów odwadniających i zamienili tysiące hektarów mokradeł w niezwykle żyzne łąki. Inwestycja zwróciła się podobno już po roku. Poziom wody opadł wówczas również w jeziorach przemęckich. Zmniejszyło się na przykład i podzieliło jezioro Lgińsko i inne w zlewni Młynówki Kaszczorskiej, osuszone zostały mokradła w okolicach Brenna, Miastka i Zaborówca.

W krainie raka rzecznego



Gdy przekraczam Kamionkę kładką za leśniczówką Papiernia, moją uwagę przykuwa jej dno usiane licznymi, zróżnicowanymi pod względem wielkości kamieniami – tak charakterystyczny element górskich potoków. A przecież jesteśmy na wielkopolskiej nizinie.

Góralka na nizinie

Bohaterka naszej opowieści – rzeka Kamionka – w granicach Parku Krajobrazowego Dolina Kamionki, leżącego w zachodniej części województwa wielkopolskiego, płynie między Lewicami a Kamionną, na odcinku o długości 14,2 kilometra. Swój początek bierze w okolicach Lewic, gdzie zbiegają się ciekły odprowadzające wodę z podmokłych łąk. Po 21 kilometrach, przed Międzychodem, jako lewy dopływ Warty, królowej wielkopolskich rzek, łączy się z jej nurtem. Dolina znajduje się na terenie Pojezierza Międzychodzko-Sierakowskiego, którego cechą charakterystyczną jest dobrze zachowana rzeźba polodowcowa.



Rak szlachetny



Rzeka Kamionka

Na czym polega osobliwość tej nietypowej jak na warunki nizinne rzeki? Przede wszystkim w górnym odcinku ma bardzo szybki nurt (o średnim przepływie 140 l/s) i kamieniste dno, typowe dla rzek górskich. Z kolei odcięcie od otaczającego środowiska ocaliło jej wyjątkowy system hydrologiczny i związany z nim ekosystem. Dzięki temu, płynąc w głęboko wciętej dolinie odizolowanej od okolicznych pól, ma niezwykle czystą wodę – zaliczaną do klasy I.

Niejedno źródło

By trochę poznać Kamionkę, kierujemy swe kroki na ścieżkę edukacyjną rozpoczynającą się przy Centrum Edukacji Regionalnej i Przyrodniczej w Mniszkach.

Do ciekawszych miejsc na trasie należy jedno z pięćdziesięciu znajdujących się w dolinie źródeł. Są one pamiątką po okresie zlodowaceń, podczas którego przesuwały się lądolód między innymi przemieszał pokłady gliny i żwirów, wydzielając wśród nich mocno rozbudowany system podziemnych zbiorników. To właśnie z nich woda wydostaje się na powierzchnię pod postacią źródeł. Strome zbocza doliny są przecinane przez liczne wcięcia wyżłobione przez wodę, która szczególnie intensywnie wypływa w czerwcu i lipcu. Wchłonięta podczas roztopów, przefiltrowana i wzbogacona mikroelementami, zasila podziemne



Stary las w okolicach Mniszek

zbiorniki, które wybijają właśnie w postaci źródlisk. Inną formą wypływania wód podziemnych są młaki – woda z nich podsiąka grunt i ma postać trudnych do przejścia bagnisk porośniętych bujną roślinnością.

W Dolinie Kamionki, na terenie objętym ochroną w ramach parku krajobrazowego, zachowało się kilka torfowisk (m.in. w okolicach leśniczówki Papiernia), które porasta gruby kobierzec torfowców. Dzięki specyficznej budowie ten gatunek mchów ma możliwość gromadzenia bardzo dużych ilości wody (więcej o znaczeniu torfowisk w opowieści „Łąki trzęślicowe – wspomnienie uroczysk i mokradeł” na s. 60).

Życie podwodne

Polodowcowe ślady zauważalne są także w faunie źródlisk znajdujących się w PK Dolina Kamionki. W wodzie o niskiej temperaturze (8-10 stopni Celsjusza) żyją reliktywne gatunki zimnolubne, przeniesione na nasz teren podczas ostatniego zlodowacenia. To na przykład kielże, drobne skorupiaki o długości 20 milimetrów, które można znaleźć pod kamieniami i na piaszczystym dnie strumieni wypływających ze źródlisk.

W wodach Kamionki w rejonie Mnichów stwierdzono obecność minoga strumieniowego (*Lampetra planeri*), rzadkiego prymitywnego kręgowca wodnego, który występuje wyłącznie w dobrze natlenionych i czystych wodach. Z kolei ryby reprezentują tutaj między innymi klenie (*Squalius cephalus*), żyjące w partiach rzeki ze spokojniejszym nurtem i z roślinnością, oraz kozy (*Cobitis taenia*), preferujące piaszczyste dno.

Największą chlubą Kamionki jest rak szlachetny (*Astacus astacus*), w przeszłości pospolity mieszkaniec polskich jezior, rzek czy strumieni. W konsekwencji rozwoju rolnictwa i przemysłu kurczą się jednak zasoby czystych wód, których gatunek ten potrzebuje do życia. Niszczycielską cegiełkę dokłada także dzuma racza, dziesiątkująca populację choroba przeniesiona w XIX wieku z Ameryki Północnej do Europy – wraz ze sprowadzeniem obcych geograficznie raków przegowanego i sygnałowego.

Rak szlachetny żył w Kamionce do lat 50. i 60. ubiegłego wieku, kiedy wskutek zanieczyszczenia wyginął. Na początku XXI stulecia podjęto, zakończoną sukcesem, próbę jego reintrodukcji.

W tych partiach rzeki, gdzie płynie ona łagodniej, rosną także rośliny podwodne. Szczególnie urokliwie wyglądają rdestnice przeszyte, których długie elastyczne wstęgi łodyg, o długości nawet sześciu metrów, falują w nurcie. Ozdobą są także o połowę krótsze rdestnice grzebieniaste o sznurach długich na trzy metry. Te ostatnie możemy zobaczyć także w jeziorach, gdzie są źródłem pokarmu dla niektórych ptaków wodnych.

Za każdym razem inaczej

Idąc po szlaku wyznaczonym tuż przy granicy rezerwatu florystycznego Dolina Kamionki, utworzonego w 2004 roku, oddaliśmy się nieco od geologicznych i hydrologicznych zagadnień, bo naszą uwagę przykuwa drzewostan z leciwymi okazami buków, dębów czy jaworów, rosnących na stromych zboczach. Na początku lipca, kiedy wybraliśmy się na wyprawę tutaj, w warstwie runa dominujący niecierpka drobnokwiatowego – mocno rozpowszechnionego gatunku inwazyjnej rośliny obcego pochodzenia.

Czuję niedosyt, bowiem za sprawą intensywnej już roślinności nie mieliśmy szans zobaczyć innych osobliwości, które stanowią o specyfice tego miejsca, jak na przykład kwitnących pełników europejskich czy buławników czerwonych. W przyrodę warto zanurzać się w różnych porach roku – dzięki temu zyskuje się pełniejszy jej obraz.

W pradolinach Warty



Wyznaczono nad nią dwa parki narodowe i osiem krajobrazowych, w tym cztery w Wielkopolsce. W hymnie narodowym obok Wisły tylko o niej śpiewamy. Jan Długosz też stawiał ją na podium rzek polskich, gdy pisał: „Trzecia Warta, co znaczy straż; nie przestając bowiem na jedném łozu, ale dzieląc się i rozchodząc na kilka, wodami szeroko rozlanemi niejako wartuje”.

W tym zdaniu zresztą streszcza prawdę o Warcie już nieco zapomnianą, bo dziś rzeka płynie niemal na całej długości jednym korytem, wysp nie oblewa i zamiast wód strzec, sama przez wały powodziowe jest pilnowana. Patrząc dziś na Wartę, widzimy ją zupełnie inną niż tę, którą oglądał najwybitniejszy polski kronikarz, a i on nie mógł poznać jej już takiej, jaką była za pierwszych Piastów.

Ujarzmianie złościcy

Jak zatem się zmieniła? Wydawać by się mogło, że skoro dziś tyle słyhać o ocieplaniu się klimatu i stopowieniu Polski, Warta – jak inne duże rzeki w kraju – musiała być w przeszłości znacznie większą i głębszą. Ale to nieprawda. Przeciwnie – jej poziom od X wieku podniósł się, i to znacznie, bo nawet o trzy metry. Jednak to wcale nie znaczy, że wtedy było jeszcze bardziej sucho niż dziś! Rzeki były płytsze nie dlatego, że w obiegu przyrody było mniej wody, lecz z powodu gromadzenia się jej w jeziorach, glebie, mokradłach, torfowiskach, bagnach. Jeszcze w XIV stuleciu zaledwie 18 procent powierzchni Wielkopolski było zajętych przez grunty orne. Resztę stanowiły wody, nieużytki, tereny podmokłe, a przede wszystkim lasy, z których woda spływa i odparowuje znacznie dłużej niż z pól uprawnych. Zmniejszanie się lesistości skutkowało obniżaniem poziomu wód gruntowych, rosnącym parowaniem oraz przyspieszaniem spływu wód powierzchniowych. To z kolei przekładało się na wzrost zagrożenia powodziowego. Bo choć powodzie zdarzały się i wcześniej, to do największych dochodziło od XVI do XIX wieku, kiedy to na przykład kilkakrotnie została zalana większa część Poznania wraz ze Starym Rynkiem. Odpowiedzią na coraz częściej powtarzające się wezbrania Warty była jej regulacja, która miała również drugi cel – poprawę żeglowności. Od XVIII wieku zintensyfikowano również – rozpoczęte już w średniowieczu przez cystersów – działania związa-

ne z osuszaniem mokradeł. Nowo pozyskane grunty przekształcano w bardzo wydajne łąki (co pozwalało na znaczny wzrost dochodów z hodowli zwierząt), a następnie w urodzajne pola uprawne. Gdyby nie te wszystkie działania, mielibyśmy dzisiaj Wartę płytszą, ale też dłuższą, bardziej leniwą i kapryśną, choć niestanowiącą dużego zagrożenia powodziowego. W wielu miejscach – jak we wczesnym średniowieczu – moglibyśmy znaleźć brody, którymi przeprawiali byśmy się konno bądź nawet pieszo.

Są też jednak rzeczy niezmiennie. Warta płynie charakterystycznym biegiem raz na północ, raz na zachód, już to korzystając z pradolin wyżłobionych przez gigantyczne rzeki epoki lodowcowej, już to przelamując się przez moreny. Na terenie Wielkopolski rzeka początkowo podąża ze wschodu na zachód Pradolina Warszawsko-Berlińska, następnie gwałtownie zakręca na północ i przez Poznański Przełom Warty kieruje się do Kotliny Gorzowskiej, będącej częścią Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej. Tam znowu obiera kierunek zachodni.



Warta w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym



Kolejne oblicze Warty

Parki nad Wartą

Nad królową wielkopolskich rzek wyznaczono cztery parki krajobrazowe. Ona je łączy, nie w każdym z nich odgrywa jednak pierwszoplanową rolę. Można powiedzieć, że jej znaczenie maleje wraz z posuwaniem się z nurtem. Nadwarciański Park Krajobrazowy położony jest na terenie dawnego zaboru rosyjskiego. Nie został objęty zatem programem regulacji Warty przeprowadzonym w XIX-wiecznych Prusach. Tu rzeka decyduje niemal o każdym aspekcie natury. Wyjątkowość terenów należących do parków Żerkowsko-Czeszewskiego oraz Rogalińskiego również wynika z działalności Warty. W obu pozostała ona po sobie liczne starorzecza, nad którymi zachowały się rozległe łągi czeszewskie czy największe w Europie skupisko dębów w okolicy Rogalina. Najcenniejsze fragmenty nadwarciańskich łągów chronione są w rezerwach przyrody – Czeszewskim Lesie w pierwszym i Krajkowo w drugim ze wspomnianych parków. Sierakowski Park Krajobrazowy zabezpiecza już głównie krajobraz pojezierny – dwie krainy rozdzielone (a może raczej połączone?) największą rzeką regionu.

Warta, choć od tysiąca lat ujarzmiana przez człowieka, wciąż nadaje rytm terenom nad nią leżącym. Poważną przeszkodą dla jej działalności okazało się jednak otwarcie zbiornika Jeziorsko, który spłaszcza falę powodziową i ogranicza zalewanie nadwarciańskich teras. Równie rujnujący jest brak śnieżnych zim. Warta wypływa na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, nie jest więc zasilana górkimi rzekami, a wezbrania wody mają przede wszystkim charakter roztopowy. Nie przypadkiem w przeszłości najczęściej powodzi występowało wczesną wiosną, w okolicach Wielkanocy, z rzadka natomiast latem po ulewnych deszczach. Gdy zimą śniegu jest mało lub, jak coraz częściej bywa, w zasadzie nie ma go wcale, zagrożenie powodziowe jest minimalne. Jednocześnie jednak sprzyja to „wysychaniu” Wielkopolski i zmianom w ekosystemach, polegającym na przykład na ograniczeniu liczebności ptactwa wodnego czy grądowieniu, wcześniej regularnie zalewanych, łągów i olsów. Dla przyrody bowiem korzystniejszy był czas, gdy – jak za Jana Długosza – Warta nie w „jednym łożu” płynęła, lecz strażowała wielu swoim korytom. Dziś sama potrzebuje straży i to nie tylko w postaci wałów, ale również czynnej ochrony ekosystemów.



Wykaszanie łąk nadwarciańskich

O największym jeziorze Wielkopolski



Jeśli z lotu ptaka spojrzymy na nie z północnego zachodu, przypomina otwartą księgę. Księga ta zapisywana jest od kilkunastu tysięcy lat, kiedy to w czasie ostatniego zlodowacenia lądolód wycofywał się z terenu Wielkopolski, zatrzymując się na krótko na pomorskiej granicy, by następnie oddalić się na północ.

Pamiętką po tym przystanku jest szeroka i głęboka Pradolina Toruńsko-Eberswaldzka, a także fakt, że w Wielkopolsce jezior jest mniej i są one zwykle niewielkie i płytsze niż na Pomorzu czy Mazurach. Jest tak dlatego, że Pojezierze Wielkopolskie jest o kilka tysięcy lat starsze, a wypełnianie osadem i powolne zanikanie zbiorników wodnych zaczyna się bezpośrednio po ich utworzeniu.



Fragment Jeziora Powidzkiego



Jeziro Powidzkie

Woda, która się waha

Jeszcze w późnym średniowieczu poziom wody w jeziorze był o dwa metry wyższy niż obecnie, co jednak nie jest aż tak wielką różnicą, zważywszy, że na przykład Gopło od tego czasu obniżyło się o ponad sześć metrów. Tak szybki spadek poziomu lustra wody był i jest spowodowany czynnikami naturalnymi i działalnością człowieka polegającą na zapoczątkowanych pod koniec XVIII wieku regulacjach rzek i osuszaniu terenów podmokłych. W ostatnich dekadach przyczyniły się też do tego odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego. Te działania dotyczą Jezioro Powidzkie w relatywnie małym stopniu. Wahania poziomu wody nie mają zresztą charakteru liniowego. Może to zaskakiwać, ale 2000 lat temu był on w jeziorach Pojezierza Gnieźnieńskiego zbliżony do dzisiejszego, o czym świadczy chociażby los grodu w Biskupinie, opuszczonego z powodu podnoszącej się wody.

Największe jezioro Wielkopolski jest zatem dość odporne na długookresowe wahania poziomu lustra wody. Jak pisze dr Bogumił Nowak w monografii „Jezioro Powidzkie wczoraj i dziś”, wydanej w 2019 roku: „Potężna i głęboka misa Jeziora Powidzkiego oparła się procesom zaniku i długo jeszcze, z racji swojej wielkości, będzie się im opierać. Niemniej jednak systematycznie podlega przekształceniom, które sprawiają, że zarówno ona sama, jak i pobliskie tereny powoli zmieniają swój wygląd”. Kluczowe są więc w tym względzie rozmiary zbiornika, ale również to, że nie prze-



Świt na wodzie

plywa przez niego żadna duża rzeka, a jego zlewnia jest wyjątkowo mała. Te czynniki sprzyjają zarazem zachowaniu wysokiej czystości jeziora, które jest zaliczane do mezotroficznych – o niewielkiej żyzności i niskim stężeniu substancji organicznych.

Podróż do przeszłości

Jezioro Powidzkie jest pierwszym, licząc od południa, w rynn timer powidzko-ostrowskiej, którą wypełniają też między innymi jeziora Budziszawskie i Wilczyńskie. Jego średnia głębokość wynosi około 11,5 metra, a maksymalna – 47 metrów. Powierzchnia akwenu wciąż się zmniejsza i według najnowszych danych wynosi około 1014 hektarów, a okresowo spada nawet poniżej tysiąca. Mimo że od późnego średniowiecza poziom lustra wody obniżył się zaledwie o dwa metry, powierzchnia akwenu zmniejszyła się prawie o 40 procent. Gdybyśmy jednak 500 lat temu znaleźli się na jego południowym brzegu, nie zauważylibyśmy wielkiej różnicy w porównaniu z tym, jak wygląda on dziś. Oczywiście obecne plaże czy promenada między Powidzem a Przybrodzinem znalazłyby się pod wodą, ale jezioro było w tym miejscu wówczas tylko nieco szersze i dłuższe. A co zobaczylibyśmy, gdybyśmy – korzystając z wehikułu czasu – wybrali się w rejs po jego północnej części?

Ujrzelibyśmy zupełnie inne jezioro. Moglibyśmy na przykład opłynąć długą na trzy i pół kilometra wyspę ze wsią Ostrowo, która – gdyby zachowała się do czasów współczesnych – byłaby największą wyspą śródlądową w Polsce. Płynąc dalej, dotarlibyśmy do długiej i wąskiej zatoki, kończącej się tam, gdzie dziś znajduje się zarastające Jezioro Smolnickie, albo do drugiej, jeszcze dłuższej, która zamyka się kilka kilometrów za Anastazewem, gdyż w tamtym okresie Jezioro Budziławskie było najprawdopodobniej odnogą Powidzkiego.

Raj nieutracony

Dziś taki rejs nie jest możliwy, jednak to nie przeszkadza tysiącom turystów co roku odwiedzać położonych na brzegach jeziora letniskowych miejscowości – Powidza, Przybrodzina czy Giewartowa. Szczególną popularnością cieszy się ono wśród żeglarzy, a zwłaszcza szukających tu dobrego wiatru windsurferów. Nad akwenem ulokowało się również kilka ośrodków nurkowania. Wielkość, ale również czystość jeziora predysponuje je do tego typu aktywności. Nurkowie mogą obserwować z bliska niezwykle łąki ramienicowe, będące przyrodniczym znakiem rozpoznawczym Jeziora Powidzkiego, jak również inny jego symbol – sieje i sielawy (więcej na ten temat w opowieści „Podwodne królestwo łąk ramienicowych” – s. 64). Temperatura wody w jeziorze średnio przez 58 dni w roku przekracza 20 stopni Celsjusza, a w związku z ocieplaniem się klimatu takich dni wciąż przybywa. To sprawia, że doskonałe warunki do wypoczynku znajdują tu również amatorzy kąpiei. Niestety, turystyczna atrakcyjność jeziora ma też swoje negatywne strony. Usypywanie plaż czy budowa wspomnianej promenady przyczyniły się do zmniejszenia rozmiaru akwenu, a jego brzegi są zajmowane przez ośrodki wypoczynkowe oraz zagospodarowywane przez osoby prywatne. Ogranicza to dostęp do zbiornika i stanowi zagrożenie dla pasa szuwarów odgrywającego kluczową rolę w utrzymaniu czystości wód. Taką sytuację możemy zaobserwować chociażby między Giewartowem a Kosewem, gdzie na odcinku około trzech kilometrów cały brzeg zajęty jest przez zabudowę letniskową.

Jednak do tej pory Jezioro Powidzkie całkiem dobrze radzi sobie z presją człowieka. Poza sezonem turystycznym może się pochwalić wodą I klasy czystości, której przezroczystość wynosi nawet cztery metry. Z tego punktu widzenia cieszyć się chyba należy, że jest ono wciąż nieodkryte, zwłaszcza przez mieszkańców dalszych zakątków Polski, którzy nawet nie domyślają się, jak przyjemny i wartościowy może być wypoczynek nad największym jeziorem Wielkopolski.

O chalińskich jarach



Gdy staję na krawędzi rynny polodowcowej, już wiem, że do zakochania jeden krok. Przed sobą widzę korony ogromnych buków. W przerwach między drzewami dostrzegam w głębi, dopiero zazieleniające się, szczytowe partie olsz rosnących nad brzegiem jeziora. Jakie tajemnice zgłębię, podążając ostro biegnącą w dół ścieżką?

Na razie uwagę skupiam na majestatycznych bukach. Kolor ich dziewiczej zieleni rokrocznie wywołuje we mnie radość i nienasycenie. Nie mniejszy podziw budzą korzenie chroniące zbocze przed erozją, która w tak ukształtowanym terenie postępuje nieubłaganie. Mimo że nachylenie jest bardzo ostre, na niektórych pniach widać ślady działań bobrów. Zaskoczyło mnie, że podejmują one aż tak „wysokogórskie” wyzwania. Łany marzanki wonnej okrywają zbocza zielono-białym dywanem. Urokliwe są zarówno ich delikatne kwiaty, jak i kilka pięter liści w postaci kryzowatych okółków.

W rynnie

Geneza miejsca, które poznajemy jako Jary koło Chalina, sięga ostatniego zlodowacenia przypadającego na okres holocenu. Między innymi obszar dzisiejszej Wielkopolski przemierzał wówczas kolos ustępującego lądolodu skandynawskiego. Topiąc się i rozpadając pod spodem, wycinał w podłożu długie i głębokie tunele – rynny. Gdy bryły lodu wypełniające ich najgłębsze miejsca stopiły się, powstały tam jeziora. Taki rodowód mają właśnie jeziora Chalinek i Ławickie. W przeszłości akweny te stanowiły jeden zbiornik. W konsekwencji obniżania się poziomu wody i wypełniania rynny przede wszystkim organicznymi osadami zostały jednak oddzielone, choć nadal łączy je kanał.

Krawędź rynny lodowcowej, przy której zaczyna się najciekawsza część naszej wędrowki – także w głąb geologicznej historii tego terenu – znajduje się na wysokości 60 metrów n.p.m. W ciągu paru chwil pokonujemy w pionie 25 metrów, by znaleźć się przy łęgu oddzielającym nas od zarastającego Chalinka (lustro jeziora jest dzisiaj na wysokości 35,3 m n.p.m., jego głębokość sięga 6 m). Prawie ze wszystkich stron otaczają go lasy olszowe oraz pokłady torfów, głównie pochodzenia turzycowego i olszynowego, o zróżnicowanej głębokości.



Buczyny w Jarach pod Chalinem

W przeszłości od południowo-zachodniej strony jeziora rozciągały się łąki, które wskutek zaprzestania koszenia także zarosły olszą. Brzegowe partie grzęzawiska zasłaniane są przez między innymi splecione z pokrzywami przytulie. Widok tych ostatnich zwykle przypomina mi wierzenia ludowe, wedle których rośliny te miały chronić przed porwaniem przez utopca.

Natura rzeźbiarzem

Wypatrując znaków ścieżki dydaktycznej, kierujemy się na południe. W procesie żłobienia rynny wody z topiącego się lądolodu, płynące pod znacznym ciśnieniem, poprzecinały także warstwy wodonośne. W ten sposób powstały liczne źródła, które są zalążkiem wartkich strumyków. Pokonujemy jeden z nich. Ma tylko kilka centymetrów głębokości, a jego brzegi zarastają krzewami dzikich porzeczek. Przez przejrzystą wodę, która za chwilę wpłynie do Chalinka, widać żwirowo-piaskowe dno usiane większymi kamieniami.

W tym rządzonym – zdawałoby się – wyłącznie przez siły natury jarze zaskakuje nas widok ruin młyna wodnego, którego mury wzniesiono z ciosanych gładów



Pozostałości młyna w Jarach pod Chalinem

narzutowych. Młyńskie koło obracały wody płynące ze źródełk znajdujących się w zboczu rynny. W czasach, gdy w miejscu tym gospodarzyli ludzie, znajdowały się tu także stawy rybne.

I znów idziemy suchą stopą, osłonięci parasolem koron drzew. Majestatyczne buki cieszą się naszą największą atencją.

Na trasie mijamy kilka rozcięć erozyjnych. W jednym z nich znajduje się polna droga prowadząca do Chalina. Prawdopodobnie w przeszłości jeździły tędy wozy, którymi dostarczano zboże do młyna. Aż chciałoby się zobaczyć to miejsce w animacji pokazującej pracę młynarza i rolników, mieszkających i pracujących w tej okolicy.

Jesteśmy przy wylocie największego i najciekawszego spośród tutejszych jarów. Rozrastające się tu krzewy zasłaniają nieco stożki napływowe przypominające kształtem odwrócony wachlarz. Przemiana goni przemianę. Wtórne rozcięcia, spowodowane przez okresowo płynące wody, zniekształciły sylwetę jaru. W rozcięciu erozyjnym przeplatają się – niczym w cieście – pasma jasnych i ciemnych warstw zróżnicowanego profilu.

Oprócz korzeni drzew, które jak żyłaste i spracowane dłonie starają się powstrzymać nieustannie postępującą erozję, ważną rolę odgrywają także pozor-

nie delikatne i bezbronne mszaki. Pokrywając powierzchnię ziemi zwartym ko-
biercem, po którym sączy się woda, również one zabezpieczają podłoże przed
wypłukiwaniem i wywiewaniem drobin gruntu.

Powrót do terażniejszości

Dzisiejszą lekcję geologii kończymy wyjściem na wysoczyznę moreny dennej,
która w tym miejscu osiąga wysokość 90 metrów n.p.m. Od dna rynny trzeba po-
konać w górę 25 metrów. Budulcem moreny jest glina zwałowa, będąca miesza-
niną cząstek ilastych, pylastych, piaszczystych i żwirowych z tkwiącymi w niej
jak rodzyнки kamieniami i głazami. W maju okoliczne pola tworzą zielono-żółtą
mozaikę. Kwitnący rzepak i stare jabłonie niepostrzeżenie odrywają nas od odle-
głej przeszłości i przenoszą do „tu i teraz”.



Jesienne buczyny



Rozdział IV



Dziedzictwo kulturowe



Pomnik Historii w Rogalinie



Śród 114 Pomników Historii – zabytków o nadzwyczajnej randze i wyjątkowym znaczeniu dla kultury polskiej – trzy znajdują się na terenie wielkopolskich parków krajobrazowych. Jednym z nich jest zespół pałacowo-parkowy z obszarem dawnego majątku w Rogalinie – rezydencja rodu Raczyńskich.

Pomiędzy *cour d'honneur*, czyli dziedzińcem honorowym, a *jardin à la française*, czyli ogrodem francuskim, wybudował w latach 1770-1776 generał Kazimierz Raczyński herbu Nałęcz, pisarz wielki koronny, znawca i koneser architektury, barokowy pałac w duchu *entre cour et jardin* (z francuskiego: między dziedzińcem a ogrodem), będący inspiracją i wzorem dla innych wielkopolskich rezydencji. Sam twórca Rogalina wzorem jednak nie był. Jako stronnik Rosji brał od niej pie-



Pałac w Rogalinie

niądze, walnie przyczynił się do I rozbioru Polski, przystąpił do konfederacji targowickiej, a tytuł hrabiowski otrzymał już jako poddany króla Prus. W pewnym uproszczeniu można jednak rzec, że zbudował on za carskie pieniądze ośrodek polskości w Prusach. Grzechy antenata odkupili jego potomkowie, którzy gospodarowali w rogałińskim majątku do 1939 roku, przebudowywali i upiększali pałac oraz park, ale również wiele dobrego czynili dla sprawy polskiej.

250 lat tradycji

Mimo że pałac i jego otoczenie niemal od chwili powstania były kilka razy przebudowywane, nie straciły swego charakteru, delikatnie dostosowując się do zmieniających się mód, gustów i wymogów współczesności. Silniej zmienił się natomiast krajobraz najbliższej okolicy. Dawniej z usypanego w ogrodzie francuskim wzniesienia (parnasu) można było podziwiać nadwarciańskie łągi. Dziś przesłania je rozległy park angielski, płynnie przechodzący w las. Posiadłość jest znana także ze słynnych rogałińskich dębów (więcej na ten temat w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30). W pobliżu znajduje się Majątek Rogalin, prowadzący między innymi działalność rolniczą, wpisany w 2020 roku na listę Pomników Historii (więcej o nim w opowieści „Na wypasie” – s. 72).

Serię modernizacji pałacu zapoczątkował już sam jego fundator, przebudowując go w duchu klasycyzmu. Te przekształcenia, kontynuowane przez Filipa Raczyńskiego, zięcia Kazimierza, można uznać za najbardziej radykalne. Radykalny – przynajmniej z dzisiejszej perspektywy – był również sposób, w jaki Kazimierz Raczyński nie dopuścił do przejścia jego dóbr w ręce obcej rodziny. Nie miał syna, wydał więc swą młodszą córkę Michalinę za własnego kuzyna. Było to tylko jedno z licznych zdarzeń w dziejach rodu, które dziś byłyby obyczajowymi sensacjami godnymi pierwszych stron w plotkarskich magazynach.

Edward pierwszy

Filip Raczyński miał dwóch synów, którzy z biegiem lat bardzo się poróżnili, co zapoczątkowało podział na polską i niemiecką linię rodu. Młodszy z nich, Atanazy, został ordynatem w Obrzycku i pruskim dyplomata. Natomiast starszy Edward, który stał się kolejnym właścicielem majątku, rozpoczął sięgającą czasów współczesnych tradycję walki o Polskę. Nad szcęk oręża przedkładał jednak dyplomację i pracę organiczną. Był też postacią, która bardzo mocno wpłynęła na kształt i charakter Rogalina.

To jemu zawdzięczamy między innymi klasycystyczny kościół pw. św. Marcelina, będący wierną kopią rzymskiej świątyni z I wieku p.n.e., stojącej do dziś w prowansalskim Nîmes. W tej świątyni jest mauzoleum Raczyńskich, w którym znajdują się doczesne szczątki członków rodu. Sam fundator nie mógł tu jednak spocząć. Po samobójczej, makabrycznej śmierci (strzelił sobie w głowę z niewielkiej armaty) złożono go do grobowca w Zaniemyślu. Był oskarżany o malwersacje przy budowie Złotej Kaplicy w poznańskiej katedrze, do której ufundował posągi Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Edward Raczyński – koneser sztuki, bibliofil, założyciel Biblioteki Raczyńskich, fundator pierwszego w Poznaniu wodociągu – był zapewne posądzany niesłusznie, ale zawiść ludzka, jak powszechnie wiadomo, może zdziałać wiele zła.

Edwardowi Raczyńskiemu zawdzięczamy też pierwszą w Wielkopolsce ekspozycję muzealną w zaaranżowanej w specjalnie na ten cel zbrojowni. Oprócz broni gromadził w niej pamiątki narodowe. Zabytki zostały ukryte w 1939 roku i do dziś pozostają nieodnalezione, przez co – mimo wielu starań – wygląd tej sali nie wrócił do pierwotnej świetności. Inaczej stało się natomiast z innymi, pieczołowicie odrestaurowanymi pomieszczeniami pałacu, które dziś wyglądają tak, jakby Raczyńscy opuścili je tylko na chwilę i zaraz mieli do nich powrócić.

Droga do niepodległości

Kolejny właściciel Rogalina, Roger Maurycy, miał charakter nieco awanturniczy, walczył w powstaniu wielkopolskim 1848 roku i styczniowym, po którym już do ojczyzny nie wrócił. Jego wkładem w rogalińską architekturę krajobrazu jest ogromny, obsadzony lipowo-kasztanową aleją gazon założony przed wejściem głównym. Sam pałac za jego rządów nieco podupadł, a podniósł go następny właściciel, syn Rogera, Edward Aleksander.

Jemu zawdzięczamy gruntowną modernizację wnętrz pałacowych i reprezentacyjną, z wielką pieczołowitością odrestaurowaną w ostatnich latach, neorokokową bibliotekę, a także ekspozycję malarstwa. Kolekcja ta liczy dziś około 300 dzieł, wśród których wyjątkową pozycję zajmuje malarstwo polskie z przełomu XIX i XX wieku – między innymi dzieła Jana Matejki, Olgi Boznańskiej, Leona Wyczółkowskiego i Stanisława Wyspiańskiego. Przede wszystkim jednak Jacka Malczewskiego, z którym ówczesnego właściciela Rogalina łączyły więzy szczerzej przyjaźni. Rogalin był miejscem, gdzie tworzył on i inni artyści, nie tylko zresztą malarze, bo na przykład Henryk Sienkiewicz pracował tu nad „Quo Vadis”.

Po odzyskaniu niepodległości synowie Edwarda pełnili ważne funkcje w polskiej administracji i służbie dyplomatycznej. Roger Adam był między innymi wojewodą poznańskim, a następnie ambasadorem RP w Rumunii, zaś Edward Bernard posłem nadzwyczajnym RP przy Lidze Narodów i ambasadorem RP w Wielkiej Brytanii. Po wojnie Edward pozostał w Londynie, gdzie założył Instytut Polski, a w latach 1979-1986 piastował urząd Prezydenta RP na uchodźctwie. Był też ostatnim męskim przedstawicielem rodu i ostatnim dziedzicem Rogalina. Żył aż 102 lata. W 1991 roku, w setne urodziny, przekazał obrazy i inne dzieła sztuki oraz prawa własności do zespołu pałacowo-parkowego założonej przez siebie Fundacji im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu. W ten oto sposób podsumował historię sześciu pokoleń tego zasłużonego rodu w jednym z najpiękniejszych i najważniejszych dla tożsamości jej mieszkańców miejsc Wielkopolski.



Wystawa malarstwa w Muzeum Pałac w Rogalinie, Oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu

Edukacja wśród zabytków



Na hasło „Wychodzimy na dwór!” grupa dzieci z entuzjazmem zakłada kurtki, bo wie, że lekcja poza szkolną klasą będzie zupełnie inna. W ruch pójdą oczywiście nogi, a oczy, uszy, ręce (niekiedy też nos) zaczną działać w zupełnie innym trybie niż w szkole. I wiedza niejako przy okazji sama wejdzie do głowy.

Kontakt bezpośredni

Większość z nas żyje dziś w oderwaniu od przyrody. W miarę naszego dorastania zwiększa się dysproporcja między liczbą godzin, jakie spędzamy przed ekranem laptopa, smartfona czy telewizora, a tymi, które przeznaczamy na przebywanie na łonie natury. Tymczasem bezpośredniego kontaktu z przyrodą, zanurzania się w niej, doświadczania jej wszystkimi zmysłami nie zastąpią nawet najznakomitsze filmy o tematyce przyrodniczej czy ogromne możliwości poznawcze, jakie dają nowoczesne technologie. Natura nie może być abstrakcją. Musi być namacalnym doświadczeniem, bo tylko wtedy przynosi odkrycie, zadziwienie i radość. Bezpośrednie obcowanie z nią silniej uwrażliwia na potrzebę ochrony cennych siedlisk w celu zachowania konkretnych gatunków roślin i zwierząt, pokazuje łańcuch wzajemnych zależności. Dodatkowo jej odczuwanie i poznawanie, przebywanie w otwartej przestrzeni jest ważne dla zdrowia psycho-fizycznego.

W naszym regionie walory lokalnej przyrody przybliżają i popularyzują między innymi dwa ośrodki edukacji przyrodniczej należące do Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego. Ich głównym zadaniem jest or-

”

Zespół deficytu natury opisuje cenę, jaką ludzkość płaci za odwrócenie się od przyrody: zmniejszone użycie zmysłów, niedobór uwagi, częstsze występowanie chorób fizycznych i psychicznych. Ten niedobór występuje u pojedynczych osób, rodzin i całych społeczności. Niedobór natury może zmieniać sposób zachowania ludzi w miastach, a także sposób planowania miast, gdyż długoterminowe badania wykazują związek między całkowitym brakiem lub niedostępnością parków i otwartych przestrzeni a wysoką przestępczością, depresją i innymi przypadłościami.

Richard Louv, „Ostatnie dziecko lasu”, Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2014, s. 54.

ganizowanie warsztatów, konferencji, zielonych szkół, wycieczek terenowych, spotkań czy wydarzeń edukacyjnych. To miejsca otwarte przede wszystkim dla grup dzieci, młodzieży i dorosłych, ale też turystów indywidualnych.

Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Chalinie

Zlokalizowany w zachodniej części województwa, w powiecie międzychodzkiem, około sześciu kilometrów na południowy zachód od Sierakowa, przybliża między innymi potencjał Sierakowskiego Parku Krajobrazowego, którego walory pokazaliśmy w kilku opowieściach we wcześniejszych rozdziałach. W odrestaurowanym XIX-wiecznym dworcu, przed którego wejściem rosną okazałe kasztanowce, znajdują się sale dydaktyczne z przestrzenią warsztatową, umożliwiającą przeprowadzenie zajęć edukacyjnych o przyrodzie, środowisku, ekologii czy w nurcie edukacji dla zrównoważonego rozwoju, kształtującej postawy prospołeczne i proekologiczne. W drugim budynku na gości czeka sala konferencyjno-konsumpcyjna na 50 osób oraz baza noclegowo-pobytowa z 41 miejscami (w pokojach od jedno- do czteroosobowych) i zaplecze kuchenne.



Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Chalinie

W pobliżu budynków OEP rozciąga się park przydworki i kilkunastohektarowy teren pełniący funkcje dydaktyczno-rekreacyjne, gdzie znajdują się: miejsce na ognisko w wigwamie na 60 osób, boisko sportowe do piłki ręcznej i koszykówki, plac zabaw i hodowane są drzewa owocowe tradycyjnych odmian. Na zachód od ośrodka biegnie Jabłoniowy Szlak (więcej na ten temat w opowieści „O miłości Grafsztyńka do Pięknej z Rept” – s. 42), przy którym postawiono domki dla zapylaczy.

Przy ośrodku zaczyna się sześć ścieżek nordic walking (o różnej długości i skali trudności, o łącznej długości 50 km), trzy ścieżki dydaktyczne: w parku dworskim w Chalinie i nad Jeziorem Śremskim, nad Jeziorem Małym w Chalinie oraz Jary koło Chalina (te ostatnie przybliżyliśmy w opowieści „O chalińskich jarach” – s. 118).

Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Łądzie nad Wartą

Ośrodek umiejscowiony jest we wschodniej części naszego regionu, w powiecie słupeckim, około 25 kilometrów na zachód od Konina. Koncentruje uwagę na Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym, którego wybrane atuty wyeksponowaliśmy w kilku opowieściach naszej publikacji. Urządzony został w zabytkowym, odrestaurowanym dworze szlacheckim z XIX wieku, ukrytym w dużym parku z kilkoma pomnikowymi okazami drzew. Blisko wejścia do budynku można obejrzeć tablice edukacyjne poświęcone drzewom, ptakom i owadom oraz dużą „ściankę-dom” dla zapylaczy.



Zajęcia edukacyjne w Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Łądzie nad Wartą



Opactwo pocysterskie w Łądzie nad Wartą

Wnętrze skrywa niezwykłą dioramę łąk trzęślicowych, w której odbiorcy mogą poczuć się niczym prawdziwi odkrywcy makroświata. Zapach, światło i dźwięki towarzyszące rytmom dnia i nocy nadwarciańskich łąk dodatkowo wprowadzą niejednego zwiedzającego w chwilę zachwytu i zadumy nad otaczającą ośrodek przyrodą. Na gości czekają tu sala konferencyjno-konsumpcyjna (ze sprzętem audiowizualnym) na 80 osób, sala warsztatowa na 30 osób oraz sala warsztatowa na 30 osób wyposażona w sprzęt optyczny (tj. świetlne mikroskopy dwuokularowe i stereoskopowe). Walorem placówki jest także punkt widokowy na dachu. Na zewnątrz można skorzystać z miejsca przygotowanego na zorganizowanie ogniska. Oprócz prowadzenia określonych zajęć edukacyjnych OEP w Łądzie uczestniczy w wielu cyklicznych wydarzeniach organizowanych przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego, jak „oSowiły tydzień” czy Tydzień Liczenia Motyli. Ofertę stacjonarną uzupełnia ścieżka historyczno-przyrodnicza „Łąd-Łądek”, quest „Z czajką po nadwarciańskim Łądzie”. Na gości czeka tu 50 miejsc noclegowych. Na terenie ośrodka co roku odbywa się największe wydarzenie historyczno-edukacyjne w powiecie słupeckim, czyli Festiwal Kultury Cysterskiej i Słowiańskiej.

Atrakcyjność pobytu w tym ośrodku podnosi bliskie sąsiedztwo z wpisanim na listę Pomników Historii pocysterskim zespołem klasztornym w Łądzie nad Wartą, którego historia sięga XII wieku.

Tam, gdzie Mieszko i Chrobry gród budowali



Prawdopodobnie to tu Mieszko I przyjął chrzest. Prawdopodobnie jest to miejsce, gdzie urodził się Bolesław Chrobry i gdzie został pochowany jego nieznan z imienia syn. Prawdopodobnie również tu książę Bolesław gościł cesarza Ottona III w roku 1000.

Prawdopodobnie – ale pewności raczej nigdy już mieć nie będziemy. Dzieje Ostrowa Lednickiego, tak jak cała historia wczesnopiastowskiej Polski, pełne są domysłów i znaków zapytania. Tak naprawdę nieznaną jest nie tylko miejsce chrztu Mieszka I, ale także jego data – dzienna, a nawet roczna. Niemniej odkrycia, których dokonali archeolodzy w ostatnich latach na Ostrowie, znacznie pogłębiły naszą wiedzę o najwcześniejszych dziejach chrześcijańskiej Polski. Bo



Relikty palatium na Ostrowie Lednickim

ta wyspa jest jak otwarta księga, którą ktoś jednak kiedyś zapisał... Tyle że z powydzieranymi kartami i mocno wyblakłymi literami.

Podróż do przeszłości

Żeby dostać się na Ostrów Lednicki, w przeszłości zwany po prostu Ostrowem, trzeba wsiąść na prom. Ta krótka podróż ma w sobie coś niezwykłego. Odosobnione miejsce, niezamieszкана wysepka już przez ponad tysiąc lat jest ważnym elementem polskiej tożsamości, choć przez setki lat nieco zapomnianym.

Tysiąc lat temu nie było promu, ale były mosty. Wschodni, czyli gnieźnieński, miał 174 metry długości, a zachodni (poznański) aż 428 metrów, co daje mu miano najdłuższej przeprawy w średniowiecznej Polsce i jednej z najdłuższych we współczesnej mu Europie. Głębokość jeziora w śladzie mostu zachodniego sięga niemal 12 metrów, zatem wybudowanie go wymagało nie lada kunsztu. Oba mosty miały prawie pięć metrów szerokości i były wsparte na wiązkach drewnianych pali, których pozostałości w dnie jeziora wciąż jeszcze możemy zobaczyć, zwłaszcza na przyczółku zachodnim. Te pale wbito przed rokiem 966.



Lednica – widok z Ostrowa Lednickiego



Kościół z Wartkowic w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach

Wyrwane karty księgi

Kres mostom i świetności grodu na Lednicy w 1038 roku położył czeski książę Brzetysław I. On to najechał Wielkopolskę w czasie kryzysu, który ogarnął nasz kraj podczas rządów Mieszka II. Brzetysław po walce, która rozegrała się na mostach i w samym grodzie, spalił go, wywiózł łupy, wymordował mieszkańców. Wiemy to między innymi dzięki badaniom dna jeziora, podczas których wydobyto największy w dziejach polskiej archeologii zbiór militariów, na przykład kompletną, zwiniętą w rulon kolczugę, ważącą ponad osiem kilogramów.

Lednica nigdy potem już się nie podniosła, nigdy też nie otrzymała praw miejskich. Nie rezydował tu już ani król, ani książę, lecz kasztelan, ale i on wkrótce również się z Ostrowa wyprowadził. Jeden z niegdysiejszych grodów stołecznych dziś nie jest nawet wsią. To, co stanowiło przewagę Ostrowa, czyli obronne położenie, było jednocześnie hamulcem rozwoju. Długo jednak jego niewielki rozmiar i względna niedostępność chroniły ruiny wczesnośredniowiecznych budowli, stawianych przez Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Sytuacja zmieniła się w czasie zaborów, gdy ówczesny właściciel wywiózł z Piasten Insel, jak wyspa nazywała się po niemiecku, około 400 wozów kamieni. Być może budulec pierw-

szej katedry Polan i palatium Mieszka I tkwi dziś w ścianach obór w okolicznych majątkach czy fundamentach dworów... A jeszcze w 1842 roku hrabia Edward Raczyński pisał we „Wspomnieniach Wielkopolski”: „Na téj kępie wznoszą się szańce, jakie podług dzisiejszego sposobu wojowania objąć by mogły 1500 ludzi załogi; wśród tych okopów, znajdują się ułamki murów, a mianowicie łuk z polnych kamieni w sześcian obrabianych stawiany”. Kilka bądź kilkanaście lat później owego łuku już nie było. A przecież Raczyński, gdy przybył na Lednicę, widział mury mocno już naruszone.

Wyspa pierwszych Piastów

Uratowanie pozostałości grodu zawdzięczamy Albinowi Węsierskiemu, właścicielowi majątku w pobliskim Zakrzewie, patriotcie, kolekcjonerowi „starożytności” i popularyzatorowi wiedzy o Lednicy, który kupił wyspę w 1856 roku. Wkrótce na Ostrowie rozpoczęły się badania wykopaliskowe, które prowadzone są do dziś. Teraz Ostrów Lednicki to rezerwat archeologiczny, prawdopodobnie najbardziej niezwykły w Polsce. W 1969 roku zostało utworzone muzeum, a w 1994 roku Ostrów – jako jeden z 15 pierwszych obiektów w Polsce – został uznany za Pomnik Historii. Celem jego ochrony jest, jak napisano w uzasadnieniu: „zachowanie, ze względu na unikatowe wartości historyczne, architektoniczne, materialne i niematerialne, najstarszego reliktu architektury Polan, miejsca chrztu w 966 r. i historycznego dokumentu początków polskiej cywilizacji chrześcijańskiej i zachodniej”.

Największym i najważniejszym zabytkiem na wyspie są ruiny pałacu książęcego z kaplicą, w której odkryto dwa baseny chrzcielne, co stało się przyczynkiem do wysunięcia hipotezy o tym, że właśnie tu odbył się chrzest Mieszka i jego dworu. W obrębie wysokich na sześć metrów obwałowań znajdują się również pozostałości niewielkiego kościoła, uważanego niekiedy za katedrę biskupa Jordana, choć raczej był to kościół dworski w czasowej siedzibie władcy wczesnośredniowiecznej Polski. Część ekspozycyjna muzeum jest obecnie co prawda bardzo skromna, jednak zmieni się to wkrótce – po ukończeniu budowy pawilonu ekspozycyjnego na terenie dawnego folwarku w Dziekanowicach. Ważnym uzupełnieniem, a jednocześnie oddziałem Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy jest park etnograficzny z jedną z największych w Polsce kolekcji budownictwa wiejskiego z XVII-XX wieku, prezentowaną na zwartym obszarze zrekonstruowanej wsi z drewnianym kościołem i odtworzonym dworem.

Krótką historia o pałacyku myśliwskim



Po II rozbiórce Polski część dóbr Radziwiłłów znalazła się w granicach Prus. Po kongresie wiedeńskim, kiedy do życia powołano Wielkie Księstwo Poznańskie, skoligacony z pruską rodziną królewską Antoni Henryk Radziwiłł został jego pierwszym, a zarazem ostatnim księciem-namiestnikiem (wielkim księciem był król Prus). Nie był wybitnym politykiem ani administratorem. Polacy mieli go za zbyt uległego i proniemieckiego, zaś Niemcy za nielojalnego i propolskiego.



W pałacu w Antoninie



Park w Antoninie

Z księcia artysta

Miał natomiast książę Radziwiłł duże ambicje artystyczne: komponował, śpiewał tenorem, grał na kilku instrumentach, występował w sztukach teatralnych, malował, rysował, wspierał twórców. Jednym słowem – był postacią w artystycznym świecie Prus ważną i znaną. Szczególne uznanie znajdował jako utalentowany wiolonczelista. Komponowali dla niego między innymi Ludwig van Beethoven, Felix Mendelssohn-Bartholdy oraz Fryderyk Chopin, z którym książę muzykował podczas jego wizyt w Antoninie. Sam Antoni był natomiast autorem pierwszej operowej adaptacji Goethowskiego „Fausta”. O dziele tym pozytywnie wypowiadał się i Chopin, i sam Johann Wolfgang von Goethe. Dziś jednak – mimo swojej popularności w XIX wieku zarówno w Niemczech, jak i w Polsce – jest zupełnie zapomniane. W tej sytuacji najznamienitszą pamiątką, jaką Antoni Henryk Radziwiłł po sobie pozostawił, jest bez wątpienia zespół pałacowo-parkowy w Antoninie „...wystawiony w kształcie ośmioboku, trzypiętrowy, z drzewa, śród kniei bogatej we wspaniałe dęby i zwierzyne”, co możemy o nim przeczytać w wydanym w 1880 roku „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”.



Kościół pw. Matki Bożej Ostrobramskiej w Antoninie

Perła wśród kniei

Mimo wielu artystycznych talentów książę nie považył się na samodzielne zaprojektowanie pałacu. Zadanie to powierzył innemu człowiekowi renesansu doby romantyzmu, jednemu z najwybitniejszych architektów klasycyzmu w Niemczech – Karlowi Friedrichowi Schinklowi. On również malował, a także ilustrował książki, projektował meble i dekoracje teatralne. Schinkel, który wcześniej zaprojektował na przykład pałac dla rodziny von Treskow w Owińskach, właśnie wkraczał w najlepszy okres swojej twórczości i z zadania wywiązał się przednio. Wybudowany według jego koncepcji pałac myśliwski jest jedną z najbardziej oryginalnych XIX-wiecznych budowli rezydencjonalnych w dzisiejszej Polsce i historyczną perłą kultury Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy. Robi wrażenie z zewnątrz, ale zwłaszcza od środka zachwyca, głównie za sprawą centralnego ośmiobocznego holu z imponującą kolumną z trofeami myśliwskimi. Dziś znajduje się w nim restauracja, a cały pałac jest trzygwiazdkowym hotelem.

Projektant pałacu nie był przywiązany do jednego stylu w architekturze. Wśród jego dzieł są zarówno typowe klasycystyczne budowle, inspirowane starożytną Grecją, jak i na przykład neogotyckie. Jednak pałac w Antoninie wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. Budowla na planie krzyża greckiego wzniesiona została na fundamentach z cegieł i rudy darniowej, pomalowanych – jak cały pałac – w barwie ochry. Wypełnione cegłą ściany w konstrukcji szkieletowo-ryglowej są oszalowane modrzewiowymi belkami i sprawiają wrażenie całkowicie drewnianych.

Księżciu-namiestnikowi tak spodobała się nowa siedziba, że spędzał w niej nie tylko czas łowów, ale bywał w niej przez cały rok i wkrótce przeniósł do niej swą główną siedzibę. Wtedy też polecił wznieść kilka innych budynków, z których większość zachowała się do dziś. Wśród nich wyróżniają się budowle w modnym wówczas stylu szwajcarskim. Jednym z nich jest domek Wilhelma, postawiony dla syna Antoniego, innym – leśniczówka. W bezpośrednim sąsiedztwie pałacu stoją jeszcze dwa dawne budynki gospodarcze, czyli tak zwana ogrodówka oraz wozownia. Dziś w dawnej wozowni i stajni znajduje się sala konferencyjno-edukacyjna oraz punkt monitorowania lasów Nadleśnictwa Antonin, natomiast w ogrodówce zorganizowana została izba przyrodniczo-leśna. Do antonińskiego założenia należą również dwie budowle położone po wschodniej stronie traktu kalisko-wrocławskiego. Jedną z nich to dawna kaplica grobowa Radziwiłłów, w której pochowano Antoniego i jego ukochaną żonę Luizę, bratanicę Fryderyka, króla Prus. Duża rozmiarami – jak na mauzoleum – jest dziś kościołem, który wyglądem przywodzi na myśl raczej świątynie chrześcijańskie z Kaukazu niż naszej części Europy.

Życie muzyką

Jak inne pałace należące do 1939 roku do polskiej arystokracji, również Antonin został po wojnie znacjonalizowany. Przez prawie 30 lat należał do administracji Lasów Państwowych, która do dziś opiekuje się niektórymi budynkami kompleksu. Ten czas nie był dla pałacu zbyt łaskawy. To, że niszczący zabytek, postawiony przecież w znacznym stopniu z nietrwałego materiału, jakim jest modrzewiowe drewno, dotrwał do dziś w dobrym stanie, zawdzięczamy Jerzemu Waldorffowi, przejęciu pałacyku przez urząd konserwacji zabytków i przekształceniu go w dom pracy twórczej. Tego faktu natomiast nie sposób nie wiązać z osobą Fryderyka Chopina, który przecież dwukrotnie w Antoninie gościł. To dla upamiętnienia wizyt kompozytora Antonin stał się sceną festiwalu chopinowskich, zainicjowanych w roku 1982, choć nieregularne koncerty odbywały się tu już kilka lat wcześniej. Dni Chopinowskie początkowo nie miały formy festiwalu. Faktycznie stały się nim pięć lat później, już pod funkcjonującą do dziś nazwą „Chopin w barwach jesieni”. Wydarzenie odbywa się co roku we wrześniu, trwa cztery dni i jest jednym z trzech festiwalu chopinowskich w Polsce. Kameralne wnętrza antonińskiego pałacyku są jednak również sceną przez cały rok. Odbywają się tu między innymi recitale pianistyczne oraz koncerty jazzowe. O pobytach Chopina w Antoninie przypomina niewielki salonik muzyczny z instrumentami z epoki, obrazami i litografiami.

Wśród krajobrazów Łysej Góry



Sercem Żerkowsko-Czeszewskiego Parku Krajobrazowego jest niewątpliwie rezerwat Czeszewski Las. Ale czymże byłoby serce bez organizmu, dla którego bije!

Ten organizm najlepiej oglądać z Łysej Góry (161 m n.p.m.), będącej kulminacją Wału Żerkowskiego i najwyższym szczytem w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, albo – co dużo łatwiejsze – z punktu widokowego znajdującego się przy szosie do Żerkowa. Widziano co prawda i wyższe szczyty niż Łysa Góra, i większe jeziora niż starorzecza Warty pod Czeszewem, ale miano Szwajcarii Żerkowskiej, jakie już w XIX wieku nadano tej ziemi, nieco jest tylko na wyrost...

W żerkowskiej arkadii

U stóp Łysej Góry rozłożyła się wieś Brzóstków, a trochę niżej Śmiełów. W obu miejscowościach wzrok przyciągają jasne fasady klasycystycznych budowli, wyglądem przywołujących grecką Arkadię. Bardziej znany i chętniej odwiedzany jest pałac



Kościół pw. Jana Chrzciciela w Brzostkowie



Pałac w Śmiełowie

w Śmiełowie, ale za pierwszoplanowego bohatera panoramy należy jednak uznać brzóstkowski kościół pw. św. Jana Chrzciciela, postawiony na stoku wysoczyzny i dobrze widoczny nie tylko z Łysej Góry, ale też z wielu innych miejsc Szwajcarii Żerkowskiej. Niczym latarnia stanowi swoisty punkt orientacyjny dla wędrowców.

Klasycyistyczna świątynia z charakterystycznym tympanonem wspartym na ośmiu jońskich kolumnach jest – nie tylko ze względu na położenie, ale też za sprawą sporych rozmiarów – dominantą krajobrazu, lecz w Brzóstkowie warto poszukać jeszcze jednego niezwykłego, choć mało znanego i trudno dostępnego zabytku. To spichlerz, który zobaczyć można, idąc drogą przez wieś. Jego konstrukcja nie ma odpowiednika w całej Polsce! Ponad 200 lat temu został on przebudowany w duchu romantyzmu – nadano mu wówczas wygląd średniowiecznej warowni z czterema narożnymi ceglanyimi basztami zwieńczonymi blankami. Żałując, że tak niezwykły budynek jest trudno dostępny dla osób z zewnątrz, zejdźmy niżej, by odwiedzić te popularniejsze, choć jednak mniej oryginalne budowle.

Do najstarszych należy gotycki kościół pw. NMP Wniebowziętej w Dębnie, ufundowany tuż przed śmiercią przez najznamienitszego obywatela tej wsi – Wincentego Kota herbu Doliwa, który był między innymi prymasem Polski i wychowawcą synów Władysława Jagiełły. Młodszy z nich, Kazimierza, osobiście koronował na króla. Świątynia, wybudowana niemal 600 lat temu, utrzymała swój gotycki charakter, a do najcenniejszych elementów jej wystroju należą ba-

rokowe, XVII-wieczne ołtarze boczne. I do Dębna zawitał w pierwszej połowie XIX stulecia klasycyzm – w postaci oryginalnej, wolno stojącej dzwonnicy, przypominającej raczej budynek bramny. Uważny obserwator dostrzeże u jej szczytu tajemniczego anioła śmierci. W Dębnie znajdziemy również tablicę upamiętniającą Adama Mickiewicza, który odwiedził w 1831 roku miejscowego proboszcza, a także zrujnowany dziś dwór, należący niegdyś do rodziny Mycielskich.

Z Mickiewiczem po Szwajcarii

Miejscem, które z naszym największym narodowym wieszczem najbardziej się kojarzy, jest oczywiście Śmiełów. Pałac tu zlokalizowany jest dziś siedzibą Muzeum Adama Mickiewicza, oddziału Muzeum Narodowego w Poznaniu, a niemal 200 lat temu gościł autora „Dziadów”, gdy ten po nieudanej próbie dołączenia do wygasającego już powstania listopadowego przebywał pod fałszywym nazwiskiem przez kilkanaście miesięcy w Wielkopolsce. Poeta odwiedził wówczas kilkadziesiąt dworów, zbierając doświadczenia, które potem wykorzystał między innymi w „Panu Tadeuszu”. Opowieść o kawiarce, Jankielu i wiele opisów przyrody to ponoć właśnie efekt tego pobytu. Swoją drogą dobrze się chyba stało, że autor naszej narodowej epepei zawrócił znad Proсны i nie rzucił się w wir wojny. Szablą władał z pewnością gorzej niż piórem i być może, zamiast „Pana Tadeusza” i III części „Dziadów”, mielibyśmy kolejnego tragicznego bohatera poległego na polu chwały.

Nie wiadomo dokładnie, w ilu miejscach Mickiewicz gościł. Wśród nich kilka było na terenach obecnie zajmowanych przez dwa parki krajobrazowe: im. gen. Dezyderego Chłapowskiego (Kopaszewo, Chorynia) oraz Żerkowsko-Czeszewski (Śmiełów, Komorze Przybysławskie, Dębno). W pałacu Gorzeńskich w Śmiełowie wieszcz przebywał trzy tygodnie, a kolejni właściciele majątku, Chełkowscy, po roku 1886 stworzyli tu ośrodek kultu uwielbianego poety, izbę muzealną, a w setną rocznicę jego pobytu postawili w pałacowym parku niewielki pomnik. Zdeprawowany po II wojnie światowej pałac w Śmiełowie został z wielką pieczołowitością odrestaurowany i jest dziś prawdziwą perłą w rezydencjonalnej koronie Wielkopolski.

Poeci i patrioci

Oprawiony na kamiennym bloku medalion z wizerunkiem Mickiewicza w Śmiełowie nie jest jedynym w okolicy pomnikiem wystawionym polskim wieszczom narodowym. Po drugiej stronie Warty, w Miłosławiu, w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin i pięćdziesiątą rocznicę śmierci, w obecności około 360 gości za-



Pałac w Winnej Górze

proszonych imiennie przez właściciela pałacu w Miłosławiu, odsłonięty został pierwszy na ziemiach polskich monument poświęcony Juliuszowi Słowackiemu. Uwieńczona mową Henryka Sienkiewicza uroczystość była manifestacją patriotyczną, choć odbyła się w kameralnej scenerii miłosławskiego parku, na terenie prywatnym rodziny Kościelskich. A to dlatego, by władze pruskie nie mogły budowy i odsłonięcia pomnika zablokować. Józef Kościelski sam był poetą i niezwykle cenił twórczość autora „Kordiana”, a związki Kościelskich z literaturą są silne do dziś. Przecież nagroda ich imienia, przyznawana nieprzerwanie od 1962 roku młodym polskim twórcom, została ufundowana przez Monikę Kościelską.

Miłosław warto odwiedzić nie tylko z tego powodu. Miasteczko może się poszczycić również okazałym pałacem, wybudowanym na początku XIX wieku, a przebudowanym w latach 1843-1844 przez ówczesnego właściciela Seweryna Mielżyńskiego według własnego projektu. Trzy kilometry na zachód stoi bodaj jeszcze okazalszy pałac w Winnej Górze. Został on pobudowany na fundamentach wcześniejszego, w którym mieszkał Jan Henryk Dąbrowski, generał wojsk napoleońskich i postać występująca w naszym hymnie narodowym. W barokowym winnogórskim kościele spoczywają doczesne szczątki twórcy legionów polskich we Włoszech.

O pierwszych koźlakach, drewnianych wiatrakach



Nie budowano ich, lecz powoływano do życia. I nie po to, by działały i produkowały, lecz by chodziły, gadały i pracowały. Miały imiona i były traktowane jak członkowie rodziny. Siały niepokój, lecz bali się ich tylko obcy. Ten respekt przechodził zwykle na młynarzy, którzy na wsi mieli zupełnie wyjątkową pozycję.

Koźlaki są jednym z symboli Wielkopolski. Niegdyś powszechne, dziś stają się prawdziwą rzadkością. Choć są jednym z najważniejszych znaków tożsamości Wielkopolan, ich los nie przedstawia się w najjaśniejszych barwach. Wiatraki giną, są w coraz gorszym stanie technicznym, a niektóre w ostatnich latach po prostu przestały istnieć.

Pojawiły się w naszym regionie w XIV wieku. Były to koźlaki – wiatraki najprostsze i najprymitywniejsze. Ich konstrukcja nie zmieniła się właściwie do czasów współczesnych. I mimo postępu technicznego oraz wypracowania innych typów wiatraka, w Polsce nigdy nie oddały pierwszeństwa. W XVIII stuleciu mieliśmy ich w naszym kraju około 20 tysięcy. Do dziś przetrwało około 500, lecz ich liczba nieubłaganie się zmniejsza, a wiele jest w ruinie. Najwięcej koźlaków zachowało się w Wielkopolsce, co w dużej mierze zawdzięczamy Feliksowi Klaczyńskiemu, który pierwszy podjął się ratowania wiatracznego dziedzictwa Polski. Pochodzący z Mikstatu inżynier budownictwa i pasjonat wiatraków zapoczątkował akcję ich inwentaryzacji.

Koźlak, paltrak i holender

Większość polskich wiatraków to koźlaki, czyli drewniane konstrukcje wsparte na koźle. Koźlak – podobnie jak paltrak, ale inaczej niż holender – obracany jest w stosunku do kierunku wiatru w całości. Jest to konstrukcja raczej krucha, podatna na uszkodzenia, nie może pracować przy silnym wietrze. Zdarza się, że pal, który jest główną częścią koźła i na którym wsparta jest konstrukcja, łamie się. Częściej jednak wiatr i opady atmosferyczne nie oszczędzają śmigieł i w oszalowaniu ścian wyszarpują rany. Jednak największą tragedią dla koźlaka jest pożar. Jak ten z 2014 roku w Racocie, gdzie spłonął wyjątkowy wiatrak z 1809 roku.



Wzgórze z wiatrakami w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach

Paltraki pod względem konstrukcji są bardzo podobne do koźlaków. W XIX wieku, gdy rozpowszechniły się na ziemiach polskich, czasami przerabiano je z koźlaków. Różnica między nimi polega na tym, że w wypadku paltraków cały budynek wspiera się nie na kruchym koźle, lecz na szynie z rolkami, biegnącej po całym obwodzie ścian wiatraka. Taka konstrukcja jest znacznie stabilniejsza, bowiem ciężar jest równomiernie rozłożony. Paltrak jest też efektywniejszy, jednak jego budowa, jak i eksploatacja są droższe.

Trzecim rodzajem jest wiatrak słupowy, czyli holender. Pierwsze konstrukcje tego typu, podobnie jak paltraki, powstały w Niderlandach i zostały rozpowszechnione przez pochodzących stamtąd osadników. Holendra rozpoznamy bardzo łatwo. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych typów obracana jest wyłącznie głowica (czapa) budowli, zatem dolna jego część zwykle bywa murowana.

Najstarszy w Polsce

Najwięcej wiatraków znajduje się na terenie Lednickiego Parku Krajobrazowego, ale tylko jeden z nich – w Rybitwach – został tu wybudowany. Pozostałe przeniesiono z innych miejscowości w Wielkopolsce. Najbardziej rozpoznawalna jest malownicza grupa trzech koźlaków stojących na Wzgórzu Wiatracznym w Moraczewie przy

drodze z Gniezna do Pobiedzisk. Wszystkie zostały tu przeniesione w latach 60. XX wieku w ramach zagospodarowania Szlaku Piastowskiego. Otoczono je wysokim ogrodzeniem i nie są udostępnione dla turystów. Grupa trzech wiatraków stoi również w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach. Każdy z nich reprezentuje inny typ, a wizyta w skansenie jest świetną okazją, by uchwycić różnice między koźlakiem, paltrakiem i holendrem. W tak zwanym małym skansenie naprzeciwko Ostrowa Lednickiego znajduje się natomiast prawdopodobnie najstarszy wiatrak w Polsce. Wyrzyta na mącznicy (jednym z elementów konstrukcyjnych) data 1585 wydawała się nieprawdopodobna, jednak przeprowadzone kilka lat temu badania dendrochronologiczne potwierdziły wiek obiektu. Pierwotnie ten drewniany wiatrak stał w Gryżynie, na skraju obecnego Parku Krajobrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego. Dziś – po spaleniu się wiatraka w Racocie – jedynym na terenie tego parku jest dwustuletni, niszczący i od lat nieremontowany koźlak w Jerce. Poza nim zachowały się także szczątki koźlaka w Nochowie. Obumiera również wiatrak w Rybitwach. Kilka lat temu stracił śmigła, od tego czasu z rany po utraconych skrzydłach z wyrzutem wychyla się fragment mechanizmu (wału skrzydłowego).

Uchronić przed ruiną

Znacznie lepsza – przynajmniej z zewnątrz – jest kondycja zagospodarowanych wiatraków, które należą do prywatnych właścicieli i zostały zaadaptowane na pomieszczenia mieszkalne. Jeden z nich stoi w Ostrowie nad Jeziorem Powidzkim, natomiast drugi, o imieniu Stanisław, w Brennie (Przemęcki PK). Jest to dom wakacyjny z dwoma sypialniami i jedenastoma miejscami noclegowymi. Jednak najlepszym przykładem wzorcowo odrestaurowanego koźlaka jest Szczepan z Budziszławia Kościelnego. Budziszławski wiatrak imię swoje zawdzięcza ostatniemu właścicielowi, Szczepanowi Mrówczyńskiemu, który w 1926 roku sprowadził ten wybudowany w 1858 roku obiekt z Kościana. Szczepan mełł zboże do lat 70. ubiegłego wieku, potem, jak większość wielkopolskich wiatraków, niszczał. W 2011 roku wyremontowano go i udostępniono do zwiedzania. Tuż obok wybudowana została tak zwana chata młynarza, w której przestrzeń znalazła filia biblioteki gminnej wraz z Izbą Pamięci Wsi, Młynarstwa i Rolnictwa. Wiatrak jest największą i najwartościowszą częścią ekspozycji. Dziś Szczepan to jedna z wizytówek gminy i kulturalne centrum okolicy. Po remoncie zyskał nowe oszalowanie, ale całe jego wyposażenie jest historyczne. Imponuje w nim zwłaszcza oryginalne podwójne koło pałeczne.



Podróż w świat młynarstwa

O przybyciu 12 cysterek z Trzebnicy do Owińsk



Kiedy dokładnie zamieszkały w Owińskach? Czy na pewno było ich 12? I dlaczego przybyły z Trzebnicy? Na każde z tych pytań istnieje kilka odpowiedzi.

O początkach owińskich cysterek wiemy niewiele, gdyż po kasacie klasztoru ukryto przed Prusakami jego archiwum tak skutecznie, że do dziś nieznane są jego dalsze losy. Pewne jest natomiast, że w połowie XIII wieku – jak pisał Jan Długosz – „Książę wielkopolski i poznański Przemysł I, chcąc się przyczynić do pomnożenia chwały Bożej w swoich księstwach, zakłada w swojej wsi książęcej Owińsku, położonej nad rzeką Wartą, klasztor mniszek reguły cysterskiej i buduje z cegieł zarówno kościół, jak klasztor i mieszkania dla siostr”.



Ogród przy ośrodku dla dzieci niewidomych w Owińskach. W tle kościół pw. św. Jana Chrzciciela



Kopuła w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Owińskach

Przepraszam, dziękuję, proszę

Zapewne najpierw postawiono klasztor, a dopiero później – choć prawdopodobnie jeszcze w trakcie budowy – wprowadziły się do niego zakonnice. Niemal na pewno było ich 12, bo taka była cysterska zasada zasiedlania nowych miejsc. Liczba 12 uważana była za doskonałą, jednak nie uwzględniano w niej ksieni, tak jak w liczbie apostołów nie liczonego Jezusa. A dlaczego cysterki przybyły z odległej Trzebnicy, a nie na przykład z wielkopolskiego Ołoboku?

Powodów mogło być kilka. Po pierwsze, żona Przemysła I Elżbieta przed zamążpójściem przebywała w klasztorze w Trzebnicy. Jeśli złożyła śluby zakonne – a część źródeł mówi o porwaniu jej z klasztoru – książę mógł w ten sposób odkupić swój grzech. Ale książę mógł też fundacją owińskiego konwentu podziękować za ustanie wojen z Piastami śląskimi i odzyskanie południowej Wielkopolski. Mógł również prosić tym sposobem o dalsze łaski, syna i przychylność stanu duchownego. Który z tych powodów przeważał, trudno dziś dociec.

Dobre czasy, złe czasy

Cystersi byli zakonem kulturotwórczym. Zmieniali krajobraz przyznanej im, zwykle nieurodzajnej i nieco zapomnianej przez ludzi ziemi. Ponoć na zboczach

Dziewiczej Góry cysterki hodowały larwy czerwca polskiego, które służyły im do wyrobu barwnika do tkanin. Od nich swą nazwę wziął podobno Czerwonak. Wieś Potasze była zaś miejscem wyrobu potażu, składnika niezbędnego do wyrobu szkła i przedmiotów ceramicznych, w produkcji mydła, środków piorących i farb, a także do wypieku pierników.

Dobra cysterek rozciąły się po obu stronach Warty, obejmowały niemal cały obszar puszczy, jednak centralnym punktem były Owińska z murowanym klasztorem. Z tamtych budynków zostało do dziś niewiele. W trudnych dla zakonów czasach reformacji nastąpił kryzys powołań, liczba zakonnice znacznie spadła, a te, które zamieszkiwały w Owińskich, nie tak gorliwie jak poprzedniczki modliły się i pracowały. Gotyckie mury, które wiele widziały, postanowiono zastąpić barokowymi.

W 1728 roku świat ujrzał nowe, znane do dziś oblicze owińskich włości, ze zwieńczonym okazałą kopułą barokowym kościołem pw. św. Jana Chrzciciela. Warto wejść do środka. Wnętrze jest bogato zdobione, choć już nieco przybladłe i aż prosi się o renowację. Duże wrażenie robi zwłaszcza polichromia na sklepieniu kopuły. Jej autorem jest znany z innych dzieł na terenie Wielkopolski franciszkanin Adam Swach, którego najsłynniejszym dokonaniem jest – nie ze względów artystycznych jednakże – znajdujący się w poznańskim kościele pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa fresk ilustrujący czarną legendę o Żydach profanujących hostię.

Królestwo tyflogii

Niedługo cysterki cieszyły się odnowionym i przebudowanym klasztorem. Na początku XIX wieku Prusacy dokonali kasaty tego i innych zakonów na ziemiach polskich. W pocysterskich murach miejsce znalazł zakład dla umysłowo chorych, który działał do wybuchu II wojny światowej. Po niej, w 1952 roku, założono tu zakład dla dzieci niewidomych, który jako Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci Niewidomych działa do dziś. W 2012 roku założono tu piękny i ogólnie dostępny Park Orientacji Przestrzennej, który z lotu ptaka wygląda jak wymyślny ogród francuski. Ma on jednak przede wszystkim służyć rehabilitacji i rewalidacji podopiecznych Ośrodka. Dzieci i młodzież poznają i uprawiają tu także rośliny, a w tak zwanej zwierzętarni mogą dotykem poznawać między innymi borsuka czy jelenia. Dostępne dla wszystkich, choć bez stałych godzin otwarcia, jest też Muzeum Tyflogiczne, w którym gromadzone są przedmioty związane z edukacją niewidomych, na przykład jedna z największych w Europie kolekcja trójwymiarowych map.



Ślady po wsi Dzwonowo. Żółte, wyższe zboże rośnie tam, gdzie stały budynki

Nieudane cywilizowania próby

W Parku Krajobrazowym Puszcza Zielonka lasy zajmują aż 78 procent powierzchni. Ale nie zawsze tak było. W średniowieczu zupełnie inny był układ szlaków komunikacyjnych i inna sieć osadnicza. Znaczną część terenu, na którym dziś rosną okazałe sosny, modrzewie czy dęby, w przeszłości zajmowały pola uprawne i łąki. Co najmniej od czasu sprowadzenia do Owińsk cysterek próbowano bowiem ujarzmić puszcę. Pamiątką po nich są między innymi dwa niegdysiejsze miasta, dziś będące maleńkimi, ukrytymi pośród lasów wioskami.

Jedno z nich to położony nad rzeczką Trojanką Głębocek, który prawa miejskie uzyskał w 1458 roku, ale już od 1580 występuje w źródłach jako wieś. O jego miejskiej przeszłości przypomina gład upamiętniający wysłanie przez mieszczan rycerza na wojnę z Krzyżakami. W XIV wieku miastem nazywano również położone kilka kilometrów na północ Dzwonowo. Nie zachował się dokument lokacyjny, a że nie było też widocznych śladów po miejscowości, wiedza o dawnych czasach nie owocowała powszechną świadomością czy chociażby gładem pamiątkowym jak w Głębocku. Dopiero w 2014 roku Marcin Krzpekowski, archeolog zajmujący się odkrywaniem zaginionych miast, zwrócił uwagę na widoczne na zdjęciach lotniczych cienie na polach Dzwonowa. Mogły one świadczyć – i jak się wkrótce okazało, było to słuszne przypuszczenie – o istnieniu pod powierzchnią ziemi pozostałości budynków dawnego miasta. Dziś ten fakt jest już dobrze udokumentowany, a mieszkańcy wsi z dumą mówią o swej odległej przeszłości. Ślady najłatwiej zobaczyć w czasie suszy – zboże rosnące na miejscach niegdysiejszych budynków jest wyższe i dorodniejsze.

W kojącym cieniu zadrzewień



Kiedy było trzeba, dobywał broni albo chwycił za... pług. Jego ojciec był utracjuszem, lecz on potrafił nie tylko podnieść z ruin rodzinny majątek, ale uczynić go wzorem dla innych, a przy okazji – bez intencji, czy jednak na pewno... – położyć podwaliny pod park krajobrazowy nazwany jego imieniem.

Ojciec wybrał dla niego karierę w wojsku pruskim. On jednak całe życie walczył o Polskę – najpierw u boku Napoleona, potem w powstaniu listopadowym, podczas którego doszedł do stopnia generalskiego. Jednak polem jego batalii była przede wszystkim rola, bo – jak ponad 120 lat temu pisał jego biograf ks. Walerian Kalinka: „[...] wiedział jasno, że tylko przez ulepszenie rolnictwa i podniesienie ludu wiejskiego można jeszcze naród ocalić”.

Do Turwi przez Borodino

Dezydery Chłapowski po odwróceniu wojsk napoleońskich spod Moskwy wrócił do Turwi, by na zawsze odmienić nie tylko swoją posiadłość, ale również całe wielkopolskie rolnictwo. Miał w sobie dużo pokory. Wiedział, że jako żołnierz ma niewielkie pojęcie o rolnictwie. Radził się okolicznych ziemian, ale oni podawali mu



Okolice Turwi w Parku Krajobrazowym im. gen. Dezyderego Chłapowskiego



Posiadłość Chłapowskich w Turwi

wyłącznie „sprawdzone” metody. Tymczasem on potrzebował czegoś więcej. Jego ojciec, Józef Chłapowski, żył prawdziwie po pańsku, nie mając na to środków, i konsekwentnie doprowadzał rodzinę do bankructwa. Dezydery, który przez krótki czas przebywał w Anglii, zobaczył tam, że można gospodarować lepiej, osiągając wyższe plony. Wrócił więc do Wielkiej Brytanii, by przez 18 miesięcy zgłębiać tajniki – jak sam je określał – „rolnictwa angielskiego”. Przyjechał stamtąd z wiedzą o nowych technikach upraw, z nowymi maszynami i pewnym Szkotem, który jak nikt umiał je obsługiwać. Przejął zadłużony majątek i dogadał się z wierzycielami. Nie wiadomo, czy ci zgodzili się na warunki niedoświadczonego rolnika z rozsądku czy z desperacji, czy też sądząc, że wkrótce i tak przejmą zadłużoną Turwę. Wątpliwości musiało być sporo. „Wielkie zdziwienie wywołało u sąsiadów, że w Turwi sieją trawy, koniczynę zamiast zboża, że pola ogradzają żywymi płotami, że na nieużytkach sadzą drzewa; nic podobnego w Polsce nie widziano, mówiono tedy, że pułkownik zwaryował i starano się wpłynąć na starostę, by syna przywiódł do opamiętania i zapobiegł jego ruinie” – pisał ksiądz Kalinka.

Dezydery Chłapowski sprowadził na ziemię polskie nowe rasy bydła, owiec, nieznaną wcześniej odmianę roślin uprawnych, spopularyzował koniczynę i wprowadził stosowany do dziś płodozmian, zamiast archaicznej trójpolówki.

Jednak na krajobraz jego włości najbardziej wpłynęło to, jak pan na Turwi walczył z osuszaniem i erozją gruntów poprzez nasadzanie zagajników i szpalerów drzew, a także tak zwanych żywych płotów. Te ostatnie sadzono z wszelkich krzewów, które można było przycinać, ale szczególnie nadawał się do tego głąg.

„Odcinanie zatem klinów dla pól wyprostowania i zasadzenie ich drzewami dla zasłony, zmniejszy wprawdzie pola, ale ułatwiając uprawę, użyźnienie, robotę i zarząd cały, pomnoży zbiory a osobiwie czystą intratę” – tłumaczył w swym dziele „O rolnictwie”, które napisał, odsiadując w szczecińskiej twierdzy roczny wyrok po powstaniu listopadowym. Z książki tej wynika, że Dezyderemu Chłapowskiemu bliski był zarówno aspekt ekonomiczny, jak i estetyczny. Chciał też dzielić się swoją wiedzą ku powszechnej korzyści. „W Anglii i Szkocji tym sposobem uporządkowane pola nadają tym krajom postać angielskiego ogrodu. Nie dla samej tylko piękności życzylibym widzieć takie rolnictwo u nas zaprowadzone, ale także dla wielkich korzyści, które z niego wypływają” – pisał. Wiele uwagi poświęcał również melioracji. Jednak nie osuszaniu bagien, jak zaznaczał, ale prawidłowej gospodarce wodnej, pozwalającej na jak najlepsze wykorzystanie ziemi. Nie walczył z przyrodą, lecz szedł z nią na układ, oddając jej, co należne, i czerpiąc z tej „współpracy” korzyści.

Nie tylko przyroda

Dezydery Chłapowski przebudował też w nowym duchu postawiony w drugiej połowie XVIII wieku pałac w Turwi, w którym mieści się dziś Stacja Badawcza Instytutu Środowiska Rolniczego i Leśnego Polskiej Akademii Nauk. Któreż inne miejsce byłoby odpowiedniejsze dla takiej instytucji? Pionier pracy organicznej w Wielkopolsce od wykwintnego baroku wołał surowy neogotyck, od sztucznego ogrodu francuskiego – naturalny park angielski, a od kartusza herbowego – pozytywistyczny zegar. Najbardziej widoczną pamiątką po przebudowie jest charakterystyczna neogotycka kaplica dobudowana do głównego budynku pałacu, będąca świadectwem głębokiej religijności rodziny Chłapowskich.

Jakże wielkim wstrząsem musiało być zatem samobójstwo ukochanej córki Zofii, chorującej na depresję. Jednak nawet to tragiczne zdarzenie wydało piękne owoce. Gdy Zofia odebrała sobie życie, jej mąż Jan Koźmian ufundował drogę krzyżową, która miała stać się upamiętnieniem żony i próbą przebłagania za jej grzech. Trudno było „tak świętą” inwestycję przeprowadzić w celu uczczenia samobójczyni, jednak Jan wystarał się u papieża o stosowne pozwolenie. Kaplicz-



Pałac w Racocie

ki Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej z płaskorzeźbami, które zostały zamówione w Paryżu, stoją przy polnych drogach pomiędzy Kopaszewem, czyli rodzimym majątkiem przekazany siedem lat wcześniej nowożeńcom przez Dezyderego Chłapowskiego, a parafialnym Rąbiniem, w którym znajduje się też nekropolia rodziny Chłapowskich, między innymi grób Dezyderego.

Nie tylko Turew

Komu nie przypadnie do gustu, bądź co bądź, dość przyciężki w formie pałac w Turwi, może znajdzie upodobanie w skromnym i lekkim pałacu w Konarzewie albo w najokazalszym i najbardziej znanym zabytku na terenie Parku Krajozrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego – zespole pałacowo-parkowym w Racocie. Racockie dobra mają bardzo ciekawą historię. Klasykistyczny pałac w barokowym założeniu wybudowano tu ćwierć wieku po posiadłości w Turwi. Krótko należał do rodziny Jabłonowskich, po czym został sprzedany Wilhelmowi Orańskiemu, późniejszemu królowi Niderlandów. W ręce polskie wrócił dopiero w 1919 roku, by dwa lata później stać się jedną z letnich rezydencji Prezydenta RP. Dziś mieści się w nim hotel i restauracja, a cały kompleks od 1928 roku jest siedzibą jednej z najstarszych w Polsce stadniny koni.

O kminie ochweśnickiej



Nieledwie dwie wiorsty od pruskiej granicy, na północnych kresach guberni kaliskiej, w słupeckim powiecie, w miasteczku Skulsk, nie więcej jak 56 dymów liczącym, mieszkańcy jego imali się niezwykłego rzemiosła, będąc w nim najbardziej biegłymi nie tylko w Królestwie Polskim, ale i bodaj w całym Cesarstwie Rosyjskim.

Byli obraźnikami lub – jak sami siebie nazywali – ochweśnikami. Malowali „święte obrazy” i sprzedawali je nad Wisłą, a gdy w 1850 roku zniesiona została granica celna między Królestwem Polskim a pozostałą częścią Imperium Rosyjskiego – także nad Niemnem, Dnieprem czy Oką. Mogli wówczas bez przeszkód docierać do najdalszych zakątków wielkiego państwa. Szczególnie upodobali



Pyrczok, czyli rodzaj baby ziemniaczanej

sobie tereny zamieszkane przez grekokatolików, choć widywano ich i w Petersburgu, i w Pskowie, i w Odessie. Wtedy też popyt na ich dzieła tak wzrósł, że wyodrębniła się osobna grupa obwoźnych handlarzy, którzy z kolei nie ograniczali się już do rozprowadzania skulskich obrazów, lecz dostarczali wszelkich dewocjonalistów i nie tylko. Oferta handlowa była szeroka, a niektórzy z ochweśników po założeniu sklepów gdzieś w dalekiej Rosji już do Skulska nie wracali.

Fabrykanci ze Skulska

Gdy jeszcze obraźnicy sami musieli obrazy malować na płótnie – bo papier nadal nie nadawał się do tego, by taśmowo odbijać na nim ilustracje, a na staloryty niebogaci skulscy rzemieślnicy nie mogli sobie pozwolić – robili to w sposób niebywały. Pisał o nich 120 lat temu w miesięczniku etnograficzno-geograficznym „Wisła” Stanisław Górka: „Taki skulski fabrykant brał kawał płótna na kilkanaście łokci długi i na jaki łokieć, półtora szeroki, odmierzał na nim liczbę obrazów, znacząc szerokość każdego. Następnie na środku każdego odmierzonego kawałka płótna rozpoczynał rysunek twarzy Świętego lub Świętej. Ażeby sobie ułatwić rozmiar tego rysunku, przykładał drugi, trzeci i czwarty palec do płótna w ten sposób, że drugi i czwarty palec trzymał pionowo i w tych miejscach rysował oczy, zaś trzeci odsuwał jak najniżej i to była miara dla nosa. Następnie malował ten sam element tą samą farbą na wszystkich kawałkach płótna”. Tak wykonywanych obrazów nie można było wyprodukować zbyt wiele, a świętych w kalendarzu jest przecież co niemiara. Malowani święci – jeden podobny do drugiego – w zależności od potrzeby często odgrywali rolę raz tego, raz tamtego... Obraźnicy natomiast nie byli wzorami cnót wszelakich. Nie dość, że święty z obrazka w razie potrzeby różne przybierał imię, to jeszcze ochweśnikom zdarzało się podawać za księży, a nawet udzielać sakramentów.

Tajemna mowa obraźników

Nie każdy musiał wiedzieć, o czym między sobą w takich sytuacjach rozmawiali. I nie każdy rozumiał, a raczej nie rozumiał nikt, gdyż posługiwali się mową, jakiej nigdzie poza wąskim środowiskiem ochweśników nie używano. Był to język oparty przede wszystkim na polskiej gwarze złodziejskiej, ale w swoim skromnym słowniku (około 800-1000 słów) mający wyrazy wzięte chyba z tuzina języków wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Samo słowo „ochweśnik” pochodzi z języka rosyjskiego.

Początkowo posługiwali się tym żargonem wyłącznie obraźnicy ze Skulska, następnie jednak przejęli go również handlarze i szmuglerzy ze Ślesina, gdzie kmina ochweśnicka przetrwała do dziś. Na temat ślesinian można w XIX-wiecznej literaturze przeczytać wiele, delikatnie mówiąc, niepochlebnych opinii. Na otoczonych bagnami tak zwanych wyspach złodziejskich na Jeziorze Ślesińskim, które dziś są już tylko kępami suchej ziemi wystającymi ponad dno doliny, miały swe siedziby zbójnickie bandy napadające na podróżnych. Z tej to ponoć grupy wywodzą się ci, którzy następnie – gdy dzięki rozwojowi techniki drzeworytniczej i drukarskiej możliwe było znaczne zwiększenie produkcji obrazów – zajęli się ochweśnictwem.

Agaciarze ze Ślesina

Po I wojnie światowej obraźnictwo przestało być już tak dochodowe, aż w końcu zupełnie przeszło do historii. Przyczynił się do tego również miejscowy proboszcz, który nakazał parafianom usunąć wszelkie, wszak nieidealne, wizerunki świętych pochodzące ze skulskich warsztatów. Jednak dzięki handlarzom ze Ślesina specyficzny żargon przetrwał. Już w XIX stuleciu wielu z nich przerzuciło się na bardziej intratny interes, jakim był handel medykamentami oraz zwierzętami, zwłaszcza gęśmi. Kupowali je w zaborze rosyjskim, sprzedawali w pruskim. A żeby gęsi mogły pokonywać długie wiorsty do granicy pieszo, podkuwali je smołą i pierzem (więcej na ten temat w opowieści „Na wypasie” – s. 72). Takich przedsiębiorców nazywano agaciarzami, bo w kminie ochweśnickiej agatami bądź jagatami określano gęsi. Po II wojnie światowej agaciarze zostali natomiast pierzakami, gdyż zajmowali się handlem starym pierzem na zlecenie gminnych spółdzielni. Powiat koniński, a zwłaszcza gmina Ślesin, nie miały sobie w tej działalności równych w całym województwie, a pewnie i w Polsce.

Kto chciałby choć trochę poczuć lokalne klimaty, ale też usłyszeć kminę ochweśnicką, powinien pojechać we wrześniu do Ślesina na doroczny Jarmark Ochweśnicki. Odbywa się wówczas konkurs kminy, warto posmakować dań tutejszej kuchni, na przykład pyrczoka, opsypunki czy pierogów z gęsiną. Na ślesińskim rynku można też zobaczyć pomnik ochweśnika, choć raczej jest to agaciarz, gdyż pod pachą niesie – niepodkutą widocznie jeszcze – gęś. W Skulsku śladów po tych specyficznych handlarzach i ich kminie już nie ma. Jarmarki odbywają się w miasteczku co miesiąc, ale te ochweśnickie przejęli potomkowie mieszkańców wysp złodziejskich.



Pomnik agaciarza na rynku w Ślesinie

*Bartek z piekła - pustelnik
lasów włoszakowickich*



Choć na chrzcie dano mu na imię Jan, a po ojcu odziedziczył nazwisko Kowalewicz, nazywano go Bartkiem z piekła. Był barwną postacią, która przez 86 lat życia wrosła w krajobraz lasów włoszakowickich.

Mieszkał w samym środku dzisiejszego Przemęckiego Parku Krajobrazowego, na trudno dostępnym, nieurodzajnym i zabagnionym południowym brzegu jeziora Maszynek. Takie miejsca – niegościnne, odludne, ciemne, pełne kolczastych krzewów i pokrzyw – miejscowa ludność nazywała piekłami. Po jego zagrodzie dziś nie ma już śladu. Dom rozpadł się jeszcze przed jego śmiercią, a potem podobny los spotkał również stodołę, w której pod koniec życia sypiał na sianie. Nie zachował się również jego grób na cmentarzu w Brennie. W jego miejscu pochowano już inną osobę.

Przypomniane dziedzictwo

To wszystko nie znaczy jednak, że Bartek z piekła nic po sobie nie pozostawił. Zachowała się kronika, którą pisał od 19. roku życia, oraz niezwykle dzieło jego życia, czyli wznoszony mozolnie i systematycznie przez 20 lat kopiec na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona. Przetrwała też pamięć o tym wyjątkowym człowieku, uratowana przed kilkunastoma laty przez prof. Kazimierza Stępczaka i Kazimierza Wolniczaka. Uratowana skutecznie, czego trwałymi śladami są między innymi szlak turystyczny, coroczne rajdy turystyczne 11 listopada i nazwa bagnistego południowowschodniego brzegu jeziora Maszynek w Państwowym Rejestrze Nazw Geograficznych – Bartek z Piekła.

Był dziwakiem, może nawet tak zwanym wiejskim filozofem. Kierował się mało dziś popularnymi ideami. Mimo niedostatku, nigdy o nic nikogo nie prosił. Tak rozumiał pojęcie godności. Przez 20 lat poświęcał swój czas, żeby wznosić kopiec będący wotum za niepodległą Polskę. Tak rozumiał pojęcie patriotyzmu. Przez większość życia mieszkał samotnie. Urodził się jako obywatel Królestwa Prus, zmarł tuż po zakończeniu II wojny światowej. Pod koniec życia wpadł w głęboką biedę. Na zachowanych fotografiach jest starym, niedołącznym mężczyzną w łachmanach, bez butów, z krzaczastą, siwą brodą i – jak sam mawiał – łąką na głowie, którą raz w roku kosił jego przyjaciel z dzieciństwa. To jednak bardzo niepełny i niesprawiedliwy obraz. Tak wyglądał w ostatnich latach życia – w czasie okupacji niemieckiej i tuż po niej. Wcześniej był przecież młodym człowiekiem, zaskakująco dobrze wykształconym, z szerokimi horyzontami, posługującym się kilkoma językami i bardzo starannym charakterem pisma. Tyle że nieco dziwnym, trochę innym...

Droga do piekła

Jako dziecko był bardzo zdolnym uczniem, chciał zostać nauczycielem, ale jego rodziców nie było stać na edukację syna. Został więc rolnikiem. A znał się na agrotechnice jak mało kto w okolicy. Niezwykle odczytany, wprowadzał nowe techniki upraw, szczególnie chętnie najmowano go do sadzenia drzew owocowych. Hodował też krowy i wyrabiał ser, bardzo ceniony przez kupujących. Właśnie po śmierci dwóch krów, spowodowanej wydanym przez Niemców podczas okupacji zakazem trzymania ich w rzekomo w zbyt niskim chlewie, popadł w największą biedę. Z Niemcami już od dawna miał zresztą na pieńku. Będąc jeszcze poddanym niemieckiego cesarza, otwarcie deklarował się jako polski patriota. Prenumerował polskie gazety, zmuszając listonosza Niemca, który w dodatku domagał się czytania ewangelii w kościele w Brennie po niemiecku, do codziennych wizyt w jego odległym o kilka kilometrów od poczty piekle. A po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przystąpił do usypywania kopca.

Jako człowiek nie tylko odczytany, ale i interesujący się otaczającą go rzeczywistością i rozumiejący procesy rządzące światem, uznał zapewne, że bez przystąpienia Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej trwałaby ona dłużej i nie zakończyła się zwycięstwem ententy, a Polska – jeśli nawet wróciłaby na mapę Europy – mogła nie odzyskać lasów włoszakowickich i jego piekła.

Ora et labora

Ziemia, na której żył, leżała na pograniczu Wielkopolski i Śląska, żywiołu polskiego i niemieckiego. Traktatem wersalskim większość powiatu wschowskiego przyznano Niemcom, a granicę wyznaczono zaledwie trzy kilometry od jego chaty, pozostawiając po niemieckiej stronie między innymi Lgiń, do którego chodził do kościoła. Tamtejsza świątynia nie była jednak jedyną przez niego odwiedzaną. Na msze chodził przede wszystkim do Brenna i Włoszakowic, a czasem do oddalonego o 12 kilometrów Przemętu, z piękną trójnawową barokową bazyliką pw. Najświętszej Maryi Panny i św. Jana Chrzciciela, oraz do maryjnego sanktuarium w Wieleniu Zaobrzańskim. Obie te miejscowości w przeszłości należały do zakonu cystersów. A sam Bartek był trochę jak cysters, bliska mu była benedyktyńska dewiza *ora et labora* (módl się i pracuj). Czas spędzał na pracy, lekturze i modlitwie. Zmieniał krajobraz, użyźniając ziemię, niwelując okoliczne pagórki i wznosząc okazały kopiec. Zdarzyło mu się nawet utworzyć

niewielki staw, który zarybił, a z wikliny porastającej brzegi tego zbiornika wytwarzał kosze i inne przedmioty.

Po latach przyroda odebrała swoją własność. Na Kopcu Wilsona wyrósł las, a wiatr i woda nieco go zniwelowały. Wciąż jednak stoi, idealnie wtopiony w krajobraz jednego z najbardziej dzikich obszarów Przemęckiego PK, będąc jednak domem już nie dla Bartka z piekła, lecz między innymi dla padalców i jelonków rogaczy.



Drewniana rzeźba Bartka z piekła

Rozdział I



Lasy, puszcze i bory

W krainie popielicy



Chcesz znaleźć w naturze architekturę świątyni? Stań w maju pod kopułami koron bukowych! Zobaczysz strzeliste jak kolumny pnie, gałęzie wygięte w łuki niczym gotyckie sklepienie. To potęga natury w czystej postaci!

Młode listki zarówno nastoletnich, jak i kilkusetletnich buków (*Fagus sylvatica*) są delikatne jak skrzydła motyla, który niedawno opuścił poczwarkę. Jeszcze lekko zgniecione, rozprostowują swe powierzchnie i nabierają mocy. Początkowo jedwabiste – falują gładkane majowym wiatrem, toczą pierwsze walki – szarpane porywami wiosennej burzy. Niebawem okrzepną, nabierając ciemniejszej barwy, tworząc tym samym prawie nieprzepuszczającą promieni słonecznych zieloną zasłonę.

Buki prawdę powiedzą

Idąc przez stare buczyny w rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim w Sierakowskim Parku Krajobrazowym, przesuwamy wzrok w górę gładkich pni bukowych starców – najstarsze, pomnikowe okazy mają nawet 300 lat i cztery metry



Orzeszki bukowe, czyli bukiew



W rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim

w obwodzie. Swoją energią działają wręcz terapeutycznie. Nie bez przyczyny powstała sylwoterapia, czyli metoda leczenia dolegliwości poprzez bliski kontakt z drzewami. Niezapomnianą galerię tworzą także sploty korzeni, które jak dłonie istot z onirycznego świata wczepiają się w ziemię, by ją zatrzymać, ochronić. Uśmiechamy się niemal bezwiednie na widok wrytych na korze inskrypcji, które niosą pamięć o miłości, nawet sprzed dziewięćdziesięciu lat.

Wędrując wąską ścieżką, rozglądamy się wokół, wypatrując też bukowych samosiejek, które rozwijają się z nasion niezjedzonych przez leśne gryzonie, dziki czy ptaki. Włącza się kolejny cykl samoodnowy. Młode splata się ze starym. Delikatność z mocą. Na trasie widzimy powalone wiatrem bukowe kolosy, które będą stopniowo obumierać, dając życie setkom, tysiącom organizmów – grzybom, pa-prociom, roztoczom, mchom czy owadom.

Ciemne buczyny są wręcz tworzywem monumentalnego malarstwa i rzeźbiarstwa natury. A może happeningu? Nad Jeziorem Lutomskim sceną tego spektaklu jest zbcze rynny polodowcowej, poprzecinanej wąwozami, jarami, drażnionymi przez spływające wody opadowe.

Małe jest piękne

Ale nie tylko dojrzałe i stare buki są bohaterami tych lasów. Żyjące z nimi w symbiozie popielice (*Glis glis*) reprezentują przy nich wręcz wagę piórkową. Te, żywiące się między innymi orzeszkami buka, małe ssaki mieszkają przede wszystkim w starych rozległych buczynach. Na niżu takich lasów jest niewiele, a tym samym brakuje tych zwinnnych szarych gryzoni z białym brzuszkiem i puszystym ogonem. W ciągu dnia nie mamy szans podziwiać ich akrobatycznych wędrówek w poszukiwaniu pokarmu. Jako zwierzęta prowadzące nocny tryb życia drzemią wówczas w nadrzewnych kryjówkach – dziuplach czy specjalnie przygotowanych dla nich budkach. Gdy zapada noc, a drzewa otula ciemność, opuszczają swe sypialnie, by rozpocząć ucztę. W menu popielic znajdują się pączki i liście drzew, ptasie jaja, owady, a pod koniec lata i jesienią – orzeszki bukowe i leśne owoce. Niczym linoskoczkowie zwinnie przebiegają i przeskakują na wysokościach. Gdybyśmy stanęli poniżej, pod osłoną gałęzi, chłonąc nocną muzykę lasu, usłyszelibyśmy nad sobą charakterystyczne krząknięcia *krii, uiii*.

W koronach drzew popielice spędzają czas od maja do października. Później schodzą na ziemię, by zaszyć się w podziemnych norach i zapaść w hibernację. Spowolnione procesy życiowe pozwalają im przeżyć we śnie niekorzystny dla nich czas. Niezbędne funkcje są podtrzymywane dzięki zapasom tłuszczu zgromadzonym jesienią, gdy bukiew stanowiła podstawę ich diety, umożliwiając zmagazynowanie pod skórą pokładów energii. Wraz z wiosenną pobudką popielice szukają nadrzewnych mieszkań, w których mają też szansę wychować potomstwo.

Dom dla popielic

Od 2021 roku nocni eksploratorzy wielkopolskich buczyn mogą posłuchać, a może i zobaczyć popielice nie tylko na bukach nad Jeziorem Lutomskim, ale też w lasach pod Promnem. Dzięki gatunkom liściastych drzew, takich jak buk, grab, dąb szypułkowy, jesion czy klon, panują tam odpowiednie warunki siedliskowe dla tych wyjątkowych gryzoni. Popielice znają się na rzeczy – wiedzą, że stare, zwarte drzewostany mają moc. Korony drzew, splecione gałęziami ze sobą, niczym wiszące mosty pozwalają gryzoniom przemierzać rewir. To także ochrona dla lasu, który może na dłużej zachować wilgoć, co w dobie ocieplania się klimatu ma kolosalne znaczenie.

Jesienią 2020 roku w ramach reintrodukcji popielic w Parku Krajobrazowym Promno zostało wypuszczonych na wolność 17 młodych przedstawicieli tego ga-



Popielica szara

tunku. Kolejne dołączą później. Efekty projektu czynnej ochrony popielicy, realizowanego przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego oraz naukowców z Wydziału Biologii Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu przy wsparciu Nadleśnictwa Czerniejewo, poznamy w najbliższych latach. Założenie jest takie, by w tutejszym lesie mieszkało od 100 do 300 tych nadrzewnych ssaków. Wiosną 2021 roku z myślą o nich zamontowano 50 skrzynek rozrodczych, by wspomóc ich aklimatyzację. Kolejne skrzynki rozrodcze zawieszono dla jeszcze jednego gatunku, a mianowicie orzesznicy leszczynowej (więcej o tym gatunku w opowieści „Diabeł, co w gruszcze mieszkał” – s. 46).

W październiku, po północnej dominacji zieleni, korony drzew sukcesywnie zmieniają barwę. W buczynach zaczyna rządzić intensywny rudobrazowy odcień. Oświetlony słońcem – wręcz się żarzy. Gdy liście zaczynają opadać, spacer wśród osypującego się, wirującego listowia i po rudym dywanie jest jednym z przyjemniejszych doznań jesieni. Popielice zapadają w sen zimowy. Nie przeszkadzajmy!

O zawilcach, przylaszczkach i kokoryczach



Eteryczne białe chmury co kilka minut przesuwają się na niebie, ale i tak mrużymy oczy w spotkaniu z marcowo-kwietniowym słońcem. Korony bezlistnych drzew rzucają na ziemię delikatną i nieregularną siatkę cieni. Właściwy spektakl rozgrywa się jednak u naszych stóp – w runie leśnym. Brązową warstwę zbutwiałych ubiegłorocznych liści zaczynają zasłaniać pierwsze wiosenne rośliny. Jak zahipnotyzowani patrzymy na dywan utworzony przede wszystkim z subtelných zawilców, których tysiące białych drobnych kwiatów unoszą się nad zielonym kożuchem liści. I dosłownie zawłaszczają przestrzeń lasu.

W przyrodzie wszystko ma swój czas i rytm. Za kilka tygodni, gdy korony buków, dębów, grabów, klonów, jaworów, brzoź czy jesionów (gatunków drzew liściastych tworzących grąd) zamienią się w zwartą gęstwinę listowia, nie będzie już



Kokorycz pusta



Zawilec gajowy

śladu po mozaice białych i żółtych zawilców, które teraz wydają się wszechobecne. By odkryć ich czar, warto udać się na przykład w okolice jeziora Drażynek, do rezerwatu Las Liściasty w Promnie lub na ścieżkę przyrodniczo-leśną w Jeziercach w Parku Krajobrazowym Promno.

Leśny mikrokosmos

Zawilec gajowy (*Anemone nemorosa*), choć tak niepozorny, przejmuje w lesie władzę. Kwietny kobierzec zdaje się nie mieć końca – wygląda niczym gwiazdy w galaktyce. Trwa prawdziwa eksplozja kwitnienia. Tysiące, dziesiątki tysięcy białych punktów w runie to niezaprzeczalna potęga, a dla oka spacerowicza czy turysty – niezapomniany obraz. Spójrzmy na pojedynczy kwiat. Czyż nie przypomina zwiewnej baletnicy w zielonej misternej sukience? Obudzony promieniami słońca pąk otwiera się, by wieczorem lub pod wpływem chłodu zakończyć spektakl i stulić eteryczne płatki.

Święto wiosny

Jednak to nie zawilcowi przypisujemy pierwszeństwo w kwiecistym przedwiośniu. Już w lutym na scenę wkracza małeńki rannik wiosenny (*Eranthis hyemalis*) – zimnolubny oryginał nad oryginały. Dzięki temu, że potrafi wytwarzać ciepło, przebija



Przylaszczka pospolita

się przez śnieg, by żółtymi kwiatami ozdobić ziemię. I będzie cieszyć nasze oczy nawet przez miesiąc, dopóki nie stanie się zbyt ciepło – jak dla niego – i temperatura przekroczy 10 stopni. To dla rannika znak, że czas zakończyć show.

Śnieżyczkę przebiśnieg (*Galanthus nivalis*) w konsekwencji ocieplania się klimatu rzadko dziś mamy okazję oglądać w okolicznościach zgodnych z etymologią jej nazwy. Z sentymentem wspominamy nie tak odległe czasy, gdy w marcu wypatrywaliśmy w śniegu seledynowych kielków, a potem cieszyliśmy się śnieżnobiałymi delikatnymi kwiatami, których nektar jest pierwszym źródłem pożywienia dla pszczół.

Zjawiskową kreację tworzy niewątpliwie śnieżycza wiosenna (*Leucojum vernalis*), w Wielkopolsce występująca w parku przypałacowym w Turwi, a w stanie dzikim w rezerwacie Śnieżycowy Jar pod Starczanowem nieopodal Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka. To największe na polskich nizinach stanowisko tej rośliny, tak charakterystycznej dla podgórskich rejonów Karpat i Sudetów. Ze względu na to, że rezerwat znajduje się na terenie poligonu Biedrusko, można odwiedzić to miejsce wyłącznie w wybrane weekendy. Idąc drewnianymi kładkami i wyznaczoną ścieżką, urzeczeni jesteśmy widokiem śnieżycy w każdej postaci – zarówno rozległą panoramą hegemonii tego gatunku, jak i urodą oraz ekspresją pojedynczych kwiatów.

Kolejnym aktorem wiosennego spektaklu rozgrywającego się na leśnej scenie PK Promno i PK Puszcza Zielonka, wprawdzie nie tak ekspansywnym i wszechobecnym jak zawilec, jest niebieskofioletowa przylaszczka. Swą łacińską nazwę *Hepatica nobilis* zawdzięcza niezwyklej w kształcie, zimozielonym liściom, które przypominają płaty wątroby (łac. *hepar*). Do jej kolorystycznych pobratymców należą fiołki leśne, miodunki ćma i plamista. Łany fioletowych i białych kokoryczy pustych (*Corydalis cava*) rozpościerają się między innymi w pobliżu leśniczówki w Annowie na terenie PK Puszcza Zielonka. Prześwietlone promieniami słońca wzruszają swym pięknem, a przed amatorami przyrodniczej fotografii stawiają nie lada wyzwanie.

Wszystkie przywołane tu gatunki to geofity, czyli niskie rośliny tworzące runo leśne, które kwitną krótko przed rozwinięciem się liści na drzewach, zaś resztę sezonu spędzają w postaci podziemnych bulw i kłączy. Różnorodność kwiatostanów zauważamy na pierwszy rzut oka. Przyjrzyjmy się jednak także bogactwu kształtów liści. Mogą być wąskie i smukłe – jak u przebiśniegów, śnieżycy wiosennej i złoci. Przypominają też kryzy lub sukienki baletnic – jak u ranników czy zawilców.

Metamorfozy natury

W czasie aspektu wiosennego, czyli masowego kwitnienia geofitów, wędrowka przez lasy w PK Promno i PK Puszcza Zielonka jest okazją do podziwiania jednego z cudów lokalnej natury, ale warto się tu wybrać na wycieczkę także tydzień albo dwa tygodnie później, gdy kwiaty pojawiają się w warstwie podszytu. Obsypują się nimi tarniny i głogi wyglądające jak śnieżne kule, odorująco pachnąca czeremcha, kruszyna, dereń świdwa i kalina koralowa. Osobnym zjawiskiem jest zakwitający już w lutym różowy wawrzynek wilczyłyko, rosnący na terenie obu przywołanych tu parków krajobrazowych (więcej o tym gatunku w opowieści „Diabeł, co w gruszcze mieszkał – s. 46). W PK Promno zliczono ponad 500 okazów tego gatunku. Pamiętajmy, że część opisanych tu roślin jest objęta ochroną ścisłą, nie wolno więc ich zrywać czy w jakikolwiek inny sposób niszczyć.

Gdy przemierzamy las, towarzyszy nam ptasia orkiestra. Zięby wyspiewują swoje arie, co rusz słychać charakterystyczne *cilp-calp* pierwiosnka. W szalonym locie przemknęła para dzięciołów czarnych, w swej szacie spójna z obudzoną z zimowego snu rusałką żałobnikiem. Po wielu miesiącach hibernacji motyl łapie ciepłe promienie słońca, wygrzewając się na brzożowej korze. Budząca się do życia przyroda ożywia i nasze zmysły, i nasze uczucia. A pierwsze z nich to – jak pisał poeta Adam Asnyk – kwiaty wiosenne.

Tam, gdzie żyją dzikie stwory



Przez szczytowe partie drzew co rusz przebija się tarcza księżycy. Czy wyżowa noc przyniesie doznania, których oczekujemy? O których marzymy? W miarowy szum oddechu i szelest butów na leśnej ściółce wdziera się dobiegający z głębi lasu trzask złamanej gałązki. W ciemności Puszczy Noteckiej brzmi jak ostry akord i przyprawia o szybsze bicie serca. Strach? Niewiadoma: kto bezszelestnie stąpa całkiem blisko? Obserwuje nas? Ma niejako na muszce? Tu my jesteśmy obcy.

W rewirze Księcia Ciemności

Zapuszczając się w odległe knieje, nierzadko na granicy leśnych mokradeł i bagien, mamy szansę usłyszeć niosące się po lesie *buuuu, uuuuu*, które osobę nieprzygotowaną na tego typu doznania (gotową chyba też...) mogą zmrozić i przestraszyć. Tymczasem to on jest płochliwym pustelnikiem żyjącym z dala od człowieka.

Bezszelestny lot, aparat słuchowy doskonale przystosowany do namierzania potencjalnej ofiary, kryptyczne upierzenie, dzięki któremu idealnie wtapia się w otoczenie – to arsenał Wielkiego Księcia Ciemności – puchacza (*Bubo bubo*). Największa z rodzimych sów i jednocześnie jedna z najrzadszych żyjących w Polsce (krajową populację tego gatunku szacuje się na zaledwie 250 par) jest jednym z wyjątkowych skarbów Sierakowskiego Parku Krajobrazowego. W Wielkopolsce

”

Taki był układ: cztery dni sam na sam z puchaczem. Już pierwszej nocy rozpętała się burza i trochę się przeraziłem, że zaraz zmoknę, a przede mną parę dni siedzenia. [...] Włączyłem na moment kamerę na podczerwień i zobaczyłem samicę – osłaniała swoim ciałem pisklęta, woda spływała jej po dziobie i skrzydłach. Kiedy grzmiało i błyskało, zamykała oczy i kurczyła się ze strachu. Rano puchacze były tak mokre i sponiewierane przez deszcz, że wyglądały jak siedem nieszczęść. Zdjęć nie mogłem robić, ponieważ obiektyw zaparował [...]. Po dwóch godzinach z letargu wyrwał mnie głos lądującego na gnieździe puchacza. Powoli zerkam do aparatu i to, co widzę, jest nagrodą za wszystkie cierpienia. W całym kadrze mam stojącą samicę – patrzy w moją stronę, jest wspaniała.

Artur Tabor, „Sowy Polski”, Kruk Jolanta Tabor, Jedlnia-Letnisko 2013, s. 239.



Puchacz

to jedyne potwierdzone miejsce jej występowania. Ze względu na swoje gabaryty puchacz nie zasiedla dziupli, lecz przejmując rozłożyste duże gniazda innych skrzydlatych mieszkańców leśnych ostępów – między innymi bocianów czarnych i ptaków szponiastych. Zdarza się, że jaja składa bezpośrednio na ziemi, zajmując ukryte wykroty i nisze lub – jeśli na swój dom wybrał bagienny teren – karpny olch. W tym wariantcie młode, zostawiane przez rodziców same w „gnieździe” na czas łowów, padają niekiedy ofiarą drapieżników. Puchacz poluje nie tylko na leśną drobnicę, czyli małe gryzonie i ptaki, ale w jego menu znajdują się zwierzęta średniej wielkości, jak: kaczki, zające, karczowniki, jeże czy wiewiórki. I mniejsze gatunki sów (!): puszczyki, włochatki czy uszatki.



Wilk szary

Piętno „złego”

Zejdźmy piętro niżej – na ziemię.

Wśród drapieżnych ssaków aktywnych także w nocy dźwierz palnę pierwszeństwa. Od wieków – podobnie jak sowy, którym przypisywano nadprzyrodzone moce i traktowano jako wysłanniczki sił nieczystych – uznawany za symbol okrucieństwa, podstępności, dzikości. Tymczasem wilk (*Canis lupus*) – bo o nim mowa – w konfrontacji z człowiekiem przegrywa. W konsekwencji naszych braków w wiedzy i stereotypowego postrzegania oskarżany o skłonność do napadania na domowe zwierzęta, a nawet, jeśli byłaby ku temu okazja, człowieka – jest zawsze jego ofiarą. Wilcza wataha przemierza rozległe tereny Puszczy Noteckiej, której część znajduje się na terenie Sierakowskiego PK. Budowa i kondycja maratończyka pozwalają wilkowi przemieszczać się w poszukiwaniu pokarmu dziesiątki kilometrów dziennie. A znakomity węch i przenikliwy słuch czynią go perfekcyjnie przystosowanym do penetracji swojego terytorium (o średniej powierzchni ok. 250 kilometrów kwadratowych), jak i komunikacji z grupą rodzinną. Polując przede wszystkim na dzikie ssaki kopytne, takie jak jelenie, sarny czy dziki, wybiera osobniki o gorszej kondycji, osłabione, poranione. Tym samym odgrywa ważną rolę selekcyjną, eliminując zwierzęta, które najprawdopodobniej niedługo i tak czekałaby śmierć. Swoje menu urozmaica zającami, lisami czy wałęsającymi się psami lub zdziczałymi kotami. Wśród jego ofiar są bobry, z którymi wiąże się kolejna osobliwa historia dotycząca terenu należącego dziś do Sierakowskiego PK.

Stańmy zatem nad wodą i spójrzmy w jej nurt. Z mroczną historią.

Jej bohaterem jest bóbr (*Castor fiber*). Dla jednych niesławnym – za sprawą samowolnej i niekontrolowanej przez ludzi „wycinki” drzew, jak i uszkodzenia wałów przeciwpowodziowych. Dla drugich chwalebny – jako inżynier regulujący zgodną z rytmem i potrzebami natury gospodarkę wodną jest naszym sprzymierzeńcem w retencji wody. Dziś można go zobaczyć także w Poznaniu, między innymi podczas spaceru nad Wartą, nad jeziorem Malta czy przy brzegach Cybiny. Tymczasem sto lat temu toczyła się batalia o jego przetrwanie. Wkład w restytucję tego gatunku na ziemiach polskich miała bobrownia, czyli strzeżona hodowla bobrów, działająca w latach 1927-35 nad jeziorem Kublick w pobliżu Jeleńca. Na obszarze dziewięciu hektarów dzikiego terenu, gdzie bobry zgodnie ze swoją naturą ścinały drzewa i budowały żeremia, znajdowały się także zagrody, w których żyły i rozmnażały się pod specjalnym nadzorem. Dziś pozostałościami tego azylu są resztki tamy i zarastające fundamenty po budynkach.



Bóbr europejski

Ciemność pod ochroną

Zanurzając się w naturę, chcemy być jak najbliższej jej pierwotnej postaci. Wartość i znaczenie niemal dziewiczej naturalnej nocnej ciemności docenili pomysłodawcy Ostoji Ciemnego Nieba w Izdebnie i Chalinie w gminie Sieraków (od 2014 r.). Warto też dodać, że w 2017 roku na terenie Ośrodka Edukacji Przyrodniczej w Chalinie uruchomione zostało obserwatorium astronomiczne wykorzystywane przez Wydział Fizyki Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu. Z kolei w ramach działań Ostoji organizowane są spotkania, na przykład pasjonatów deszczu Perseidów czy zaćmienia Księżyca. W obu wsiach założono oświetlenie, które emituje mniej sztucznego światła i świetlnego smogu. Bo ciemność i gwiazdziste niebo to kolejne gatunki zagrożone...

O świetlistych dąbrowach



Wbiegli na próchniejący pień i stanęli naprzeciwko siebie. Szybko dokonują oceny kondycji i sił przeciwnika, bujając się z góry na dół i na boki. I niczym rycerze podczas turnieju czy bitwy przyjmują najlepszą do ataku pozycję. Unoszą jak kopie ogromne żuwaczki, pokazując swój oręż. Ruszają. Szczeni starają się wzajemnie zepchnąć, zrzucić rywala. Podnieść i strącić. Wygrać przez nokaut. Jak w transie siłują się w walce na śmierć i życie. I obaj spadają – niemal jak w przepaść – na... poduszkę z mchu, po czym odbiegają w przeciwne strony.

Gdy w 1996 roku na ekrany kin wszedł przełomowy dla konwencji filmu przyrodniczego „Mikrokosmos” („Microcosmos”), jedna ze scen, obserwowana z punktu widzenia owadów, pokazywała opisany powyżej pojedynek samców jelonek rogaczy. Wyglądali w niej jak zapaśnicy albo gladiatorzy.



Jelonek rogacz – pojedynek samców



Jelonki rogacze przyłapane in flagranti

Władca świata owadów

Ten największy w naszym kraju ciemnobrązowo-czarny chrząszcz żyje w nielicznych enklawach. W Wielkopolsce można go zobaczyć w świetlistych dąbrowach lasów włoszakowickich na terenie Przemęckiego Parku Krajobrazowego. Areną walki samców jest nie tylko ściółka czy rozkładające się pnie, ale też konary dębów. Stojący na szczycie rzędu chrząszczy jelonek rogacz (*Lucanus cervus*) zawdzięcza swą nazwę imponującym brązowobordowym żuwaczkom, które przypominają miniaturową wersję poroża jeleni. Może mieć długość nawet ośmiu centymetrów, z czego żuwaczki stanowią niemal połowę. Zdarzają się też samce dwukrotnie mniejsze, zatem zróżnicowanie pod względem wielkości jest w tym gatunku spore. Samice są oczywiście zdecydowanie mniejsze i – co charakterystyczne dla świata zwierząt – skromniej wyposażone. Małymi, lecz silnymi żuwaczkami bez problemu nacinają korę dębu, by dostać się do „ambrozji”, jaką dla tego gatunku jest sok najszlachetniejszego z polskich drzew.

Upojne wieczory

W czerwcu, pod koniec dnia odbywa się rójka, której najbardziej spektakularną częścią jest przywołana na wstępie walka o partnerkę i możliwość przekazania genów. Swoje życie ten mocarz nad mocarze owadziego mikroświata związał z innym atletem w przyrodzie – dębem. Wewnętrzne obumierające części króla polskich drzew są kolebką dla larwalnych postaci tego chrząszcza. Murszejące, ale i w pełni życia okazy – ringiem i matą pojedynków oraz... stołówką. Dorosłe owady żywią się bowiem sokiem rosnących drzew – w tym celu nacinają pnie, gałęzie i liście. Unoszące się w czerwcowe wieczory feromony wydzielane przez samice uderzają samcom do głowy, prowadząc do pojedynków. W arsenale chwytów jest zjawiskowe podnoszenie przeciwnika i strącanie go w dół. Elementem rytuału jest też zapraszanie potencjalnej partnerki na łyk soku dębowego.

Zapłodnione samice składają jaja w zmurszałym drewnie rozkładających się dębowych pni albo bezpośrednio w ziemi. Olbrzymie larwy, o długości nawet dziesięciu centymetrów, żerują w pniaku i przylegających do niego korzeniach od dwóch do pięciu lat, co zależne jest od dostępności pokarmu i warunków atmosferycznych. Następnie przechodzą metamorfozę w komorze poczwarkowej zbudowanej z próchna, dębowych wiórków i odchodów.

W dąbrowy gęstym listowiu

Dąb – gatunek obdarzany przez człowieka estymą – od wieków jest przedmiotem kultu. Widziano w nim siedzibę bogów, sił nadprzyrodzonych, przestrzeń sacrum, symbol potęgi i mocy. W wyobrażeniach Słowian postrzegany był jako Drzewo Świata, łącznik między bogami (korona), żywymi (pień) i umarłymi (korzenie).

Scenerią jelonkowych pojedynków są świetliste dąbrowy, na terenie Wielkopolski rosące w Przemęckim Parku Krajobrazowym, składające się głównie z dębów bezszypułkowych. W miejscach, gdzie dziś są świetliste dąbrowy, w przeszłości wypasano zwierzęta, drzewa rosły luźno, wykaszano runo i zbierano żołądź. Dzięki tym zabiegom nie wyrastały kolejne drzewa, krzewy nie rozrastały się, a runo leśne było doświetlone. W takim lesie korony drzew nie przylegają ściśle do siebie i przepuszczają w niższe warstwy lasu promienie słoneczne, zapewniając w podszycie i runie różnorodność zarówno roślin, jak i zwierząt.

Z dębami związały życie jeszcze między innymi dwa gatunki wielkich chrząszczy, mianowicie kozioróg dębosz (*Cerambyx cerdo*), którego przybliżyliśmy w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów”



Świetlista dąbrowa w Przemęckim Parku Krajobrazowym

(s. 30), oraz pachnica dębowa (*Osmoderma eremita*). Siedliskiem tej drugiej są próchniejące wewnątrz, dorodne okazy nie tylko – jak sugeruje nazwa – dębów, ale też lip czy wierzb, w których w postaci larwalnej owad ten spędza trzy lub cztery lata. Jeśli w pobliżu przywołanych gatunków drzew poczujemy aromat śliwek bądź moreli, możemy być pewni, że to sprawka samców pachnicy wydzielających feromon o tak zaskakującym i dezorientującym ludzi zapachu.

Łut szczęścia

Zatrzymaliśmy się na parkingu przy leśniczówce Krzyżowiec na terenie Przemęckiego PK. Zwiedzamy najpierw miniarboretum, gdzie natrafiamy na dwa padalce, i kierujemy się w głąb lasu.

Po półgodzinnej wędrówce widzimy przemieszczający się na wysokości naszych oczu, na razie niezidentyfikowany, obiekt latający. Biegniemy do miejsca, gdzie owad wylądował. Czyżbyśmy mieli dziś szczęście? To wprawdzie „tylko” samica jelonka rogacza, ale i tak czujemy się wybrańcami. W drodze na parking czeka nas jeszcze jeden rarytas – jest nim przedzierający się przez trawę borodziej cieśla. *Veni, vidi, vici!*

Wielka Starucha - strażniczka prastarego lasu



Tafla Warty w okolicach Czeszewa srebrzyście połyskuje w tym nieoczekiwanie gorącym dniu majowym. Rozlewając się szeroko, kusi perspektywą spływu kajakowego. Niespodziewany krzyk żurawi rozbija senność wczesnego popołudnia. W oddali słycać nawoływania wilgi.

Starorzecze rzuca urok

Przez konary zazieleniających się dębów przebija starorzecze Wielka Starucha. To nasze pierwsze spotkanie, zatem i pierwsze niewiadome, ale przede wszystkim poznawanie jej tajemnic. Gdy od strony ukrytych w lesie jej siostr, starorzeczy Okrągłe Zaskrzęcie i Długie Zaskrzęcie, dobiega pulsujące pohukiwanie



Starorzecze Wielka Starucha

kumaków nizinnych, już myślę o przyjeździe tutaj w czerwcowy wieczór. Idealny wydawałby się dzień przesilenia letniego, bo marzenia o powrocie do słowiańskich korzeni – choćby na chwilę – odżywają w niejednym sercu i umyśle, zwłaszcza gdy za bardzo pochłania nas niebezpiecznie szybkie tempo czasów wszechobecnej robotyzacji i informatyzacji. Szczególnie w okresie letniej kaniuku miejsce to może nabrać pierwotnej mocy.

Starorzecze Wielka Starucha – jak i ukryte w najstarszym w Wielkopolsce rezerwacie Czeszewski Las kolejne: Mała Starucha, Szaniec, Łojewo, Musiówka, Czaplina – to niezwykły ślad, choć właściwsze byłoby chyba określenie „blizny”, po działaniach przeprowadzonych tu pod koniec XIX wieku. Wtedy to bowiem wykopane zostało proste, wygodniejsze dla użytku człowieka (!) koryto rzeczne, które zastąpiło meandrującą w lasach czeszewskich Wartę (więcej na ten temat w opowieści „W objęciach Warty i Lutyni” – s. 98). Pulsujący, podnoszący się i opadający poziom wody w starorzeczach ma nierozzerwalny związek z porastającą ten obszar roślinnością szuwarową i bagienną, a także kondycją tutejszych zwierząt.

Schowane na terenie uroczyska Czeszewo i w lasach rozciągających się wzdłuż Warty łągi i olsy to rarytas z górnej półki. Relikt z dość odległej – biorąc pod uwagę żywotność drzew – przeszłości. Stanowią one największy i najlepiej zachowany kompleks tego typu lasów nie tylko w Polsce, ale i Europie. To tu rosną liczące ponad 200 lat drzewostany z dębami, wiązami, topolami, jesionami, grabami czy olchami. Część z nich, jak wiekowe dęby rosnące blisko Małej Staruchy i przeprawy promowej na Warcie, podziwiał w 1899 roku Henryk Sienkiewicz. Dziś to żywe pomniki, noszące ślady destrukcyjnej działalności kozioroga dębosza (więcej o tym chrząszczu w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30).

Rytmy natury

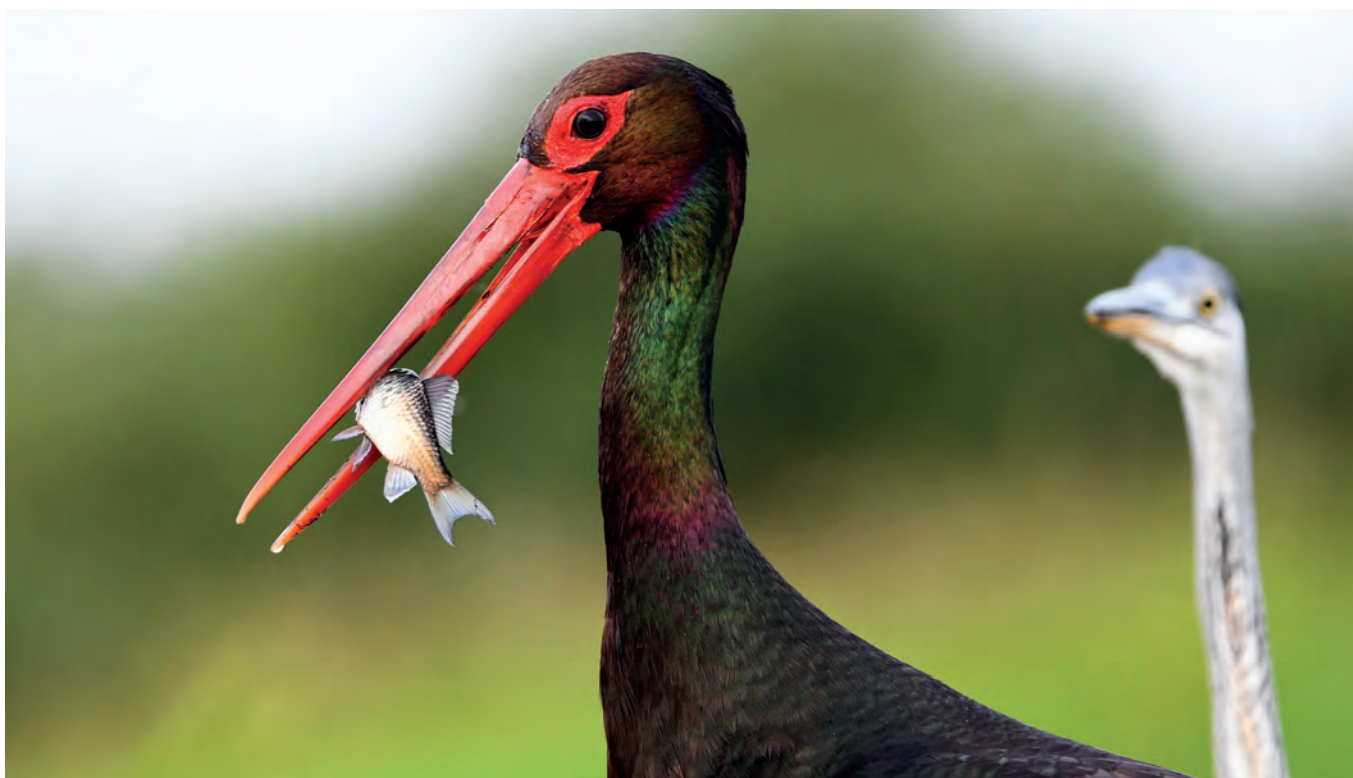
Wędrując wzdłuż wyginającej się w łuk Wielkiej Staruchy, mijamy wysokie topole białe i czarne, wiązy, graby, którym towarzyszy gdzieś klon polny – paklon. Wzrok przyciąga też dostojnie płynąca para łabędzi niemych. Szczególną uwagę przykuwają ślady aktywności bobrów – między innymi wystające z ziemi zaostrome kikuty pozostałe po drobnych drzewkach, które nasuwają skojarzenia ze średniowieczną pułapką na wroga. Jednak naszym największym zainteresowaniem cieszą się ślady bobrzej aktywności na wybranych, wciąż żyjących dorodnych okazach oraz powalone drzewa. Niektóre z miejsc przegryzienia pni wyglądają jak złamane klepsydry. Symboliczne.

Zanurzone częściowo w wodzie, przewrócone kolosy są zapewne czatowniami dla zimorodków, czapli czy kormoranów. Może wygrzewa się na nich czasem zakronec, zwany polską anakondą, który w sytuacji zagrożenia czmycha do wody.

Przyroda w tegorocznej, wolno rozbiegającej się wiosnie dopiero przyobleka zieloną szatę. Szuwary z turzycą brzegową czy błotną, kwitnącym na żółto kosaćcem jeszcze potrzebują kilku tygodni, by pokazać się w całej krasie. Szkoda, że to również nie czas grążeli i grzybieni białych, które subtelnym malarskim akcentem rozkwitną tu w czerwcu. A to tylko ułamek bogactwa i różnorodności roślin naczyniowych. W uroczysku Czeszewo rośnie ich bowiem ponad 600 gatunków.

Ptasi odludek

W głębi starego lasu doskonale musi się czuć jeden z pustelników świata ptaków. W przeciwieństwie do uwielbianego, powszechnie znanego, żyjącego z nami po sąsiedzku bociana białego, jego kuzyn – bocian czarny (*Ciconia nigra*) – trzyma się z dala od siedzib ludzkich i wiecie samotnicze życie w leśnych ostępach. Zakłada solidne gniazdo między innymi na dębach, ale też drzewach iglastych. Jego czarna szata, w świetle pobłyskująca zielono-różowymi refleksami, w zestawie-



Bocian czarny, w tle czapla siwa

niu z czerwonym dziobem i nogami dodaje mu dystynkcji i klasy. Dorosła hajstra (ludowa nazwa tego gatunku) z czarną głową, szyją i grzbietem jest prawie fotograficznym negatywem swojego wiejskiego krewniaka. Schowane w wiekowym lesie starorzecza, jak też stawy, rozlewiska czy jeziora są jej rewirem, gdzie poluje na niewielkie ryby i płazy.



Dzięcioł średni

Jeden z dziesięciu (polskich dzięciołów)

Dzięki idealnemu dla niego siedlisku, jakim w Żerkowsko-Czeszewskim Parku Krajobrazowym są liściaste starodrzewy z dużą liczbą umierających lub martwych drzew, żyje tu największa w Wielkopolsce populacja dzięcioła średniego (*Dendrocoptes medius*). Nie będąc atletą z silnymi mięśniami szyi i twardym dziobem, wybiera na swoje lokum, jak i stołówkę osłabione próchniejące drzewa, bo tylko z nimi jest się w stanie rozprawić, przygotowując „gniazdko” dla rodziny i wybierając z murszejącego drewna jak ze spiżarni chrząszcze, mrówki, larwy, bezkręgowce. W jego menu są także odżywcze nasiona buka, sosny, orzechy laskowe i żołądzie.

Wielka Starucha rzuca czar. Usiądź u jej stóp i wsłuchaj się w jej historię!

Lech, Czech i Rus - o dębach upamiętniających stowiańskich wojów



Podczas każdej wizyty w Rogalinie tutejsze dęby zaskakują odmiennością. Choć są dziełem natury, trudno odmówić im artystycznego wyrazu. W zależności od pory dnia, roku, rodzaju światła – ich *entourage* nasuwa skojarzenia z romantyzmem, symbolizmem, innym razem – impresjonizmem bądź ekspresjonizmem.

Sztuka natury

W opowieści o nich uczestniczą też słońce i księżyc, które wraz z niebem tworzą stale zmieniającą się sceneryę, bo przecież *panta rhei*. W trakcie majowego spaceru wokół rogalińskich dębów urzeka widok gęstniejących pióropu-



Dęby na łęgach nadwarciańskich w Rogalinie



Dęby Lech, Czech i Rus w Rogalinie

szy zielonordzawych koron. Kolor niedługo okrzepnie, wchodząc w tonację głębokiej zieleni.

Ich wynurzające się z mgły, ustępującej po nocy, posągowe zarysy w błękitnej, sinej, pomarańczowej poświacie zdają się pochodzić z innego świata, czasu i miejsca. I tak właśnie jest. Trudno zignorować fakt, że swoimi korzeniami sięgają odległej historii. Stojąc przy nich, można poczuć się przeniesionym w dawne dzieje. Widziane w zimowym całunie późnego poranka i zmierzchu, pozbawione liści, pokazują swą potęgę, przypominając demony albo zaklętych w drzewa ludzi. W obumarłych okazach znać z kolei ekspresję śmierci. Uwagę skupiają ślady zadawanych przez upływający czas ran – złamań, pęknięć... Tak potęgą obraca się w samotność i ruinę.

Trzej bracia

Sercem przypałacowego parku są znane w całej Polsce dęby o imionach legendarnych braci – założycieli trzech słowiańskich państw: Lech (6,33 m obwodu, 20 m wysokości), Czech (7,35 m, 23 m; martwy od 1992 r.) i Rus (9,15 m, 20 m; najgrubszy w tutejszej dąbrowie), a także dąb Edwarda (6,18 m). Dzięki przepro-

wadzonym nie tak dawno badaniom dendrologicznym wiemy, że rogański Rus, którego wiek oszacowano na 800-850 lat, jest najstarszym dębem w Polsce. Zdezonizował więc słynnego Bartka z województwa świętokrzyskiego. Legendarne rodzeństwo rośnie obok okazałego pałacu, który w przeszłości był własnością rodziny Raczyńskich. Jak pisał wybitny malarz Leon Wyczółkowski: „Dęby niesamowite, giganty; śniłem o nich. Jak się zbudziłem, żałowałem, że się zbudziłem. Nie mogłem znaleźć drogi do nich. Potwory z odkosami. Trzy potężne dęby rogańskie. Łąka zasiana białymi anemonami, kręgi pod dębami, które mają żółte liście. Dopiero przy końcu maja zaczynają puszczać. Dęby martwe – listki pokręcone, suche. Mówiłem o tych snach hr. Raczyńskiej”.

Trzy dęby, niewątpliwie najbardziej znane i spektakularne, są jednak promilem w tutejszej rodzinie drzew. W Rogalinie i okolicach rośnie, luźno „rozrzucanych”, 1435 okazów dęba szypułkowego (*Quercus robur*). Wszystkie mają w pierśnicy (na wysokości pnia 1,3 m) obwód przekraczający dwa metry. Wiele z nich jest pomnikami przyrody, co znaczy, że przedstawiają szczególną wartość przyrodniczą, kulturową i historyczną. Są symbolami i ikonami wielkopolskiego krajobrazu.

Co warto podkreślić, dęby rogańskie to największe skupisko starych dębów w Europie. Niektóre są ostańcami pradawnej puszczy, ciągnącej się niegdyś wzdłuż Warty. Starorzeczka i uroczyska lasów łęgowych dodają miejscu dodatkowego kolorytu.

Kto żyje w dębie

W sylwetach Lecha i Rusa, dwóch żyjących braci, uwagę przykuwają monumentalne pnie – pofałdowane, z licznymi spękaniem, wyrzuszeniami, dziuplami, pokryte porostami i mchami. I na nich, i na innych okazach dębów znać ślady wydrążeń, ran zadanych przez szczególnego mieszkańca, który – choć im szkodzi – też jest pod szczególnym nadzorem i ochroną. Kim jest ten rzeźbiarz zostawiający w korze dziesiątki korytarzy nasuwających skojarzenie z reliefami? Kto również rządzi w tym królestwie?

Kozioróg dębosz (*Cerambyx cerdo*), bo o nim mowa, jest dużym, smukłym chrząszczem z typowymi dla rodziny kózkowatych bardzo długimi czułkami. Prawie cały czarny, końcówkę pokryw skrzydłowych ma w subtelnym odcieniu burgundu. Większość swego życia spędza wewnątrz dębu, w którym żywi się najpierw jego korą, potem łykiem, drażąc korytarze i chodniki. I ten właśnie etap w życiu owada przez długi czas był postrzegany jako przyczyna obumie-



Kozioróg dębosz

rania drzew. Pojawiają się jednak głosy, że dęby zaczynają marnieć wskutek obniżania się poziomu wód gruntowych. I wtedy to osłabione egzemplarze są zasiedlane przez tego chrząszcza. Ogromne larwy, o długości nawet dziesięciu centymetrów, rozwijają się od trzech do pięciu lat, zaś krótszy o połowę dorosły owad żyje tylko kilka miesięcy – do początku jesieni. W ostatnim roku rozwoju larwa przemieszcza się w stronę powierzchni dębu, gdzie buduje kolebkę poczwarkową i w niej się przeobraża. Kozioroga dębosza można zobaczyć w dorosłej postaci od przełomu maja i czerwca, kiedy wychodzi z drzewa po przepoczwarczeniu, by przystąpić do rójki. W jej rytuał wpisują się walki samców i noszenie samca przez samicę. Po kopulacji jaja są składane w spękaniach kory. I kolejne pokolenie zaczyna samodzielne życie.

Opuszczając rogalińską posiadłość, podchodzimy do rosnącego przy bramie pałacowej trzyletniego Ruska, będącego klonem Rusa. Stare symbolicznie przekazuje pałeczkę młodemu. Jaka z nim będzie się wiązać historia? Czy za 800 lat ktoś go będzie podziwiał?

O sośnie - królowej wielkopolskich lasów



Gdy w niedzielny poranek przemierzam Puszcę Notecką, wypatrując jej je-siennych darów w postaci grzybów, oddaję się idyllicznej atmosferze miej-sca. Bo zieloność powinna trwać w nieskończoność. To najlepsze lekarstwo na tak powszechny dziś zespół deficytu natury.

Feniks z popiołu

A gdy później oglądam archiwalne zdjęcia z lat 20. XX wieku, pokazujące Puszcę po gradacji strzygoni choinówki, w głowie kołacze się wymowne porównanie: plaga egipska. Aż trudno uwierzyć, że szum spadającego kału żerujących gąsienic przypominał deszcz, a „drzewa pozbawione igieł przybrały wygląd szarych patyków”. Najgorsze było jednak to, że choć ze szkodnikiem podjęto walkę, efekty były niedostrzegalne. Strzygonia choinówka, która w tym okresie rozprze-strzeniła się na obszarze całej Rzeczypospolitej, w ciągu trzech lat powaliła około 220 tysięcy hektarów drzewostanów sosnowych, z czego w Puszczy Noteckiej – 70 tysięcy hektarów. W konsekwencji krajobraz zmienił się tu radykalnie.

Opór zalewającej puszcze fali zagłady dała sama przyroda. Drzewa ocalały tam, gdzie znajdowały się gęsto skupione mrowiska. Takim miejscem był teren położony na wschodniej krawędzi rynny polodowcowej Jeziora Mniszego. Założony tu rezerwat Cegliniec dziś jest żywym pomnikiem – symbolem wydarzeń z przeszłości. To niejako ocalała wyspa z ogromnymi sosnami w wieku około 160 lat, o wysokości dochodzącej nawet do 27 metrów. Odbijające od stromej skarpy proste kolumnowe pnie są zwieńczone rozwichrzonymi – co typowe dla tego gatunku – koronami. Ich ekspresja staje się wręcz demoniczna. Sosnom towarzyszą – niczym giermkowie – między innymi brzozy i dęby.

Jej wysokość sosna

Dzisiejsza Puszcza Notecka jest drugim pod względem wielkości (po Borach Dolnośląskich) kompleksem leśnym w Polsce i zajmuje powierzchnię 137 tysięcy hektarów. Porastając obszar w międzyrzeczu Warty i Noteci, rozciąga się od

Obornik i Rogoźna po Santok i Skwierzynę, znajdujące się już w województwie lubuskim. Na jej mało żyznych glebach rosną przede wszystkim 70-letnie bory sosnowe, urozmaicane brzozą, topolą, osiką czy dębem.

Można widzieć w lesie sosnowym monotonię i przewidywalność. Warto jednak na ten powtarzalny wzór spojrzeć razem ze słońcem, które potrafi stworzyć osobliwy malarski nastrój. I wówczas urzekną nas zmieniające się z podmuchami wiatru ruchome wzory cieni gałęzi na korze, wiązki światła słonecznego przeciskającego się między pniami czy wydłużające się wieczorem cienie. Kolejną impresją z rozgrzanego lasu sosnowego jest wzbudzający entuzjazm i euforię zapach olejków eterycznych, dzięki którym chce się oddychać głębiej i z uśmiechem.

Korony sosen, łapiąc wiatr jak wielki przestrzenny instrument, zamieniają las w orkiestrę wybrzmiewającą delikatnym szumem, niepokojącym, coraz gwałtowniejszym pulsacyjnym rytmem czy hukiem solidnej wichury.



Na grzyby!



Dzięcioł czarny

Gdzie wióry lecą

Warto przyjrzeć się korze, która nie tylko mieni się wieloma odcieniami brązu, ale także ma ciekawą fakturę tworzoną przez spękania i różnej głębokości bruzdy. A kto jest sprawcą serii otworów głęboko wykutych w pniu? Albo długich nawet na metr kilku- czy kilkunastocentymetrowych rozległych wgłębień? Jego obecność zdradza donośna, niosąca się po lesie długa kanonada (100 uderzeń na minutę), gdy solidnym dziobem, jak dłutem, wbija się w coraz głębsze warstwy drewna. Sygnałem rozpoznawczym są też wysokie, rytmiczne, ostre pokrzykiwania bądź wydawane w locie wibrujące *krii, krii, krii, krii*. I zaskakujący żałobny zaśpiew *kiaaa* – tuż przed oderwaniem się od drzewa. Do jakiego skrzydlatego mieszkańca lasu należy ta zróżnicowana gama odgłosów? Wrażenie wywiera również jego wygląd i zachowanie. Podczas dynamicznych skoków wokół pni drzew przypomina mechanicznego robota na zwiadach... Dzięcioł czarny (*Dryocopus martius*), sprawca zamieszania – największy z rodzimych dzięciołów – na samodzielnie wykuwany przez siebie dom wybiera najczęściej sosny i buki. W kolejnych latach dziuple po nim chętnie zajmują sowy, na przykład włochatki lub puszczyki, gołębie siniaki, a nawet kuny.

W leśnej Formule 1

Bór sosnowy jest także domem sprawnego lotnika – jastrzębia (*Accipiter gentilis*). Ten elegant w stalowoszarym płaszczu, na brzuchu, nogach i pod skrzydłami strojny jest w pióra tworzące wzór gęstej sieci brązowo-białych paseczków. Budowane przy pniu drzewa gniazdo regularnie uzupełnia świeżymi, zielonymi gałązkami. Swój leśny rewir, w którym poluje na mniejsze ptaki czy małe ssaki, jak wiewiórka, rozszerza na łąki i pola. Nazywany również gołębiarzem, zapuszcza się też do wsi, gdzie próbuje polować na hodowlane ptactwo domowe, między innymi kury czy gołębie.

Wycieczki z boru na wieś w celu zdobycia pokarmu urządza sobie niekiedy również krogulec (*Accipiter nisus*), mniejszy kuzyn jastrzębia, będący czasem także jego... ofiarą. To kolejny lotny mistrz sprintów, przystępujący do ataku z ukrycia, z którego patroluje teren. Gdy podczas spaceru w lesie sosnowym natkniemy się na „skubalnię”, czyli miejsce, gdzie drapieżca pozbawia upolowanego ptaka piór, może to być dzieło krogulca.

Las na każdym swoim poziomie snuje opowieść. Wątki toczą się równolegle, krzyżują, odbiegają, zawracają, umierają, rodzą... A wśród nich barwy, dźwięki, faktury, zapachy, smaki. Pełnia. I nieustanna przemiana.



Jastrząb

O wierzbie - szopenowskim symbolu polskości



Gdy wędruję wzdłuż brzegu Warty, przed oczami przewija mi się kalejdoskop portretów. Bohaterami tej galerii są siostry wody – wierzby. Rozłożyste, krągłe, przysadziste, mocne... Nawet niszczone i powalone przez siły przyrody, dominują w nadrzecznym krajobrazie.

Ki diabeł?

Zanurzając się w gęstniejący tunel gałęzi, nagle staję przed zjawiskową, wieloramienną, demoniczną wierzbą – jej pełzające przy ziemi, wyginające się w nieregularne łuki odnogi przypominają niebezpieczne mityczne zwierzę. Jakby czekała, by jedną z macek porwać nieproszonego gościa. Nie może więc dziwić, że w pogańskich czasach drzewo to wiązano z nadprzyrodzonymi mocami natury. Echa tych wierzeń przetrwały w kulturze wiejskiej do naszych czasów.



Wierzby (i nie tylko)

Wydrażone w starych okazach pnie wyglądają jak bramy do innego świata. Wyobraźnia naszych przodków zasiedlała je istotami o ponadludzkich atrybutach. W konsekwencji ludowe wierzenia umieszczały w niedostępnym wierzbowych uroczyskach siły nieczyste. Wielu z nas przypomina sobie choćby diabła Rokitę, który wychodził z wierzby, by na pokuszenie wodzić biednych (w sprowadzaniu na manowce bogatych specjalizował się Boruta). A może znikąd pojawi się nagle Mądra, która moc tego drzewa, zawartą między innymi w znajdującym się w korze kwasie acetylosalicylowym, wykorzysta do obniżenia temperatury czy złagodzenia bólu u chorych? I nie zapomnijmy o (ginącej?) sztuce wikliniarskiej – różnego rodzaju stylowych koszach, pojemnikach, pudełkach, a nawet meblach. Wszak wiklinowe rękodzieło jest jednym z symboli dziedzictwa kulturowego Wielkopolski.

O czym szumią wierzby

W Polsce notujemy około trzydziestu gatunków dziko rosnących wierzb – „czystej krwi”, ale też krzyżówek. Najbardziej znane to, występujące choćby w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym, wierzby biała (*Salix alba*) oraz krucha (*Salix fragilis*). Listki pierwszej z nich, pokryte od spodu srebrnymi włoskami, smagane wiatrem połyskują refleksami, tworząc wokół świetlistą aureolę. Z kolei drugą rozpoznamy po nisko rozgałęziającym się pniu i nieregularnej koronie. Jako dzieci wody z upodobaniem rosną w lasach łęgowych sąsiadujących z rzekami, dzieląc ten rewir między innymi z olszami, dębami czy osikami. Gdy podczas wysokiego stanu wód rzeki rozlewają się na nadrzeczne łęgi, wierzby trwają jak postumenty, bo to ich żywioł. Zjawiskowo wyglądają przeglądające się w wodzie pnie z pióropuszcami koron. Prześwietlone wschodzącym lub zachodzącym słońcem, w pomarańczowo-łososiowej poświacie, przypominają zastygłe klepsydry, w których zatrzymał się czas.

Kajakarze i inni miłośnicy turystyki wodnej, patrząc znad lustra wody w stronę łądu, mierzą się z gęstą ścianą nadrzecznych wiklin, utworzoną przez wierzby purpurową czy wiciową. Niekiedy mogą zobaczyć przymocowane do zwisającej wiotkiej gałęzi potężniejszych drzew gniazdo remiza, które kształtem przypomina bokerską rękawicę.

Aż trudno uwierzyć, że jeszcze nie tak dawno przy licznych wsiach znajdowały się pastwiska ze stadami krów, wypędzanych na swobodny popas w „rytuale” codzienności. Wydawało się, że ten rytm będzie toczył się stale. Dziś największe stojące w szeregu wierzby były 20-30 lat temu kołkami wyznaczającymi granice poszczegól-

nych pastwisk. Rosnąca wznwyż i wszere gęstwina wierzbowych samosiejek twarodo wozowoi żywotności i ekspansywności tego drzewa. Taką ma moc samoodnowy.

Wykorzystują to w praktyce pracownicy Parków, sadząc wierzbowe żywokoły w Moraczewie (Lednicki Park Krajobrazowy) i Bolechowie (otulina Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka). Nowe zadrzewienia – jako kontynuacja tradycyjnego sposobu prowadzenia wierzb głowiastych – staną się siedliskiem chronionych gatunków owadów i ptaków. Będą też pełnić funkcję korytarzy ekologicznych.

Prorokini pójdzka

Widok rosochatych i dziuplastych przydrożnych wierzb wskrzesza marzenie o spotkaniu z jedną z jej mieszkanek – pójdzką (*Athene noctua*). Nawet gdyby wiązało się to z usłyszeniem znienacka przesywającego i przyprawiającego o trwoę odgłosu, tłumaczonego w tradycji ludowej jako „Pójdz, pójdz w dołek pod kościołek”. Żeby jednak oddać sprawiedliwość, warto wspomnieć, że jedno z zawołań tej sowy, odczytywane jako „powij”, miało przepowiadać narodziny dziecka.

Związana z rolniczym krajobrazem pójdzka siada u wylotu dziupli, patrolując najbliższy teren – pod warunkiem, że jest to użytkowane pastwisko czy wykaszana łąka. Tylko na otwartej przestrzeni może bowiem skutecznie polować. I do-



Pójdzki



Para dudków

słownie na piechotę dopadać swe ofiary, którymi oprócz małych ptaków i gryzoni są też chrząszcze, ślimaki, płazy, a nawet dżdżownice. Oby tylko jej lęgu nie wykryła czujna kuna domowa...

Ach, ten czubek!

Niosące się po otoczonym wierzbami pastwisku *upupup* jest dla ptasiarza szczęściem samym w sobie, ale ukoronowaniem przygody będzie widok jednego z piękniejszych i subtelniejszych polskich ptaków. Chciałoby się zobaczyć wystawiony z wierzbowej dziupli zestaw haczykowato zakrzywionych, długich dziobów – czekających na kolejną porcję jedzenia. A potem falisty lot jednego z rodziców przynoszących potomstwu pokarm. Uwagę przykuwa, postawiony niczym wachlarz, płowordzawy czubek z biało-czarnymi końcówkami sterczących piórek, pomarańczowy korpus, skrzydła, na których widać biało-czarne zakrzywiające się pasy. Bo dudek (*Upupa epops*) jest arbitrem elegancji. Wprawdzie świadomość, że w poszukiwaniu pokarmu przeszukuje także krowie placki, ujmuje mu trochę dostojeństwa, ale nie czepiajmy się szczegółów! Swoją drogą, jego dziupla pod względem zapachu może przypominać stajnię Augiasza, bowiem młode w sytuacji zagrożenia nie tylko syczą jak węże i dotkliwie dziobią, ale też w kierunku potencjalnego wroga wystrzykują cuchnącą wydzielinę z gruczołów kuprowych.

Szarpane silnym wiatrem giętke gałęzie wierzby nucą swą pieśń. Jaką treść kryje ona dzisiaj?

O miłości Grafsztynka do Pięknej z Rept



Płatki kwiatów przekwitających jabłoni delikatnie opadają na ziemię. A może by tak położyć się pod jedną, chłonąć widok białoróżowej korony i wsłuchiwać się w brzęk pszczoł? Tym bardziej że z nad pola dobiega perlisty śpiew skowronka i odgłos trznadla, który nestor polskiej ornitologii Jan Sokołowski tłumaczył jako „nie będzie suchej kobyle niiiiic”.

Jabłko dla każdego

Przemierzam Jabłoniowy Szlak, zaczynający się przy Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Chalinie. Widząc sędziwe jabłonie, ale też śliwy i grusze, z sentymentem wspominam strony rodzinne, gdzie na szczęście wciąż rośnie wiele drzew owocowych zasadzonych przed II wojną światową. Moją uwagę przykuwają świadczące o długim życiu spękania, wyrzuszenia, ślady po odciętych konarach, dziuple. Są niczym zmarszczki



Jabłoniowy Szlak w Chalinie



W starych odmianach jabłoni kryje się moc

i bliźny po ranach. Przerzedzone korony, wśród których widać budki lęgowe, także snują pieśń o przemijaniu. Na szlaku rośnie 15 rozpoznanych starych odmian jabłoni, z czego sześć – jak Brünnlerling czy Lance Prince Albert – jest unikatowych, a siedem – jak Graftszynek Prawdziwy oraz Żeleźniak – bardzo rzadkich w skali kraju.

Między starymi okazami jak w wielopokoleniowej rodzinie wznoszą się sadzone w ostatnich latach młode drzewa. Można się im też przyjrzeć na urządzonej w pobliżu OEP ekspozycji starych odmian drzew owocowych, składającej się z kolekcji i szkółki. W pierwszej znajdują się jabłonie zaszczerpione 50 dawnymi odmianami, takimi jak na przykład: Piękna z Rept, Borsdorfer Renette, Malinowa Oberlandzka czy Winter Goldpermane. Z kolei szkółkę stanowią podkładki jabłoni, gruszy i śliwy przeznaczone do szczepienia starych odmian. Uzyskiwanie – dzięki zabiegowi szczepienia – odmian o tej samej puli genowej, jakie ma drzewo „rodzic”, pozwala przetrwać tym ginącym i ocala je od zapomnienia.

Powrót do źródeł

Myśli biegają już do jesieni, bo chciałabym spróbować jabłek tutejszych odmian. Wręcz marzy mi się festyn, na którym królowałyby szarlotki, jabłeczniki, strudle, musy, ocet jabłkowy czy wyciskane na miejscu soki. A przede wszystkim świeżo zerwane jabłka oraz sadzonki lokalnych odmian drzew owocowych.



Młody szczep jabłoni uzyskany w technice szczepienia na tzw. przystawkę boczną

Odtwarzanie śródpolnych zadrzewień, czego podjęto się w okolicach Chalina, wzmacnia lokalne ekosystemy, w których oddzielające poszczególne pola pasy z drzewami, krzewami i roślinnością zielną służą migracji zwierząt oraz są ostoją bioróżnorodności. Jest to także istotny wkład w pielęgnowanie krajobrazu kulturowego.

Chłapowski reformator

Aby w pełni poznać koncepcję śródpolnych zadrzewień i ich wpływ na lokalne środowisko, przenieśmy się do południowej części województwa wielkopolskiego – do Parku Krajobrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego. Jego patron, żyjący w latach 1788-1879 był oficer armii Napoleona Bonaparte, po rezygnacji ze służby wojskowej w 1813 roku wrócił do rodzinnego majątku w Turwi. Niedługo potem wyjechał jednak do Anglii zgłębiać nowoczesne zasady uprawy ziemi oraz hodowli, by przenieść je na grunt lokalny.

Gdy w roku 1819 generał wrócił do podupadłej posiadłości rodowej, za cel obrał sobie wyciągnięcie jej z długów i wprowadzenie reform. Elementami poczynionych przez niego działań były: zastąpienie stosowanej od średniowiecza

trójpolówki płodozmianem, siew roślin motylkowych (np. koniczyny sprowadzonej ze Szkocji) i hodowla nieznanych w Wielkopolsce ras bydła, wprowadzenie nowoczesnych maszyn i narzędzi, w tym orki żelaznym pługiem szkockim czy młockarni, a także stosowanie drenaży z chrustu i kamieni (więcej o Dezyderym Chłapowskim w opowieści „W kojącym cieniu zadrzewień” – s. 152).

Wśród pól

Kluczową zasługą Chłapowskiego jest wprowadzenie zadrzewień śródpolnych. Te żywe parawany mają postać alei drzew wzdłuż dróg, linii – pojedynczych rzędów drzew i krzewów na miedzach, pasów – dwu- lub wielorzędowych zadrzewień, kęp, a nawet samotnie rosnących drzew. Po pierwsze, osłaniają one pola i chronią glebę przed wyjaławiającą ją erozją wietrzną (nawet do 75 proc.) oraz wyleganiem, czyli pokładaniem się zboża pod wpływem silnego wiatru i deszczu, które prowadzi do obniżenia jakości upraw, a tym samym strat finansowych. Po drugie, jako zielone parasole chronią ziemię przed utratą wilgoci, a także spowalniają odpływ wód opadowych (o 25 proc.), co dzisiaj, w dobie ocieplania się klimatu i deficytu wody, przekładającego się na gorsze zbiory, ma ogromne znaczenie. Po trzecie, drzewa w miejscach, gdzie rzucają cień, spowalniają topnienie śniegu i wysychanie gleby. Z kolei wychwytyjąc po deszczach spływające z pól opady zanieczyszczone chemicznymi związkami znajdującymi się w nawozach, chronią lokalne zbiorniki wodne przed zarastaniem brzegów i rozprzestrzenianiem się w nich glonów.

Aż trudno mi uwierzyć, gdy tuż za Turwią, gdzie zwiedziliśmy park przy posiadłości Chłapowskich (obecnie placówka Polskiej Akademii Nauk), w trakcie jazdy rowerem wylapuję z ptasiego wielogłosu śpiew ortolana. Podobno zafascynowany nim Beethoven wykorzystał tę dźwiękową frazę jako inspirację do początku V Symfonii... Przemierzając w to upalne czerwcowe popołudnie ścieżkę dydaktyczną „Drzewa o historii, ptaki o współczesności”, odpoczynek urządzamy sobie przy czereśni gęsto obwieszonej dojrzewającymi owocami. W Wyskoci cieszą nas młode drzewka gruszy i jabłoni, którymi uzupełniono obumierającą aleję grusową (na terenie całego PK im. gen. Dezyderego Chłapowskiego pracownicy Parków posadzili 500 drzew kilku gatunków).

Gdy przejeżdżamy blisko żywych ścian zadrzewień, co chwilę odurza nas kwaskowaty zapach kwiatów czarnego bzu. Najwyższy czas zerwać trochę hyćki. Na upalne dni lemoniada z niej – zbawienna.

Diabet, co w gruszcze mieszkał



W wyblakłej zieleni zmęczonych latem drzew i traw zaczynają się wybijać one: krzewy przydrożne. Bohaterki ludowych legend, pieśni i podań. Dostarczycielki leków do Bożej apteki.

Coś na ząb

„Moje ulubione drzewo – leszczyna, leszczyna / Jak ją za mocno przygiąć w lewo – to w prawo się odgina / A jak za mocno przygiąć ją w prawo – to w lewo bije z wprawą...” – śpiewał przed laty Wojciech Młynarski, wywołując nutę nostalgii. A radość (o ile nie jest się alergikiem) budzi wiosenny jej obraz, gdy okrywa się tysiącami kwiatów – bazi przypominających żółte, zwisające gąsienice. Kochająca światło leszczyna pospolita (*Corylus avellana*) to porastający brzegi lasów i śródpolne miedze krzew, roślina o niebywalej sile regeneracji, o czym przekonał się zapewne niejeden działkowicz, który próbował się jej pozbyć. Nie z nią te numery! Ale jak tu nie mieć do niej słabości – podzielanej razem z orzesznicami, dzięciołami, sójkami, wiewiórkami i, niestety, szkodnikiem słonikiem orzechowcem – skoro obdarza nas orzechami. Te pyszne owoce są



Orzesznica leszczynowa

prawdziwymi magazynami energii i niezbędnych do dobrego funkcjonowania organizmu makro- i mikroelementów. Jak wyobrazić sobie bez nich świąteczny piernik?

Przywołana orzesznica (*Muscardinus avellanarius*) w Wielkopolsce żyje wyłącznie na terenie Parku Krajobrazowego Promno – głównie w jego leszczynowych zagajnikach. Ten żółtaworudy gryzoń z białą plamą na podgardlu i białym brzuszkiem jest amatorem – zgodnie z nazwą – orzechów laskowych, ale też bukwi czy żołądzi. Kuliste, zbudowane z traw i liści gniazdo letnie zakłada nisko (na wysokości od pół metra do metra) nie tylko na leszczynach, ale też na młodych, zgryzanych przez jelenie i sarny bukach, w płataninie jeżyn oraz w dziuplach. Aby wspomóc rozród orzesznicy, w zaroślach leszczynowych PK Promno pracownicy Parków zamontowali skrzynki lęgowe, które są imitacjami dziupli. Podobnie jak występująca na tym terenie popielica, również orzesznica przesypia dzień, by w nocy buszować po swoich włościach. Szykując się do snu zimowego, który trwa od października do kwietnia, pod korzeniami drzew i w norach zakłada gniazdo zimowe.

Czarne perły

Smak końca lata kryje w sobie także jeżyna. Koniecznie jednak ta dzika (fałdowana – *Rubus plicatus*). Jej długie i mocno najeżone kolcami, wygięte w łuki pędy, niczym zasięki, zawłaszczają przydroża, miedze, śródleśne polany czy zręby lasów. Doznania smakowe wiążące się z jedzeniem czarnych, lśniących, nasyconych słońcem dojrzałych owoców trudno wyrazić innym określeniem niż „chwilo, trwaj!”. Jeżyna to także prawdziwa skarbnica prozdrowotnych związków, takich jak przeciwutleniające, witaminy, kwasy organiczne czy związki mineralne. Wyciągi z liści mają swoje miejsce w terapiach naturalnych – są wykorzystywane jako środek przeciwzapalny, przeciwbakteryjny czy pomocny w zwalczaniu biegunek. Warto więc ten leśny owoc zatrzymać na trochę dłużej. I, zrywając go, dać się pokłuć czy podrapać kolcami – zrobione z niego soki, galaretki czy dżemy są naprawdę godne tego poświęcenia. O dziwo, mimo swego piękna i mocy, jeżyna nie cieszy się takim powodzeniem – jako obiekt poetyckich opisów – jak malina. Kto napisze odę do jeżyny?

Diabli nadali!

Sąsiadem kolczastej jeżyny w śródpolnych zadrzewieniach jest, równie dotkliwie kłujący, głóg (jednoszyjkowy – *Crataegus monogyna*, dwuszyjkowy – *Crataegus laevigata*). Na wiosnę obsypany białym kwieciami, jesienią – obwieszony tysiącami



Jarzębina zwyczajna

drobnych bordowych owoców. I to jakich! W przeszłości żywili się nimi mieszkańcy wsi. Jeśli wziąć pod uwagę, że miąższ już i tak małego owocu głogu jest niewielki (dominuje pestka), a gałązki są uzbrojone w kolce – zbiór był dużym wyzwaniem. Nie powinno więc dziwić, że w ludowym nazewnictwie określano głóg – za sprawą licznych skaleczeń podczas zbioru – diabligruszką (lub jeszcze dosadniej: kolidupą!). Dziś chyba tylko koneserzy rodzimych naturalnych smaków i pasjonaci samodzielnie przygotowywanych przetworów decydują się z nim zmierzyć, by przygotować z owoców sok, nalewkę, dżem albo ususzyć je do herbaty owocowej. Z kolei kwiaty głogu „uśmiechają się” do sercowców, gdyż korzystnie wpływają na pracę narządu.

Ochronne walory kolczastych gałęzi tego krzewu doceniają drobne ptaki, które w kłującej gęstwinie zakładają gniazda lub – jak wróble – lubią w nich przesiadywać. Z kolców robi też użytek gąsiorek, nadziewający na nie swoje ofiary, by skruszały... Zimą owoce bulimączki (inna ludowa nazwa głogu) z upodobaniem zajadają kosy, jemiołuszki, gile czy kwiczoły.

Nie tylko ozdoba

Sznur jarzębinowych koralików to częsty motyw ludowych pieśni, opowiadań, wierszy. Nie dziwota – uroda pomarańczowoczerwonych owoców przyciąga wzrok. Wiele mocy kryją też one wewnątrz. Swoją piękną kolor zawdzięczają karotenowi, którego zawierają dwa razy więcej niż marchew. Do tego trzeba dodać arsenał witamin: C, E, P, K, PP, garbniki, sorbozę i pektyny. Jarzębina wykazuje działanie przeciwzapalne, moczopędne, wspiera organizm w walce z przeziębieniami i gripą, wzmac-



Rokitnik zwyczajny – moc witamin

nia pracę serca i naczynia krwionośne, reguluje przemianę materii. Z jej walorów odżywczych korzystają naturalnie ptaki, takie jak drozdy, kosy i jemiołuszki. Twarde i jednocześnie elastyczne drewno jarzębinowe doceniano w stolarstwie i tokarstwie. Wyrabiano z niego fujarki, flety, laski spacerowe czy klepki do beczek.

Piękny i jednocześnie bestia

Dzikie krzewy skrywają nie tylko życiodajne siły. Warto znać również te, w których czai się niebezpieczeństwo.

W lutym, po kilkumiesięcznej kolorystycznej epoce szarości i brązu, która w przyrodzie tak naprawdę ma wiele odcieni, nadchodzi tęsknota do rzucających się w oczy barwnych akcentów. W podmokłych częściach lasów liściastych i ich półcienistych stanowiskach taką niespodziankę szykują krzewy wawrzynka wilczelyko (*Daphne mezereum*). Ten znajdujący się pod ścisłą ochroną gatunek w Wielkopolsce można podziwiać między innymi w PK Promno. Jego drobne, intensywnie pachnące różowe kwiaty, osadzone na gałęziach dorastających do metra, są źródłem pierwszego pokarmu dla pszczoł i motyli.

Ta delikatna z wyglądu roślina kryje w sobie zabójczą moc. Zjedzenie jednego, dwóch owoców przez dziecko, a przez dorosłego około dziesięciu prowadzi do śmierci. Trująca dla człowieka jest zresztą cała roślina. Odporne na znajdujące się w czerwonych owocach toksyczne związki są niektóre gatunki ptaków, które, wydalając pestki, przyczyniają się rozsiewania wawrzynka.

Nie zapominajmy też o dzikim bzie, kalinie, tarninie, dereniu, rokitniku czy kruszynie... Scena bohaterów planu środkowego natury jest przebogata!

Rozdział II



Łąki – ginące królestwo Wielkopolski



Łąki kwiatami ustane



Na łąkę wybierz się skoro świt – w maju i czerwcu to już czwarta nad ranem. Złota godzina wynagrodzi ewentualny trud pobudki. Wejdz w poranną łąkę oplecioną pajęczynami z nanizanymi nań kroplami rosy! Tylko uważnie patrz przed siebie i pod nogi, by nie przegapić i nie podeptać wśród traw prawdziwych perełek królestwa roślin!

Po prostu bądź w centrum tego świata! Chłoń łąkę od ogółu do szczegółu!

Ofensywa rózu

Idąc wśród traw mierzwionych porywami wiatru, wyłapujemy kolorowe kwiatne plamy, wstęgi, melanże. To między innymi wybijające się w jeszcze świeżej zieleni fioletowe plamki dzwonek rozpięchłych, prawie niewidoczne niezapominajki, blade fiołki mokradłowe czy zajmujące przestrzeń łąki po widnokrąg wszechobecne jaskry.



Łąka z firletką poszarpaną



Storczyk kukulka plamista

Jeśli kwitnie masowo, jej stanowiska, które możemy podziwiać między innymi w Nadwarciańskim czy Miedzichowskim Parku Krajobrazowym, wyglądają z daleka jak różowe łany lub rzeki. Tymczasem firletka poszarpana (*Lychnis flos-cuculi*) to zwiewny, eteryczny kwiat – oglądana z bliska zdumiewa swą delikatnością i subtelnością. Wręcz sprawia wrażenie, jakby za chwilę miała zemdleć. I faktycznie ginie. Jako roślina potrzebująca wilgotnych i jednocześnie dobrze oświetlonych stanowisk, łąk koszonych dwukrotnie (na początku i pod koniec lata) lub wypasanych – traci w dzisiejszych realiach klimatycznych i przez nowoczesne zabiegi agrotechniczne dogodne dla siebie warunki. Jej nazwa gatunkowa *flos-cuculi* pochodzi od łacińskich słów *flos* (kwiat) i *cuculus* oznaczającego kukułkę, zakwita bowiem w okresie szczególnej aktywności tych specyficznych pod względem zachowania ptaków.

Kolorowe akordy

A teraz wejdźmy w krąg innych kwiatnych kukułek (dzikich storczyków) i zostańmy z nimi na dłużej. Najlepiej wybierając się na Łąki Pyzdrskie w Nadwarciańskim PK, gdzie rosną między innymi odmiany: plamista (*Dactylorhiza maculata*),

szerokolistna (*Dactylorhiza majalis*) czy krwista (*Dactylorhiza incarnata*) – wszystkie w odcieniu głębokiego różu. W wiejskim pejzażu te dostojne arystokratki wyglądają jak z innego świata. Niestety, ginącego...

My mamy szczególne szczęście do kukulek plamistej i szerokolistnej. Krążymy, przeczesując łąkę, w poszukiwaniu kilku innych gatunków – każde kucnięcie obok kolejnego amarantowego kwiatostanu budzi nadzieję. Szczególnie zależy nam na odnalezieniu storczyka błotnego (*Orchis palustris*), tu znajduje się bowiem jedyne stanowisko tej rośliny w Wielkopolsce. I... marzenia się spełniają! Szkoda, że nie możemy wytropić kruszczyka błotnego (*Epipactis palustris*), choć dobrze wiemy, że powinien tu rosnąć (w badaniach przeprowadzonych w latach 2004-2010 w Nadwarciańskim PK odnotowano dziewięć gatunków storczykowa-



Świbka morska

tych). Najprawdopodobniej czas jego kwitnienia dopiero nadejdzie. Pasjonatom rodzimych storczyków podpowiadamy, że w naszym regionie możemy próbować je odnaleźć także w Puszczy Zielonce oraz na terenie Doliny Kamionki czy Lednickiego Parku Krajobrazowego. W tym drugim rosną: okazały buławnik czerwony (*Cephalanthera rubra*), podkolan biały (*Plathantera bifolia*) oraz listera jajowata (*Listera ovata*), a w ostatnim z przywołanych – między innymi wspomniany już kruszczyk błotny.

W gabinecie osobliwości natury

Podczas wypatrywania storczyków na Łąkach Pyzdrowskich naszą uwagę zwraca też świbka morska, reprezentująca śródlądowe słonorośla, które w Nadwarciańskim PK tworzą również jarnik solankowy, mlecznik nadmorski i oczeret Tabernemontana. Florę tego Parku stanowi niemal tysiąc gatunków, spośród których około dziesięciu procent to rośliny rzadkie i ginące. Należą do nich także goździk pyszny, kosaciec syberyjski, goryczka wąskolistna oraz skrzyp olbrzymi.

Zupełnie innym rodzajem kwiatów zachwyca, także objęty ochroną gatunkową, pełnik europejski (*Trollius europaeus*) – wyglądający jak żółte piłeczki. Zapyłające go owady muszą włożyć trochę trudu, by przez dachówkowato nachodzące na siebie płatki przedostać się do środka. W Wielkopolsce można go poszukać w Puszczy Zielonce (koło leśniczówki Annowo) i w Parku Krajobrazowym Dolina Kamionki. Zachowanie stanowisk pełnika wymaga wsparcia w postaci regularnego wykaszania albo wypasu, dzięki którym nie jest on zagłuszany przez bardziej konkurencyjne gatunki.

Śpieszmy się podziwiać łąki...

...tak szybko znikają – chciałoby się sparafrazować poetę. Jeszcze 30-40 lat temu były powszechnym elementem wiejskiego krajobrazu, a w konsekwencji zmian w rolnictwie, takich jak choćby likwidowanie pastwisk, osuszanie, intensywna eksploatacja, dziś są coraz rzadsze.

Gdy w dolinie Warty zagłębiamy się w łąkę, towarzyszy nam rozproszony chór strumieniówek. Ptasi śpiew wybija się co chwile z innego miejsca. Jest jak fala energii – pulsująca zdrowym, naturalnym rytmem.

Przywołajcie w pamięci obraz gigantycznej monokultury sięgającej po sam horyzont! I przypomnijcie sobie mozaikę składającą się z pól uprawnych, łąk, pasów krzewów i drzew, oczek wodnych! Przy której z nich tętni życie?

Przeplatka aurinia – ginący symbol wielkopolskich łąk



Niewielki, ruchliwy, w drobną beżowo-czarną kratkę. Lecąc blisko nas, niejako droczy się z nami. Co kilka metrów przysiada na polnej drodze. Jednak gdy zbliżamy się, by mu się przyjrzeć, zrywa się i odlatuje. W końcu dostępujemy zaszczytu dłuższej adoracji. Nie mam pewności, ale ten niepozorny motyl chyba jest przeplatką. Tylko którą? Zabraný w teren atlas motyli rozwiewa wątpliwośći.

Motyl jak witrażyk

Jeśli wziąć pod uwagę nieobliczalność przyrody, cieszymy się, że w tym czerwcowym dniu symbolicznym zamknięciem eksploracji pierwszej z nadwarciańskich łąk – w pobliżu Szwedzkiego Okopu na południe od Pyzdr – jest zobaczenie przeplatki cinksi (*Melitaea cinxia*). Istnienie niektórych motyli ściśle wiąże się z wybranymi gatunkami roślin – larwa przywołanej przeplatki tworzy zgrany tandem z babką lancetowatą, której liście są jej podstawowym pożywieniem.

Wśród ponadpółmetrowych kwitnących traw dostrzegam kołyszące się od podmuchów wiatru fioletowe kwiaty czarcikęsa łąkowego (*Succisa pratensis*). Ta charakterystyczna dla Nadwarciańskiego Parku Krajobrazowego roślina jest z kolei niezbędna do rozwoju i przepoczwarczenia się gąsienic przeplatki aurinii (*Euphydryas aurinia*) – rzadkiego i ginącego motyla. Mnie kojarzy się on z misternym witrażykiem, w którym sieć czarnych linii rozdziela „szkiełka” w różnych odcieniach pomarańczowego i beżu. Na wielkopolskich łąkach gatunek ten można zobaczyć niestety już tylko tu.

Gdy po powrocie do domu oglądam otrzymany w Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Łądzie folder „Puszcza Pyzdrska – motywy zdobnicze”, wzruszają mnie zdjęcia serwet z haftami przedstawiającymi przeplatkę aurinię. Twórczość ludowa zawsze spletała się z lokalną przyrodą. Dziś w okolicach Pyzdr uwagę zwracają też oryginalne przystanki autobusowe. Są na przykład zbudowane z występującej tu rudy darniowej i ozdobione delikatnymi kwiatnymi szlaczkami albo wymalowane w ogromne motyle i kwiaty rosnące w tej części Wielkopolski.



Paź żęglarz

Równia pochyła...

Podczas dzisiejszej nadwarciańskiej włóczęgi mamy przelotne – nomen omen – spotkanie z dwoma czerwończykami: żarkiem i uroczkiem. Blisko przemknę też błękitna plamka któregoś z modraszków. Od kilku lat te subtelne motylki kojarzą mi się z Cecylią Malik, performerką z Krakowa, która zainicjowała obronę terenów zielonych dzielnicy Zakrzówek przed zabudową właśnie ze względu na występowanie tam coraz radszych modraszków. Może nauczę się rozpoznawać z tej rodziny ikara, dafnida, semiargusa, srebrnoplamka, wieszczka czy ariona...

Przyznaję, że wcześniej nie przykuwały zbyt mojej uwagi, być może za sprawą swego niepozornego wyglądu. A dziś przekonuję się, że tak przyjemna nauka rozpoznawania gatunków motyli w terenie może stać się niedługo nieosiągalna. Wskutek degradacji środowiska, która na terenach wiejskich jest konsekwencją między innymi zmiany modelu rolnictwa, niewykluczone jest, że także część owadów będziemy oglądać wyłącznie na zdjęciach w książkach przyrodniczych.

Motyle potrzebują łąk bogatych w różne gatunki roślin – łąk, które niszczy-
my zbyt intensywną, przyczyniającą się do ubożenia ekosystemu eksploatacją
albo zaprzestaniem użytkowania, co prowadzi do zarastania terenu krzewami
i drzewami. Poza tym przemysłowa uprawa wiąże się z wymieraniem w danych
siedliskach roślin kwitnących, intensywnym nawożeniem traw i koszeniem ich
przed połową czerwca, gdy wiele motyli jest w stadium larwy. Tak wczesny pokos
jest zatem równoznaczny z hekatombą licznych gatunków. Siedliska niszczą mo-
tylom także sprowadzone przez nas gatunki inwazyjne, takie jak nawłóć kanadyj-
ska, która rozsiewając się, zajmuje miejsce niegdyś wielogatunkowych łąk. Mówi-
ąc dziś o wielkim wymieraniu gatunków, nie możemy zapomnieć o owadach.

Rozglądaj się wokół!

Widok żwawej sylwetki listkowca cytrynka, wybijającego się w marcu jaskrawym
kolorem na tle brązowych, bezlistnych drzew w lesie, daje nadzieję na rychłe
nadejście wiosny. Podczas spacerów o tej porze roku w pobliżu strumyków i pod-



Czerwończyk dukacik

mokłych łąk możemy też liczyć na spotkanie z biało-pomarańczowym zorzynkiem rzeżuchowcem, którego gąsienice rozwijają się – jakżeby inaczej – na rzeżusze łąkowej albo czosnaczkę.

Kto pamięta masową migrację rusałek osetników w maju 2019 roku? Nawet w środku Poznania, na skrawku trawnika przy bloku, można było zobaczyć codziennie po kilkanaście sztuk. Ten mały wielki długodystansowy wędrowiec corocznie przylatuje do Europy z Afryki. A wygląda tak niepozornie. A jakie tajemnice skrywają inne motyle z rodziny rusałek – na przykład admirał, wierzbowiec, żałobnik czy ceik? Na szczęście – mimo że jest ich coraz mniej – spotykamy je w naszych ogrodach lub na miejskich niekoszonych terenach zielonych, gdzie rosną między innymi żmijowce, komonice, ślasy, ciociorki, koniczyny czy wyki. Czasem można zobaczyć żerujące na pokrzywach armie czarnych larw pawików czy pokrzywników, zostawiające po sobie wyłącznie ogołoczone łodygi. Czy wśród czytających te słowa są też szczęściarze, którzy mieli szansę spotkać się z największymi polskimi motylami – paziem królowej i paziem żeglarzem?

Znakomitą okazją do uważniejszego przyjrzenia się motydom jest Tydzień Liczenia Motyli. Na karcie obserwacji (do pobrania z www.zpkww.pl) zaznaczamy widziane na spacerze gatunki.

W Polsce żyje około 3200 gatunków motyli, z czego tylko około 160 to gatunki dzienne. Spotkania z ćmami też mogą przysparzać nie lada emocji, na przykład gdy jest to któraś z zawisakowatych. Przez kilka lat z rzędu oglądałam wieczorami przylatujące do ogrodu zawisaki tawulce, które niczym kolibry zawisały przed kwiatami ozdobnego tytoniu, by spijać nektar z kielichów za pomocą długiej ssawki. Niektóre zawisaki są też aktywne za dnia, jak choćby, często mylony z kolibrem (którego można jednak spotkać po drugiej stronie Atlantyku!), fruczak gołąbek.

Niestety, wśród motyli występujących w Polsce nie brakuje gatunków inwazyjnych, jak szrotówek kasztanowcowiaczek czy ćma bukszpanowa. Ich pojawienie się w naszym kraju jest jedną z konsekwencji zmian środowiskowych i klimatycznych. Niewątpliwie zmniejszanie się populacji motyli nie rzuca się tak w oczy jak ginięcie nosorożców czy wielorybów. W przyrodzie jednak każdy element systemu jest ważny. Ma wpływ na inne. Motyle mają rolę szczególną – są gatunkami wskaźnikowymi. Ze względu na swoją wrażliwość na zmiany znikają ze środowiska pierwsze.

Łąki trzęślicowe - wspomnienie uroczysk i mokradł



Pierwsze kroki po pulsujących poduszkach mokradła, na wyznaczonym szlaku i pod egidą przewodnika, wywołują ekscytację i śmiech. Trasa, na której woda o tej porze roku sięga zwykle do kostek, pokazuje nieznane wcześniej oblicze. Ekscytacja utrzymuje się do końca wycieczki. Tyle że miejsce śmiechu zastępuje narastające zdziwienie i skupienie, bo każdy kolejny krok trzeba przemyśleć. Gruntownie przemoczone buty następnego dnia nie nadają się do użytku, spodnie – oblepione błotem do wysokości połowy uda – także. Czymże to jest jednak wobec wspomnień? Bezcennych.

Cud natury: bagno

Wprawdzie opisana niezapomniana przygoda przytrafiła mi się na mokradłach we wschodniej części Polski, i to pod opieką przewodnika (swoją drogą, zszokowanego stanem wody na znakowanym szlaku turystycznym), dała jednak wyobrażenie, jak bagno... wciaga. Dosłownie, tym razem nie metaforycznie.

W czym zatem tkwi fenomen i siła bagien oraz torfowisk? Po pierwsze – jak olbrzymia gąbka zasysają i utrzymują wody gruntowe i powierzchniowe, przeciwdziałając tym samym powodziom. Po drugie – jako wielki filtr, pochłaniający między innymi substancje toksyczne pochodzące z upraw i inne zanieczyszczenia środowiskowe, oczyszczają wodę przenikającą do warstw wodonośnych. Po trzecie – bagienne rośliny chłoną dwutlenek węgla, co ma korzystny wpływ na jakość powietrza atmosferycznego. Po czwarte – to przebogaty ekosystem z wieloma rzadkimi i ginącymi gatunkami roślin. Po piąte – obniżają temperaturę w najbliższym otoczeniu. Po szóste..., po siódme...

Subtelny zabójca

W dobie ocieplania się klimatu i rosnącej fali wymierania gatunków o życiodajne obszary, jakimi są mokradła, powinniśmy dbać szczególnie. W Wielkopolsce ochroną pod postacią rezerwatu (założonego w 1959 r.) objęte jest między innymi Torfowisko nad Jeziorem Świętym w Przemęckim Parku Krajobrazowym.



Łąka wzywa. Nie czekaj!

Inny rezerwat tego typu – Mszar nad Jeziorem Mnich (utworzony w 1967 r.) w Sierakowskim Parku Krajobrazowym – chroni z kolei torfowisko przejściowe wokół ramienicowego jeziora Mnich Mały. W tym drugim rośnie między innymi 30 gatunków mchów, częściowo reliktywów glacialnych, oraz 178 gatunków roślin naczyniowych.

Na bagiennym planie aktorką charakterystyczną jest niewątpliwie rosziczka okrągłolistna (*Drosera rotundifolia*), zwana rosą słoneczną. Wydzielana przez nią lepka substancja, w postaci świetlistych kropelek, wabi głównie owady, które nieświadome niebezpieczeństwa lgną... do śmierci. Zbiorowym bohaterem jest z kolei wełnianka pochwowata (*Eriophorum vaginatum*). Jej łany po przekwitnięciu przypominają pole dmuchawców albo rozsypane na sitowiu kłębki bawełny. Urokliwy jest także bobrek trójlistkowy (*Menyanthes trifoliata*), którego białe kwiaty w postaci gwiazd są przystrojone – jak woalką – licznymi włoskami.

Nie ma próżni

Przyroda to łańcuch reakcji. Każda zmiana pociąga za sobą i napędza kolejne. Natura niczym wielki architekt stopniowo dokłada lub odejmuje symboliczne cegielki – narusza fundamenty, przestawia ściany nośne, zmienia konstrukcje dachów. Część z nich to zmiany będące efektem naturalnych procesów, inne – reakcją na działania człowieka. Wszak żyjemy w antropocenie... I to już nie brzmi dumnie.

Metamorfoza dokonuje się także na bagnach, w których szybciej lub wolniej, co głównie zależy od rozmiaru naszej ingerencji, dokonują się procesy sukcesji i ewolucyjnego przeobrażenia. Wskutek obniżania się poziomu wód gruntowych (też maczaliśmy w tym palce!), a latem zwykle podsuszenia terenu, mokradła zmieniają się i stopniowo przekształcają w zmiennowilgotne łąki trzęślicowe, niezwykle bogate florystycznie. Swoją nazwę zawdzięczają charakterystycznej dla tego siedliska roślinie – trzęślicy modrej. Ech, gdyby degradacja bagien zawsze się tak kończyła! Tymczasem łąki trzęślicowe same są zagrożone – dalszym spadkiem poziomu wód gruntowych, zaorywaniem, ale i porzucaniem użytkowania, bowiem coroczne koszenie ratuje je przed zarastaniem krzewami.

Jak jin-jang

W podłożu łąki trzęślicowej powstającej na torfowisku niskim wody gruntowe umiejscowione są płytko. Konsekwencją takiej struktury jest wiosenne jej zalewanie (oczywiście uzależnione od wielkości opadów) i pojawienie się gatunków, które w wilgotnym środowisku czują się jak w raju.



Rosiczka okrągłolistna



Wełnianka pochwowata

Gdy na przełomie wiosny i lata poziom wody opada, obok gatunków mokradłowych wyrastają te o mniejszym zapotrzebowaniu na wodę. To jak *jin-jang*, cykliczność, dopełnienie. W okresie wilgotniejszym na łąkach trzęślicowych zachwycają między innymi: kosaciec syberyjski (*Iris sibirica*), mieczyk dachówkowaty (*Gladiolus imbricatus*), goździk pyszny (*Dianthus superbus*), goryczka wąskolistna (*Gentiana pneumonanthe*) czy storczyki (więcej o nich w opowieści „Łąki kwiatami usłane” – s. 52), objęte w Polsce ochroną gatunkową. Wszystkie o arystokratycznym i artystycznym wyglądzie – w duchu secesji. Kępy trzęślic na przełomie wiosny i lata urzekają odcieniami fioletu, a gdy kanikuła dobiega końca – podobnie jak inne trawy – płowiejącymi brązami i beżami. Inni łąkowi bohaterowie, na których warto zwrócić uwagę, to: przytulia północna (*Galium boreale*), czarcikęs łąkowy (*Succisa pratensis*), chaber łąkowy (*Centaurea jacea*), dzwonek rozpierschły (*Campanula patula*) czy olszewnik kminkolistny (*Selinum carvifolia*).

Utrzymaniu charakteru łąk trzęślicowych sprzyja koszenie ich raz w roku – dopiero jesienią. Dzięki temu rośliny kwitnące późnym latem mogą objawić swą moc. Korzystają na tym różne gatunki ptaków i owadów, na przykład pszczoły. Kto już próbował miodu łąkowo-bagiennego?

Podwodne królestwo łąk ramienicowych



Na widok szmaragdowej barwy wody aż chciałoby się zanurzyć w jej toń – przejrzystą i czystą.

W zielonej głębi

Falują w niej skłębione i gęste sznury ramienic (*Charophyta*), wyglądające jak podwodne skrzypy (*Equisetum sub aqua repens* – tej nazwy używano w przeszłości). To łany łąk ramienicowych – charakterystyczny element jezior ramienicowych. Te naturalne zbiorniki wypełniają wody oligotroficzne (wskutek niedoboru substancji organicznych mało żyzne) i mezotroficzne (średnio żyzne). Cechują się umiarkowaną albo wysoką zawartością jonów wapnia, odpowiedzialnych za twardość wody. Walo-rem tego typu akwenów jest intensywne natlenienie – także w głębokich partiach. Dzięki temu nie dochodzi w nich do przyduszy prowadzącej do wymierania zwierząt wodnych, między innymi ryb. Rzadkie są również zakwity fitoplanktonu.

Swój szmaragdowy odcień jeziora ramienicowe zawdzięczają krystalicznej wodzie, w której niebieska barwa światła odbija się od jasnych, kredowych osadów i powierzchni łąk podwodnych. Urodę ramienic w pełni docenią amatorzy nurkowania. Ale można je też podziwiać znad tafli jeziora.

W ramionach ramienic

Jezioro Powidzkie znajdujące się w Powidzkim Parku Krajobrazowym, największe w województwie wielkopolskim (około 1000 hektarów lustra wody), jest też jednym z najlepiej zachowanych wielkopowierzchniowych polskich jezior mezotroficznych. Na całym obszarze Natura 2000 „Pojezierze Gnieźnieńskie”, który stanowi ponad połowę Powidzkiego PK, jeziora ramienicowe zajmują łącznie przeszło 2700 hektarów.

Badania prowadzone przez naukowców z Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu w ostatnich kilkunastu latach potwierdziły występowanie w akwenach Powidzkiego PK 16 gatunków ramienic, w tym dziesięciu zagrożonych wyginięciem w naszym kraju. Niestety, jesteśmy świadkami i jednocześnie



Staw z łąką ramienicową

sprawcami pogarszania się warunków środowiskowych tych roślin. W Jeziorze Powidzkim w latach 2002-2003 rosły one na głębokości dziesięciu metrów, w latach 2017-2018 – już sześciu (pojedyncze na siedmiu metrach). Świadczy to o spadku przezroczystości wody – dla ramienic w głębszych partiach jeziora robi się po prostu za ciemno, aby skutecznie prowadzić fotosyntezę.

Szczególnie zróżnicowane pod względem składu gatunkowego ramienic są obszary wokół wysp i płyčin w środkowej części zbiornika. Jest to spowodowane nie tylko właściwymi warunkami, ale przede wszystkim niewykorzystaniem tych miejsc (lub śladowym użytkowaniem) w celach rekreacyjnych. Nie ma tam kąpielisk ani przystani.

Kto tu rządzi

Jeziora ramienicowe są jednym z nielicznych miejsc występowania sielawy (*Coregonus albula*) oraz siei (*Coregonus lavaretus*) w Wielkopolsce. Te dwa spokrewnione ze sobą gatunki ryb z rodziny łososiowatych mogą żyć wyłącznie w wodach przejrzystych, zimnych – co ma związek z ich arktycznym pochodzeniem – dobrze natlenionych. Podobnie ubarwione – z opalizującym niebiesko-



Wydra europejska

zielonkawym grzbietem oraz srebrzystobiałymi bokami i podbrzuszem – różnią się przede wszystkim wielkością. Sielawa dorasta do kilograma, a sieja do trzech-czterech kilogramów. Osobniki młodociane obu gatunków żyją w ławicach i odżywiają się zooplanktonem składającym się między innymi z larw owadów, pierwotniaków czy skorupiaków.

Na szczycie tego wodnego łańcucha pokarmowego znajduje się amatorka ryb, płazów i raków – wydra europejska (*Lutra lutra*) – zwierzę herbowe Powidzkiego PK. Ta superszybka jak łódź podwodna (płynie z prędkością półtora metra na sekundę) przedstawicielka łasicowatych, jest jednocześnie muskularna, zwinna i subtelna. Obserwowanie bawiących się wydr, zwłaszcza gdy ślizgają się – niczym zawodnicy bobsleju – w wyżłobionych przez siebie śnieżnych rynnach, budzi wyłącznie pozytywne emocje i radość. Aż chciałoby się dołączyć... Inne zdanie na temat wydry mają jednak właściciele stawów hodowlanych, które – o ile znajdują się w jej rewirze – są dla niej także terenem łowieckim. Tymczasem naukowcy i przyrodnicy przekonują, że ten drapieżny ssak, polując w gospodarstwach rybackich, wybiera słabsze i chore ryby. Pełni tym samym ważną funkcję naturalnego selekcyjnera.

Słowiańska woda pamięci

Podczas naszej wędrówki po osobliwościach wielkopolskich parków krajobrazowych zanurzamy się głównie w przebogaty świat przyrody. Jednak często także kontekst kulturowy wzmacnia ich wyjątkowość i koloryt. Tak jest w przypadku jeziora Gopło leżącego na obszarze Nadgoplańskiego Parku Tysiąclecia. Ta – przywołując słowa Juliusza Słowackiego, jednego z trzech naszych wieszczów narodowych – „słowiańska woda pamięci” oddaje hołd początkom państwa polskiego i kieruje uwagę na Kruszwicę z Mysią Wieżą oraz na legendę o Popielu.

Bogactwem Nadgoplańskiego Parku Tysiąclecia jest świat ichtiofauny. W tutejszych jeziorach żyje 25 gatunków ryb, takich jak między innymi: szczupak, sandacz, sum, jazgarz, leszcz i węgorz. Jest to więc także raj dla miłośników wędkowania.

Płynąc w czerwcu po wodach Gopła, ulegamy urokowi grzybieni białych, grązeli żółtych czy różowych łąnów rdestu ziemnowodnego. Nasz wzrok przesuwają się po rozległych szuwarach tworzonych głównie przez trzcinę. W takiej przestrzeni myśli same biegną w odległą historię, zanurzają się w baśniowość...



Na ryby...

Czajka - dama nadwarciańskich łąk



Choć Józef Chełmoński zatytułował swój obraz „Kaczeńce”, pierwszoplanowymi aktorkami, doskonale odwzorowanymi przez artystę, są dwie czajki. Uchwycone w karkołomnym, tak charakterystycznym dla nich zawijasiu.

Nie tylko podniebne ósemki

Kto miał szczęście obserwować ich lotne akrobacje, którym towarzyszy charakterystyczne *kiwit kiwit*, wie, że tego spektaklu nie można przypisać żadnemu innemu ptakowi. Swoją drogą, w gwarze ludowej czajka (*Vanellus vanellus*) nazywana była *kiwutą*. Jak nie ulec urokowi tej walecznej elegantki, która założyła frak z pobłyskującymi zielono-różowymi refleksami, a głowę ozdobiła wystającymi zawadiacko piórkami?

Jeśli zobaczysz, jak nerwowo lata i nawołuje, najprawdopodobniej znalazłeś się w jej rewirze lęgowym. W ten sposób ostrzega ona przed potencjalnym niebezpieczeństwem siedzącego na jajach partnera albo pisklęta. Oddal się więc czym prędzej – również na łonie natury obowiązuje zasada: *Primum non nocere*. Tym bardziej że jej gniazdo nie jest misterną czy trudno dostępną konstrukcją, a znajduje się w zagłębieniu na łące albo pastwisku, a czasem nawet na polu z zadrzewieniami. Można więc zbliżyć się do niego bez świadomości, że to czyjś dom. O tym, że jesteś za blisko, czajka niewątpliwie da znać, próbując odciągnąć cię od gniazda, a nawet atakując. Dotyczy to nie tylko człowieka, ale też lisów czy innych intruzów.

Niestety, w ciągu ostatniego ćwierćwiecza doszło do drastycznego spadku liczebności tych ptaków w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym. W latach 90. ubiegłego stulecia gniazdowało tu około 500 par, w roku 2020 – mniej więcej 20, w roku 2021 – dzięki sprzyjającym warunkom – 30.

Naczynia połączone

To, co stało się z populacją czajki w dolinie Warty, jest między innymi efektem zmian środowiskowych będących konsekwencją wybudowania w latach 80. ubiegłego wieku sztucznego zbiornika Jeziorsko (obecnie teren woj. łódzkiego),



Czajka

który radykalnie zaburzył stosunki wodne w korycie i dorzeczu Warty. Deficyt opadów i susze dodatkowo pogłębiają te negatywne tendencje. Skoro brakuje wiosennych wezbrań, teren nad Wartą nie jest podtapiany i zalewany. A tylko takie warunki pozwalają utrzymać charakter siedlisk i zachować różnorodność gatunkową ptaków wodno-błotnych. Poza tym zmienił się także sposób zagospodarowania łąk – w zaniku jest ekstensywny wypas zwierząt hodowlanych, który sprzyja gniazdowaniu ptaków siewkowych.

Choć na nadwarciańskich łąkach nadal odbywa się jeden z piękniejszych spektakli natury – toki ptaków brodzących i wodno-błotnych – nie jest już tak widowiskowy jak w nieodległej przeszłości.

Kto tu mieszka?

Dolina Warty jest ważną ostoją lęgową oraz miejscem odpoczynku i regeneracji podczas ptasich przelotów. W Nadwarciańskim PK zaobserwowano 230 gatunków, z czego około 150 wybiera tę część Wielkopolski na miejsce, w którym może wychować potomstwo. Birdwatcherzy o szczególnej słabości do siewkowych, przy odrobinie szczęścia mają szansę zobaczyć tu krwawodzioba (spadek ze 100

par lęgowych do kilku w 2020 r.; rok później obserwowano kilkanaście par) czy kszczyka, a na starorzeczach – również rybitwy: czarne, białoskrzydłe i białowąse. A spośród chruścieli – kropiatkę. Za sprawą zbyt słabych podtopień nie notowano w ostatnich latach w Nadwarciańskim PK gniazdowań rycyka ani kaczek łąkowych, takich jak płaskonos i rożeniec. Dzięki wyjątkowemu i nieoczekiwanemu, wysokiemu poziomowi wód na rozlewiskach wiosną 2021 roku zauważane były jednak cyranki i krakwy. I – ku wielkiej radości przyrodników – zaobserwowane zostały toki dubeltów, gatunku wyjątkowo pojawiającego w tej części Polski.

Latające tysiące

W świecie przyrody szczególnym widowiskiem są sezonowe – wiosenne i jesienne – migracje ptaków, podczas których zmierzają one na lęgowiska i zimowiska. W konsekwencji zmian klimatycznych zimy stały się łagodne, a gniazdujące w Polsce gęsi nie muszą już odlatywać na zachód Europy i zostają w kraju. Jezioro Lednica w Lednickim Parku Krajobrazowym od kilku lat jest miejscem, gdzie w okresie jesienno-zimowym swoje noclegowisko i zlotowisko mają gęgawy (*Anser anser*), gęsi tundrowe (*Anser serrirostris*), zbożowe (*Anser fabalis*) i białoczelné (*Anser albifrons*). Ornitologowie i ptasiarze cieszą się z możliwości oglądania tu także gęsi krótkodziobych, wszystkich występujących na terenie Europy gatunków bernikli,



w tym białolicych, rdzawoszyich i obroźnych. Nad jeziorem Lednica zimę spędza kilkanaście tysięcy gęsi – najwyższa notowana ich liczba sięgnęła aż 18 tysięcy.

Oglądając film „Makrokosmos” („Le peuple migrateur”, 2001), mamy okazję towarzyszyć w wielkiej wędrówce między innymi gęsiom różnych gatunków, bocianom, łabędziom czy żurawiom. I, lecąc obok nich, przyjąć ptasią perspektywę. Patrzeć z góry na pola, rozlewiska, rzeki, wsie i miasta... Kto chciałby dołączyć?

”

Tak do końca nie jesteśmy w stanie wyjaśnić, dlaczego akurat to jezioro [Lednica – red.]. Na pewno takie czynniki warunkujące obecność ptaków to dobre żerowiska, które się wokół znajdują, a samo jezioro obfituje w zaciszne miejsca osłonięte od wiatru, gdzie tym ptakom po prostu się dobrze i bezpiecznie nocuje. Gęsi nie chcą w okresie jesienno-zimowym zbyt daleko latać na żerowiska, w związku z czym preferują te miejsca na nocleg, które pozwolą im dosyć szybko przemieścić się w stronę, gdzie będą przez dzień żerowały [...]. Poranne polowanie pary dorosłych bielików jest to zjawisko bardzo spektakularne. Ta para ze sobą współpracuje, nawzajem sobie gęsi naganiają [...]. Jeden z ptaków potrafi gęś w powietrzu lekko szponami trącić, ona opada raniona i w tym czasie już drugi ptak wyłania się i tę gęś dopada na ziemi, na lodzie.

Michał Białek z Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego, audycja „Drzwi do lasu”, Radio Poznań, odc. 152 „Gęsi 2”, 30.12.2020.



Rodzina gęgaw

Na wypasie



Wyjatkowi szczęściarze, którzy wybiorą się do Rogalina akurat w te dwa dni w roku, mają szansę zobaczyć na wielkopolskich nizinach pod Poznaniem... redyk. Czyli wiosenne przejście owiec na pastwiska i łąki oraz powrotne, jesienne – do owczarni.

Inne oblicze Rogalina

Mieszkańcom Wielkopolski wieś ta kojarzy się głównie z posiadłością Raczyńskich i słynnymi dębami (więcej na ten temat w opowieściach „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30 oraz „Pomnik Historii w Rogalinie” – s. 124). Tymczasem od 1993 roku działalność rolniczą rozwija tu zarządzany przez Fundację im. Raczyńskich – Majątek Rogalin.



Historia gospodarstwa funkcjonującego w tym miejscu sięga roku 1294. W latach 1766-1939 posiadłość pozostawała w rękach słynnej rodziny Raczyńskich. Po przejściu jej po II wojnie światowej przez skarb państwa do 1993 roku funkcjonowało tu Państwowe Gospodarstwo Rolne. Dziś historyczny majątek w Rogalinie jest wpisany do rejestru zabytków jako układ ruralistyczny, a od jesieni 2020 roku jest także Pomnikiem Historii.

Dla ziemi

W Majątku Rogalin rolnictwo nie jest celem samym w sobie. Wypas owiec i uprawy określonych gatunków roślin są podporządkowane bowiem utrzymaniu tradycyjnego krajobrazu wiejskiego, lokalnego środowiska objętego ochroną w ramach Rogalińskiego Parku Krajobrazowego, w tym pomników przyrody w postaci dębów.

Wzdłuż dróg i pomiędzy polami rosną stare i zasadzone kilka lat temu pasy wiatrochronne, których zadaniem jest ochrona pól przed erozją wietrzną oraz wsparcie miejscowej bioróżnorodności (więcej o znaczeniu zadrzewień śródpol-



Wypas owiec na łąkach rogalińskich

nych w opowieściach „O miłości Grafsztynka do Pięknej z Rept” – s. 42 i „W kojącym cieniu zadrzewień” – s. 152).

Owce rogałińskie, w większości rasy „biała Masywu Centralnego” (w 2021 r. stado liczyło około 600 maciorek z przychówkiem), jako „ekologiczne kosiarki” nie dopuszczają do naturalnej sukcesji, czyli zarastania nadwarciańskich łągów (o powierzchni 200 ha), co doprowadziłoby do przekształcenia lokalnego środowiska przyrodniczego. Pozostając na wypasie od wiosny do jesieni, utrzymują je w stabilnym stanie, a przynosząc nasiona – przyczyniają się do wzrostu bioróżnorodności.

Hodowane na mięso i wełnę owce są ważnym ogniwem łańcucha oddziaływań sprzyjających ochronie walorów przyrodniczych miejsca. Oprócz świeżej roślinności łąkowej i poplonów jedzą też produkty uboczne z czyszczenia zbóż, siano ze zbioru traw nasiennych, wysłodki buraczane i kiszonkę z poplonów. Ich odchody nie tylko w naturalny sposób nawożą pastwiska. Owczy obornik jest bowiem także kompostowany i w takiej postaci zasila corocznie średnio jedną trzecią gruntów ornych gospodarstwa. Wszystkie grunty są regularnie wzbogacane wapnem defekacyjnym pochodzącym z cukrowni.

Mimo że ziemie należące do Majątku Rogalin są bardzo niskiej jakości, uprawia się tu na 400 hektarach, i to z sukcesem – dzięki regularnemu nawożeniu obornikiem, poplonom i wapnowaniu – buraki cukrowe, ziemniaki jadalne i różne rośliny nasienne.

Jak drzewiej gęsi hodowano

Proekologiczny chów owiec i uprawa roli pod Rogalinem oprócz tego, że służą przyszłości, są też hołdem złożonym przeszłości i tradycyjnym praktykom rolniczym. W Wielkopolsce innym miejscem znanym z wypasu – tyle że gęsi – są okolice Zagórowa, dziś znajdujące się na terenie Nadwarciańskiego Parku Krajobrazowego.

Tradycja hodowli gęsi sięga w Polsce XVII wieku, a największy jej rozkwit przypadł na lata 80. XIX stulecia. Wtedy to bowiem nasilił się eksport tych ptaków (nawet 300 tysięcy rocznie) z Kongresówki do Prus.

Pod Zagórowem, na łąkach Płóćiczne Moczydło i Wspólne znajdowała się przystań dla gęsi i sezonowo działała dla nich... „kuźnia”. By przygotować je na długą drogę – około 20 kilometrów do przejścia granicznego w Strzałkowie – należało specjalnie zabezpieczyć im stopy. W tym celu na ziemi rozlewano smołę i wysypywano piach. Po czym kilkakrotnie pędzono przez nie ogromne stada, by w ten sposób gęsi „podkuły” się przed czekającą je niełatwą wędrówką.

Dziś hodowla tych ptaków w Zagórowie jest nikłym śladem tego, czym była w przeszłości. Mogą one jednak nadal wypasac się od wiosny do późnej jesieni na nadwarciańskich łąkach, nie zaś w zamkniętej hodowli fermowej. Mają tu dostęp do świeżej zielonki i wody oraz korzystają z wolności.

W roku 2021 hodowlą – tyle że małych stadek – zajmowało się trzech pasjonatów pielęgnujących rodzinną tradycję. W roku 2020, po 40 latach, dobiegło końca życie gęsi, która występowała we wszystkich filmach o zagórowskich gęsiach. Najstarsza dziś tu żyjąca ma 30 lat.



Gęsi domowe

”

Wciąż powraca do mnie obraz, który widziałem wiele lat temu w Rumunii. [...] Był wieczór i stada schodziły z pastwisk. Wieś była nieskończenie długą ulicówką. Ciągnęła się i ciągnęła, a my jechaliśmy trzy kilometry na godzinę, bo przed nami dreptał nieprzebrany tabun. Krowy, owce, kozy. I każde z bydła wiedziało, gdzie mieszka, i bezbłędnie skręcało w swoją otwartą bramę. Stado rzedło, wieś powoli się kończyła. W otwartej furtce niewielkiego, biednego gospodarstwa stała stara kobieta. Jedna z krów odłączyła się od reszty i do niej podeszła. Kobieta wyjęła zza pleców marchewkę, podała zwierzęciu i odsunęła się, by zrobić przejście.

Andrzej Stasiuk, „Krowy”, „Tygodnik Powszechny” – „Zwierzenia Zwierząt” – wydanie specjalne, nr 3/2019, s. 82.

Enklawy życia - taki śródleśne



I dąc pod koniec sierpnia skrajem lasu, zrywaliśmy dojrzewające orzechy laskowe. Rozłupywaliśmy je w drodze, wykorzystując znajdujące co chwilę polne kamienie. Znikając z domu na pół dnia, niczym członkowie pierwotnego plemienia żywiliśmy się tym, co akurat rośnie w naturze: dzikimi czereśniami, poziomkami, borówkami czy jeżynami. Wchodzenie na drzewa było tak naturalną umiejętnością, że nikt się nad nią specjalnie nie zastanawiał. Napotkany czasem w lesie nieznany szalas przyprawiał o szybsze bicie serca i rozbudzał ciekawość. Minęło 40 lat...

Przemiana za przemianą

Na początku była pierwotna puszcza. Przez tysiąclecia wykorzystywana przez człowieka. Trawiona przez pożary, które świadomie wzniesano, by zyskać nową przestrzeń do użytku. Wycinana, przekształcana, zagospodarowywana



Łąka z marchwią zwyczajną



Kozioł sarny

na. Zajmowana pod uprawy, po uprzątnięciu drzew zabudowywana planowo i systematycznie. Jeśli wskutek zmieniających się warunków społecznych, politycznych czy przyrodniczych wcześniej zawłaszczone przestrzenie opuszczaliśmy, natura na nowo je przejmowała i urządziła w swym odwiecznym stylu sztafety sukcesyjnej. Najpierw dominowały rośliny zielne. Potem pojawiały się krzewy i siewki drzew – te niewycinane rządziły się po swoim, stając się gąszczem trudnym do przebycia.

Dziś łąkowo-leśne spaceru w miejscach, które poznawałam jako dziecko, często przywołują wspomnienia. Na przykład tam, gdzie zobaczyłam pierwsze w swym życiu muchomory czerwone, stoi teraz domek letniskowy. Co rusz widzę tabliczki „Teren prywatny”. Wzgórze nad jeziorem – w przeszłości porośnięte trawą świetny punkt obserwacyjny na pobliską okolicę – zarosło głogami nie do przejścia. Przynajmniej ptaki mają tu bezpieczną ostoję. I cywilizacja, i natura nie próżnują. Zgodnie ze swoimi zasadami podporządkowują sobie i kształtują krajobraz. Przemiany zapoczątkowane przez pierwszą wymuszają reakcje drugiej – zarówno dynamiczne, jak i sukcesywne, zachodzące latami. Gdy dziś



Dzwonek rozpierzchły

jesteśmy świadkami i ofiarami niszczycielskiej siły żywiołów, w końcu dociera do nas, że tę lawinę wywołaliśmy dawno temu, nie przewidując dramatycznych skutków. Ale i tak wciąż brakuje nam pokory wobec potęgi natury.

Tajemnice pogranicza

Podczas wędrówek po lesie każda polana czy łąka śródleśna jest wejściem w inny świat. To jak przeskok z ciemnego pola szachownicy na jasne. Z przestrzeni zamkniętej i wypełnionej – drzewami, krzewami, wysokimi ziołoroślami – w otwartą. Z półmroku – w jasność i światło. Z obrazów wertykalnych w horyzontalne. Do czasu.

Stojąc na brzegu lasu, jestem na pograniczu. W ujęciu naukowym – w ekotonie, czyli strefie przejściowej między dwoma ekosystemami, w tym przypadku między lasem i łąką.

Na razie jest tu całkiem pokaźna śródleśna polana. Na kwitnących, wysokich sadźcach konopiastych uwija się ruchliwa gromadka rusałek pawików. Tuż obok przemknęły rusałka kratkowiec i intensywnie pomarańczowa plam-

ka dostojki malinowca. Akurat przemierzam jedną z łąk na terenie Parku Krajobrazowego Puszcza Zielonka podczas ustanowionego przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego Tygodnia Liczenia Motyli i jednocześnie w Dniu Włóczykija.

Jak przystało na ciepłe lipcowe popołudnie, pod względem dźwięku miejsce zdominowała symfonia koników polnych. Gdy z wolna przesuwam się w skłębionym łąkowym zielsku, w reakcji na każdy krok – niczym meksykańska fala odskakują ode mnie. Kolorowych akcentów w tym momencie roku jest niewiele. Zmierzając w stronę rozległych traworośli trzcinnika piaskowego, w niższej trawie dostrzegam pojedyncze punkty z chabrami łąkowymi, dzwonekami rozpierzchłymi, macierzanką, goździkiem kartuzkiem, świerzbnicą i przetacznikiem.

W innym miejscu, patrząc na okrajkowe ziołorośla, w których wybijają się ponad zielny tłum wysokie pędy pokrzywy i ostrożnia warzywnego, myślę o dzikiej kuchni. Kilkanaście lat temu spopularyzował ją etnobotanik Łukasz Łuczaj. Widząc wybujałe łodygi nostrzyka białego, wspominam miód nostrzykowy zalecany na przykład osobom mającym problemy z krążeniem i zagrożonym zakrzepami. Różowe łany wierzbówki kiprzycy i wierzbownicy, które z upodobaniem rosną w strefie ekotonu leśno-łąkowego, jak kontrpunkt rozbijają zszarzałą zielenią środka lata. Stonowaną kolorystycznie płachtę krajobrazu przecina dynamiczna i duża sylwetka myszołowa.

Czytaj ślady

Przedzieram się przez pasmo krzewów, by skryć się przed słońcem pod parasolem koron dorodnych buków. Znajdujące się blisko granicy lasu oczko wodne jest dla mnie kolejnym sprawdzianem. Przyglądam się odcisniętym w błocie sznurom tropów zwierząt, które przychodziły tu ugasić pragnienie. Czy potrafię wszystkie rozpoznać? Sarna, jeleni, dzik, kuna nie nastroczą trudności. Na pobliskiej drodze polnej euforię wywołują zaschnięte tropy borsuka. Kręcił się tu także żuraw. Kilkadziesiąt metrów dalej natrafiam na w miarę świeży fragment szkieletu sarny. Wyobraźnia pracuje... Czy odcisnięta duża łapa to na pewno ślad psa domowego?

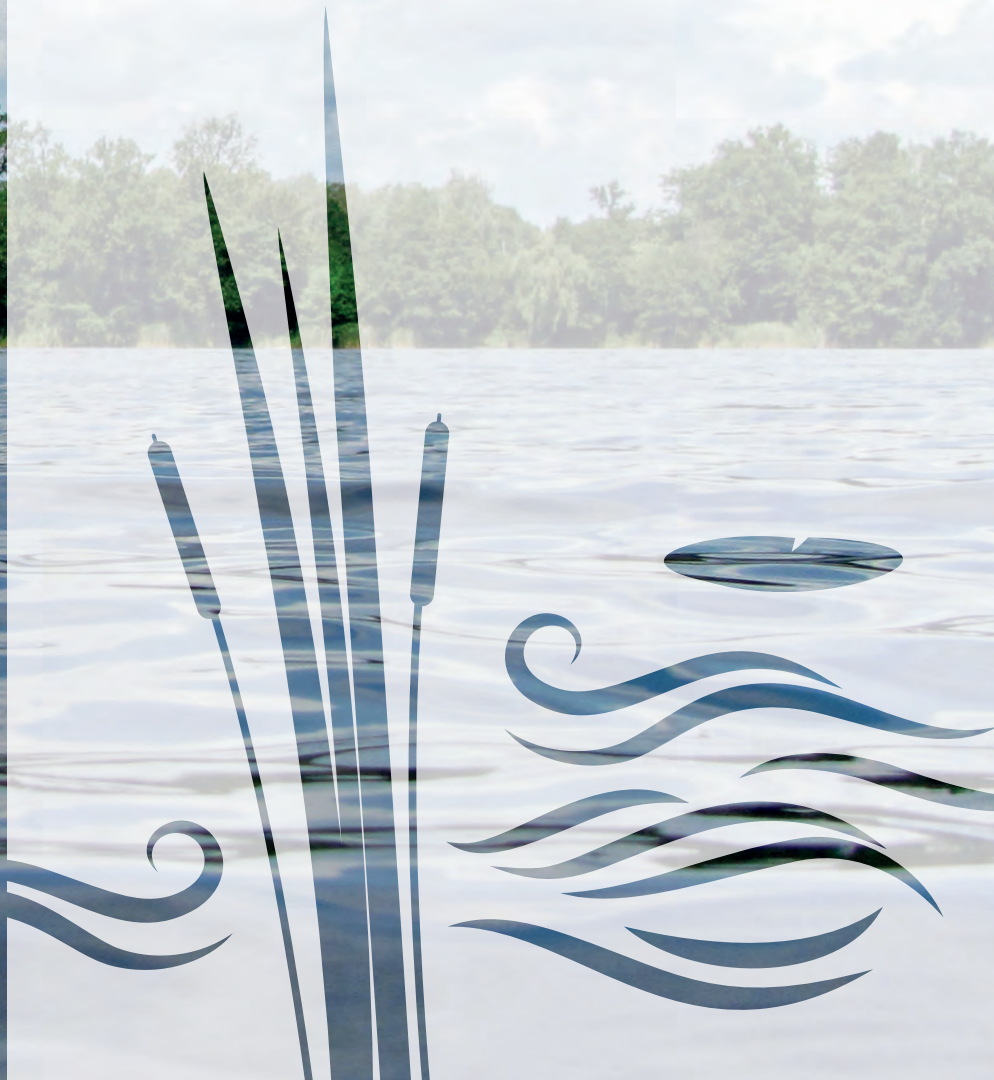
Po przejściu krótkiego leśnego odcinka wychodzę na kolejną niewielką polanę. W nieodległej przeszłości pasły się tu krowy. Dziś z trudem przedzieram się przez splątany, wybujały gąszcz przewyższających mnie turzyc i innych roślin. Młode osiki i olchy jako forpoczty lasu zwiastują niechybny kres łąki.



Rozdział III



Woda – architekt krajobrazu



O jeziorach babskich



To koniec. To już niemal finalna faza, gdy niegdysiejsze jezioro staje się z wolna łąką. W ostatnim czasie z niemałą pomocą człowieka tempo zaniku małowniczych, tak zwanych jezior babskich przybiera na sile. Temu najbardziej na południe położonemu nie zdążono nawet nadać imienia. Jego zanikanie zaczęło się więc już dawno. Co jednak z pozostałymi?

Podobno jest ich pięć i leżą w płytkiej rynnie polodowcowej, przez którą przepływa rzeczka Cybinka, zwana też Babą. Tak przynajmniej można wyczytać niemal w każdym źródle. Kto jednak pojedzie z taką wiedzą na wschodnie krańce Parku Krajobrazowego Promno, może się mocno zdziwić. Liczbę pięć trudno obronić, a Cybinkę niełatwo zobaczyć. Przynajmniej latem.



Nad jeziorem Uli



Czapla siwa

Nad rzeką, której nie ma

Wspomniane już nie jezioro, może nie mokradło nawet, ale torfowisko, położone na południe od jeziora Okrągłak, stanowi wraz z nim część rezerwatu, w którym możemy obserwować kilka etapów zarastania akwenu. Do brzegów Okrągłaka trudno jest dotrzeć, ale jest to możliwe. Najprościej – suchym korytem Cybinki, wzdłuż którego dokonuje się wymiana starych, okazałych olch na niewymagające tyle wilgoci klony jawory. Sam zbiornik zarastany jest ze wszystkich stron szuwarami, w których gniazduje i żeruje ptactwo. Jak chociażby czapla siwa, która spłoszona zrywa się do lotu, po czym kołuje nad niemal okrągłym akwenem.

Które jest następne? Może to mocno zarastające, bez urzędowej nazwy, ale na mapach oznaczone jako Rajskie? Jeszcze na tych przedwojennych na drodze przebiegającej pomiędzy nim a kolejnym – Babą – widnieje most. Dziś mostu nie ma, a wyschnięta Cybinka przesącza czasem swoje wody przez wąski przepust, którego wlot znajduje się na jedynej nad babskimi jeziorami plaży. Gdy poziom wody jest tak niski, jak dziś, trudno połączyć ze sobą betonowy pierścień przepustu z rzeką, choćby najmniejszą. Przez większą część roku jest w nim sucho i wówczas ze zbiorników nie odpływa woda.

Kolejny jest Cyganek – niewielkie jezioro oddzielone od Baby wysoką, naturalną groblą, przez którą przebiła się niegdyś Cybinka. Dziś siły na to raczej by nie miała. Za nim trafiamy na ścieżkę przyrodniczo-leśną i od razu na jej, być może, najciekawszy fragment. Nad rzeką, której nie ma, przerzucono kilkudziesięciometrową drewnianą kładkę, z której obserwować możemy ols z bogatym podszytem i czarną, wyschniętą, choć wciąż wilgotną żyłę Cybinki, spływającą tędy z położonego nieco wyżej, największego wśród wszystkich, jeziora Uli. Ta tajemnicza nazwa ma kilka wariantów. Na niektórych mapach funkcjonuje jako Ul, Ula, Ulli, a nawet w wersji niemieckiej – Ully. Przemierzamy wąską dróżkę poprowadzoną bezpośrednio nad zachodnim brzegiem. Wkrótce natrafiamy na niewielkie pole biwakowe, za którym ścieżka przyrodnicza rozdziela się na dwie odnogi. Prawa prowadzi nas na kolejną przeprawę nad Cybinką – drewniany mostek, pod którym możemy zobaczyć kałuże. Również tu rzeczką nie ma wystarczająco dużo siły, by spływać z wyżej położonego jeziora, lecz jednak dość na tyle, by wciągnąć nogi po kostki i upomnieć się o nasze buty.

Dalej rozlewa swoją toń już ostatnie jezioro – Ósemka. Jego nazwa również może się wydawać tajemnicza. Pochodzi od kształtu akwenu, który dzisiaj jest jednak podzielony na dwie części i przypomina raczej parę niestykających się ze sobą łezek. O Ósemce – a zwłaszcza jej górnej części – można śmiało powiedzieć, że jest trudno dostępna i zazdrośnie strzeże swoich sekretów. Wczesną wiosną, kiedy poziom wód powierzchniowych na terenie zlewni Cybinki jest najwyższy, Ósemka staje się jednym jeziorem o powierzchni około sześciu i pół hektara – nieco tylko mniejszym niż Uli. Jednak latem jego powierzchnia kurczy się do zaledwie półtora hektara. Inne akweny również cechuje duża zmienność. Okrągłak zmniejsza się trzykrotnie, ale Uli i Baba mniej więcej do jedną szóstą.

Kłóc

Zanikanie jezior jest zjawiskiem naturalnym, jednak w ostatnich kilkudziesięciu latach mocno przyspieszonym przez działalność człowieka, głównie wylesianie, regulację rzek i strumieni, meliorację, intensyfikację rolnictwa. W naturalnych warunkach obumierające rośliny tworzą osad, który powoli wypełnia misę jeziora, co prowadzi do eutrofizacji, czyli wzrostu żyzności. Jedną z roślin, które najsilniej wpływają na sukcesję jezior, jest kłóc wiechowata. Przez Wielkopolskę prowadzi wschodnia granica zwartego występowania tej byliny, której obecność jest przyjęta jako kryterium wyznaczania najcenniejszych przyrodniczo obszarów w Europie. W PK Promno można napotkać ją przede wszystkim nad dwoma jeziorami położo-



Jeziora babskie

nyymi w jego zachodniej części – Dębiniec i Drażynek. Są to największe pod względem powierzchni stanowiska kłoci wiechowatej w całym regionie. Zwrócono na nie uwagę już przed II wojną światową, proponując utworzenie rezerwatów, które jednak oficjalnie powołano w latach 50. XX wieku. W 1928 roku na łamach „Ochrony Przyrody” pisał Jarosław Urbański: „Na brzegu północno-zachodnim i południowo-wschodnim, między pasem lasu a brzegiem jeziora rozciągają się na znacznej przestrzeni torfiaste łąki. Dostęp do wolnej powierzchni jeziora możliwy jest jedynie na wschodnim brzegu, z innych bowiem stron otacza go szeroki pas oczere-tów. Kłoc występuje obficie nad całym niemal jeziorem, rosnąc już to rozproszona wśród pasa trzciny, już to tworząc zwarte kępy po wewnętrznej stronie tego pasa. Najbujniejsze kępy kłoci, zwracające już z daleka uwagę swym charakterystycznym wyglądem, rosną na północnym brzegu jeziora”. Niemal stuletni opis jeziora Dębiniec nie uwzględnia powstałej w późniejszym czasie osobliwej trybuny na jego wschodnim brzegu. Jakikolwiek byłoby jej umyślne przeznaczenie, znakomicie nadaje się ona do obserwacji szuwarów i lustra jeziora. Bo z kolei Drażynek – jezioro, którego powierzchnia liczy dziś zaledwie około hektara – jest trzcina i kłocią otoczony ze wszystkich stron i trudno go podziwiać bez lornetki.

W Krainie Stu Jezior



O bniżając dynamiczny lot, wystawia do przodu nogi i rozpruwa szponami – niczym harpunem – lustro wody. I już po chwili wznosi się, dźwigając dorodnego leszcza. Niebawem czekające w gnieździe piskłę rozpocznie ucztę.

Biały ogon, nie kruk

Sto lat temu był w Polsce na krawędzi wymarcia. Dziś na szczęście nie jest już białym krukiem. Programy obejmujące ten gatunek ochroną przyniosły bowiem efekty i obecnie populację bielika (*Haliaeetus albicilla*) – jednego z bohaterów tej opowieści – szacuje się w Polsce na 1500 par.

Będąc w gronie największych ptaków Europy, mimo olbrzymich rozmiarów (nawet dwa i pół metra rozpiętości skrzydeł), zwinny jest zarówno w trakcie polowania, jak i odbywanych podczas zimy godów, niepozbawionych finezji i gracji. Swoją nazwę zawdzięcza ogonowi, który biały staje się dopiero w piątym czy szóstym roku życia, gdy ptak osiąga pełną dojrzałość płciową.

Sierakowski Park Krajobrazowy jest w naszym województwie obszarem, gdzie bielików – ptaków związanych ze środowiskiem wodnym – żyje najwięcej (w Wielkopolsce występuje około 50 par). Pojezierze Międzychodzko-Sierakowskie, zwane też Krainą Stu Jezior, jest idealnym domem dla niego. W menu tego drapieżcy są ryby oraz ptactwo wodne. Warto jednak podkreślić, że ptak ten nie tylko poluje, co jest widowiskowym seanssem, ale też zjada padlinę, w tym martwe ryby, pełniąc w środowisku ważną funkcję czyszciciela.

Podczas naszej wycieczki w okolice Sierakowa z parą dostojnych bielików spotykamy się w ciągu godziny dwukrotnie. Ekscytujemy się ich widokiem, przedzierając się wąską ścieżką w rezerwacie Buki nad Jeziorem Lutomskim.

Podróż w głąb czasu

Jesteśmy w rynn timerze polodowcowej. Jak wyobrazić sobie, że tysiące lat temu pełzło tu masywne cielsko łądolodu skandynawskiego? Jak gigantyczny rzeźbiarz przewracał on, ubijał, przesuwał, drażył i rozcinał warstwy ziemi. Jego dziełem jest, nadal pulsujące przemianami, bogate ukształtowanie terenu, które możemy dziś przemierzać i podziwiać. W okolicach Sierakowa cofający się łądolód wyźłobił



Bielik

między innymi pasma jezior rynnowych, takich jak: Lutomskie, Kłosowskie, Barlin, Mnisze, Lichwińskie czy Kubek. Wchodzenie w głębokie rynny nawet na wyznaczonych szlakach wymaga niemałej sprawności i świetnego zmysłu równowagi. Osobliwością jest Jezioro Śremskie skrywające kryptodepresję – dno tego akwenu (w najgłębszym miejscu sięgające 45 metrów) znajduje się sześć metrów poniżej poziomu morza.

Najbardziej nam znanym efektem prac przesuwającego się lądolodu są moreny, dziś porośnięte lasami i zagospodarowane jako pola uprawne. Pokłady piasku, pozostawione na równinie akumulacyjnej w widłach Warty i Noteci, tworzą największy w Polsce zespół wydm śródlądowych o wysokości 20-30 metrów (maksymalnie 90 metrów), leżących w odległości około pół kilometra od siebie. Przemierzając tutejsze lasy podczas wycieczki, grzybobrania czy zbioru jagód,

warto zadumać się nad tym, że ten jednowymiarowy bór sosnowy, posadzony po gradacji strzygoni choinówki w latach 20. XX wieku (więcej na ten temat w opowieści „O sośnie – królowej wielkopolskich lasów” – s. 34), rośnie na terenie o bogatej przeszłości geologicznej.

Jedną z botanicznych pamiątek po okresie glacialnym jest tu zimozioł północny (*Linnaea borealis*), ulubiona roślina Linneusza, o charakterystycznych dwóch lejkowatych różowych kwiatach. Ten powszechnie występujący w tajdze i tundrze gatunek, w naszej strefie klimatycznej jako relikwit polodowcowy jest objęty ochroną.

Innymi pozostawionymi znakami firmowymi pełznącego łądolodu są głazy narzutowe. Szczególnym hołdem upamiętniającym tę zamierzchłą wędrówkę jest punkt widokowy nieopodal miejscowości Sprzeczo, zwany Górą Głazów, skąd roztacza się rozległa panorama na dolinę Warty i Puszcę Notecką. Znajduje się tu zbiór głazów przywleczonych z obszaru Skandynawii, z których największe wrażenie wywiera ten z różowego granitu rapakiwi (9 metrów obwodu i 2,3 metra wysokości).



Góra Głazów



Kania ruda

Ruda wyścigówka i śmieciarka

Pasjonaci ptaków, wsiadając do kajaka lub łódki, na terenie Sierakowskiego PK mogą pokrażyć po Jeziorze Kłosowskim wokół objętych rezerwatem Czaplich Wysp. Ostoję lęgową znajdują tu nie tylko czaple, ale też inne ptaki związane ze środowiskiem wodnym, takie jak rybołowy czy kormorany.

Jak zwykle naszą uwagę przykuwa szybujący drapieżnik. Drapole zdecydowanie nie są moją mocną stroną, ale w tym wypadku ogon z ostrym wcięciem, sylwetka w kształcie litery M, charakterystyczne białe plamy na pokrywach podskrzydłowych i czarne „palce” lotek szybko nasuwają odpowiedź. Trzeba przyznać – unosząca się nad polami kania ruda (*Milvus milvus*) wygląda zjawiskowo. Zwłaszcza gdy, manewrując ogonem, jako doskonały pilot wykonuje nagłe zwroty w powietrzu. Szkoda, że maestrii lotu nie dorównuje wygląd jej gniazda. Niestety, mamy w tym swój udział, bowiem kanie znoszą do swoich domów pozostawione przez nas śmieci: fragmenty folii, sznurki czy szmaty.

Na terenie naszego kraju ptaków tego gatunku żyje najwięcej na Pomorzu Zachodnim i w Wielkopolsce. Kolejna dobra wiadomość jest taka, że ich liczba (podobnie zresztą jak bielików) w latach 2008-2020 wzrosła w Polsce dwukrotnie.

Lednica - jezioro z historią



Są jeziora większe i głębsze, pewnie też piękniejsze – choć to akurat oczywiście skwestia gustu. Czy jednak jest drugie z takim bagażem znaczeń, historycznych odniesień i kulturowych zakotwiczeń, z którymi tak pięknie współgra natura?

Powstały w 1988 roku Lednicki Park Krajobrazowy był pierwszym położonym w całości w granicach Wielkopolski. Nie zdecydowały o tym walory przyrodnicze – choć te, dzięki otoczeniu terenu ochroną i poprawie jakości wody, są coraz istotniejsze – ale znaczenie dla kultury i historii Polski tego – wydawałoby się – niepozornego jeziora. Na największej z jego wysp – Ostrowie Lednickim – już ponad tysiąc lat temu istniał jeden z najważniejszych grodów wczesnopiastowskiej Polski, który mógł być jednym z prawdopodobnych miejsc chrztu Mieszka I. Być może woda pobrana z Lednicy obmywała chrzczonego księcia i jego dwór, ale też pochłonęła wielu wojów, którzy bronili grodu między innymi podczas najazdu



Ostrów Lednicki



Wielkopolski Park Etnograficzny w Dziekanowicach

czeskiego księcia Brzetysława I w 1038 roku (więcej na ten temat w opowieści „Tam, gdzie Mieszko i Chrobry gród budowali” – s. 132). Po Ostrowie stąpali dwaj pierwsi polscy władcy i najprawdopodobniej cesarz Otton III. Pływać motorówką i uprawiać wakeboard byłoby tu raczej nie na miejscu...

Historia zapamiętana w krajobrazie

Lednica wymaga od nas ciszy i nabożeństwa. Nie muszą to być uroczystości religijne, jakie regularnie odbywają się na Polach Lednickich na północno-zachodnim brzegu jeziora. Na co dzień wystarczy uważność i szacunek podczas samotnego spaceru albo rowerowej wycieczki. „Boczną drogą pod starymi wierzbami dochodzimy do wsi Dziekanowice a po za nią na pusty, cichy, trzcina trochę zarosły, lekkimi falami muskany brzeg naprzeciw ostrowa. – Przewozi nas nań rybak łódką. [...] Przed nami rozległa łąka; kwiaty na niej na wysokich łądygach, liczne, duże; gdzie niegdzie kępy krzewów; brzegi porośnięte olszyną i gęstymi splotami dzikiego chmielu; dalej jezioro, blade-błękitne, a za niem równina; łagodny, kojący krajobraz” – pisał w 1913 roku Bernard Chrzanowski w artykule „Kruszwica i Lednica”. Przewoźnik nie jest dziś rybakiem, lecz pracownikiem Muzeum Pierwszych Piastów, ale poza tym tak mało się od tamtego czasu zmieniło.

Wiele też wskazuje na to, że Lednica jest bardzo podobna do tej, jaką oglądali pierwsi Piastowie. Jezioro leży na Pojezierzu Gnieźnieńskim i jest największym zbiornikiem wodnym w jego zachodniej części. Na szczęście – w przeciwieństwie do akwenów położonych w jego wschodnim fragmencie – nie jest ono narażone na wysychanie spowodowane działalnością kopalń węgla brunatnego (choć deficyty wody i spadek poziomu jeziora są zauważalne), a wcześniej nie zostało dotknięte osuszaniem zlewni okolicznych rzek, te bowiem omijają Lednicę szerokimi łukami. Od południa zbiornik zamyka rynną polodowcową ciągnącą się ku Janowcowi Wielkopolskiemu. Wyróżnia się tym, że jest od innych jezior szersze, odprowadza swoje wody na południe i znajduje się na nim aż pięć wysp. Największą jest wspomniany Ostrów Lednicki, w przeszłości nazywany po prostu Ostrowem, a na przedwojennych mapach oznaczany czasami jako Ledniczka. Jednak obecnie Ledniczka to mniejsza wyspa, położona na zachód od Ostrowa. Również na niej znajduje się stanowisko archeologiczne – pozostałość po grodzie rycerskim lub kasztelańskim, przeniesionym tu z sąsiedniego Ostrowa. Ledniczka, podobnie jak trzy pozostałe wysepki – dwie bezimienne, niemal połączone ze sobą, położone w północnej części jeziora Lednica, a przede wszystkim Wyspa Mewia – są dziś ostoją dla ptaków.

Wyspy dla ptaków

Wśród nich króluje trzciniak, znajdujący tu znakomite warunki do życia. Praktycznie całe jezioro otoczone jest pasem szuwarów, które są środowiskiem tego ptaka, a jednocześnie pomagają w utrzymaniu czystości wody, będąc naturalnym buforem zwłaszcza dla substancji biogennych. Jeszcze poważniejszą barierą dla nich są drzewa, które również opasują niemal cały akwen. Najwięcej jest ich na północy, gdzie płynnie przechodzą w las, ale pas wierzb, wiązów, jesionów czy olch, charakterystycznych dla terenów podmokłych, oplata zbiornik ze wszystkich stron. W szuwarach oprócz trzciniaków dom znajdują również bąki, remizy czy perkozy. Na wyspach łęgi wyprowadzają między innymi gęgawy. Z ptaków drapieżnych na jeziorze gniazduje błotniak stawowy. Łącznie na terenie Lednickiego Parku Krajobrazowego zaobserwowano 158 gatunków ptaków, w tym 111 lęgowych, między innymi remizy i wąsatki. Najlepszym czasem na ornitologiczne obserwacje są oczywiście wiosna i jesień. Szczególnie widowiskowe są przeloty i zimowiska gęsi (więcej na ten temat w opowieści „Czajka – dama nadwarciańskich łąk” – s. 68) i jesienne zgrupowania żurawi, które w okolicach Lednicy zbierają się do odlotu na zimowe kwatery.

Ptaki znajdują nad Lednicą całkiem niezłe warunki życia. Co prawda rok w rok Muzeum Pierwszych Piastów odwiedza ponad sto tysięcy osób, ale ruch turystyczny jest ograniczony do stosunkowo niewielkiego obszaru. W tej części Wielkopolski króluje turystyka kulturowa. Nie jest to centrum sportu i rekreacji, choć w Lednogórze i Dziekanowicach znajdują się kameralne plaże z widokiem na Ostrów Lednicki i Ledniczkę, a na wodzie można czasem zobaczyć łódki.

Łowienie przeszłości

Dno jeziora jest natomiast intensywnie penetrowane przez nurków – i nie są to osoby przypadkowe. Lednica to prawdziwy poligon dla badaczy archeologii podwodnej, dla których jest to główny teren eksploracji. Badania prowadzone przez Centrum Archeologii Podwodnej Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu i Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy trwają nieprzerwanie od początku lat 80. XX wieku, choć pierwszych odkryć dokonano już około 30 lat wcześniej. Do najnowszych należą pozostałości mostów łączących zachodni brzeg jeziora z Ledniczką. Starszy z nich jest datowany już na lata 913-914, co świadczy o tym, że został zbudowany już za panowania ojca, a może nawet dziadka pierwszego historycznego władcy Polski. Okazuje się więc, że Lednica pamięta nie tylko Mieszka I, ale również jego legendarnych poprzedników Siemomysła i Lestka.



Relikty mostu na Ostrów Lednicki z X wieku

W dolinie Baryczy



Tylko dwie tonacje barwne – zgaszona czerwień i grafitowa szarość. W nieruchomym, doskonale gładkim lustrze wody odbijają się ich dostojne i smukłe sylwetki. Nagły, przesywający otoczenie krzyk niczym błyskawica rozbija statykę obrazu. Widokiem zlotowiska żurawi na Stawach Milickich trudno się nasycić. Podczas każdej wizyty spektakl ten pokazuje swoją inną odsłonę. Podobnie jak późnojesienne zloty bielików, które zwabione połowem karpi przylatują tu na doroczną obfitą ucztę.

Żywe bogactwo wody

Widziane z lotu ptaka kojarzą się z niebieską taflą poprzecinaną zielonymi kreskami i łukami łądu, po których biegną groble. Jak wyglądał początek miejsca znanego dziś jako Stawy Milickie czy – ogólniej – Dolina Baryczy?

Podczas zlodowacenia Wisły, zakończonego kilkanaście tysięcy lat temu, przesuwany się tu łądolód wyźłobił rozległe i płaskie obniżenie. I to w nim zaczęła płynąć rzeka Barycz. Jak informował w tomie VII „Słownik Geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”: „Okolice Odolanowa jest błotnista i niezdrowa; panują tu febry, tyfusy i biegunki”.

W XIII wieku potencjał tego terenu dostrzegli jednak cystersi, którzy – jako zakon specjalizujący się w zakładaniu siedzib w trudno dostępnych, podmokłych miejscach – w mokradłach i łąkach nad Baryczą zobaczyli swą kolejną ziemię obiecaną. I zbudowali tu system stawów, dziś znanych jako Milickie, które miały zaspokoić ogromne zapotrzebowanie na ryby – w średniowieczu posty stanowiły przecież połowę roku.

Największą powierzchnię – łącznie 13 tysięcy hektarów, dwukrotnie więcej niż dzisiaj – miały Stawy Milickie w XVIII stuleciu. Jednak ze względu na to, że ograniczone zasoby wodne terenu nie mogły utrzymać tylu akwenów, w XIX wieku część zbiorników zlikwidowano, przeznaczając je na ziemię uprawną. Do dziś z tego okresu przetrwała część urządzeń hydrotechnicznych, takich jak jazy, przepusty i mnichy, które pozwalają lepiej korzystać z potencjału obszaru.

Barycz jako rzeka charakteryzująca się najmniejszym spadkiem spośród polskich rzek (co zawdzięcza płaskiemu ukształtowaniu dna doliny), wynoszącym



Dolina Baryczy – raj dla ptaków i birdwatcherów

0,035 procenta, leniwie toczy swe wody, sącząc je od okolic Ostrowa Wielkopolskiego, by po 133 kilometrach połączyć się z Odrą w okolicach Wyszanowa.

Cystersom zawdzięczamy też sprowadzenie do Polski nieznanego tu wcześniej karpia. Dziś Stawy Milickie są jednym z największych ośrodków hodowli tej ryby w Europie. Jej poświęcone są rozłożone na trzy miesiące Dni Karpia w Dolinie Baryczy. Podczas nich odbywają się różnorodne wydarzenia przybliżające walory tej części Polski, uczty pod hasłem „Ryba do syta”, spływy kajakowe, rajdy rowerowe czy wycieczki edukacyjne.

Skrzydlate uniesienia

Zadaniem Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy jest zabezpieczenie przede wszystkim siedlisk związanych z wodą (doliny rzecznej i stawów hodowlanych). Jest on objęty konwencją ramsarską, zapewniającą ochronę najcenniejszym obszarom wodno-błotnym. Należy także do prowadzonego przez Organizację Narodów Zjednoczonych programu Living Lakes (Żyjące Jeziora), w ramach którego powstała sieć unikatowych śródlądowych zbiorników wodnych.

Stawy Milickie od lat przyciągają przede wszystkich miłośników ptaków. Podczas naszego wrześniowego, zbyt krótkiego, spaceru mamy szczęście głównie do



Połowy karpia czas zacząć

dziesiątek czapli białych siedzących i kołyszących się na gałęziach drzew. A to przecież ułamek w ogromnej różnorodności gatunków ornitofauny, których stwierdzono tu około 300, z czego ponad połowa to ptaki lęgowe. Poruszające są relacje przyrodników czy koneserów niezapomnianych chwil w naturze, opisujących wiosenne albo jesienne mgliste poranki, podczas których tysiące gęsi – gęgaw, zbożowych czy białoczelnych – wznoszą się z noclegowiska do nieba. Huk z tysięcy skrzydeł połączony z gęganiem to solidny akord na początek dnia. Najwyższy czas własną kolekcję wyjątkowych wrażeń przeżytych w naturze uzupełnić o właśnie takie! Tym bar-

dziej że jest to osiągalne w naszym regionie. W Dolinie Baryczy jest także szansa na spotkanie z błotniakami stawowymi, wąsatkami, łabędziami krzykliwymi, perkozami dwuczubym i rdzawoszyim, głowienkami, krakwami czy rybitwami czarną i rzeczną.

Nie tylko ptaki

Dolina Baryczy jest największym parkiem krajobrazowym w Polsce. Lwia jego część znajduje się w województwie dolnośląskim, a wschodni fragment – w południowej części wielkopolskiego.

W leżącej w naszym regionie części, w pobliżu Odolanowa i Antonina (więcej o walorach tej drugiej miejscowości można przeczytać w opowieści „Krótka historia o pałacyku myśliwskim” – s. 136), na birdwatcherów czeka wieża obserwacyjna w pobliżu Stawów Przygodzickich, a dokładniej – nad stawem Trzcielina Nowy. Walorem Antonina jest też ponad 220 pomnikowych dębów, które są drugim – po dębach rogańskich – skupiskiem drzew tego gatunku w Europie.

W pobliżu Antonina znajduje się także rezerwat Wydymacz (jedyny w części wielkopolskiej PK Dolina Baryczy), który chroni między innymi łągi jesionowo-olszowy i wiązowo-jesionowy, ols porzeczkowy, acydofilną dąbrowę trzcinnikową oraz pas szuwarów wokół stawu Wydymacz. Stwierdzono tu występowanie siedmiu gatunków roślin chronionych. Są wśród nich włosienicznik skąpopręcikowy (*Batrachium trichophyllum*), nadwodnik naprzeciwlistny (*Elatine hydropiper*) czy jeziorza mniejsza (*Najas minor*).

Barycz pomnaża bogactwo natury, tocząc spokojnie swe wody. Zanurz się w jej gościnność i jak najczęściej tu wracaj!



Natura twórcą

W objęciach Warty i Lutyni



Był rok 1907, gdy Fritz Pfuhl, nauczyciel gimnazjum św. Marii Magdaleny i Akademii Królewskiej w Poznaniu oraz członek Niemieckiej Akademii Przyrodników Leopoldina, dopiął swego i doprowadził do utworzenia pierwszego i przez wiele lat jedyne w Wielkopolsce rezerwatu przyrody.

Orędownikiem jego powstania był również wybitny przyrodnik i pionier ochrony przyrody nie tylko w Prusach, ale i w całej Europie – Hugo Conwentz, znany między innymi z obrony przed wyrębem Puszczy Białowieskiej podczas I wojny światowej. Może również z tego powodu o lesie w widłach Warty i Lutyni mawia się czasem „wielkopolska Białowieża”. Jednak podstawowy powód jest inny. Ten obszar to jeden z największych i najcenniejszych lasów łęgowych w Europie. Jego istnienie zawdzięczamy przyrodzie, ale również przyrodnikom, którzy od 150 lat walczą o jego przetrwanie.



Nad Wartą

Między wałami

Właśnie półtora wieku temu Prusacy po zwycięstwie w wojnie z Francją i otrzymaniu gigantycznych reparacji przystąpili do regulacji Warty, która dotąd meandrowała, rozszczepiając liczne koryta i starorzecza, i gubiąc w ten sposób flisaków. Na przepłynięcie kilkukilometrowego dzisiaj odcinka pomiędzy Pogorzelicą a Dębniem potrzebowali oni niegdyś całego dnia. Rozlewająca się po pradolinie Warta – leniwa, kapryśna, niemal w miejscu stojąca – wymagała od nich wiele wysiłku. Po wyprostowaniu koryta Warty w 1871 roku odległość między ujściem Proсны a Śremem skróciła się aż o 25 kilometrów, w związku z czym zwiększył się również spadek rzeki. To, co dobre dla żeglugi, zwykle jednak nie jest najlepsze dla natury.

W ramach projektu wybudowano wał na północnym brzegu Warty, odcinając w ten sposób od okresowych zalewów północną część lasu. Na szczęście południowy wał przeciwpowodziowy powstał dopiero po II wojnie światowej i usypano go na południowym brzegu Lutyni, pozostawiając niemal całe uroczysko na terenie zalewowym. Choć początkowo plan był inny. Jeszcze przed



Warta – im więcej zakoli, tym lepiej



W rezerwacie Czeszewski Las

II wojną światową chciano zbudować wał bezpośrednio na lewym brzegu Warty, co groziło wycinką nadbrzeżnych drzew i skażałoby czeszewskie łęgi na zagładę. Wybitny ornitolog Jan Sokołowski pisał na łamach czasopisma „Ochrona Przyrody” w roku 1936, protestując przeciw tym planom: „Przeciętnie co trzy lata Warta występuje z brzegów i zalewa lasy, pozostawiając po powodzi warstwę żyznego mułu. Na tym aluwium rozwija się nadzwyczaj bujna roślinność, tworząc typowy las zalewowy. Wszędzie widać, że las żyje i rozrasta się tylko dzięki tym okresowym zalewom”. Bez regularnego zalewania w lasach łęgowych zachodzi zjawisko grądowienia, czyli zmiany składu runa, a następnie drzewostanu, wynikające z naruszenia stosunków wodnych i wysychania starorzeczy. Odcięty od rzeki łęg nie jest w stanie nim pozostać. Na szczęście malowniczy opis Jana Sokołowskiego sprzed 85 lat wciąż jest aktualny: „Las na terenie zalewowym sieje się sam, toteż podszycie jest nadzwyczaj bujne, a kwiaty i zioła leśne, jak np. białe storczyki podkolany wydają bajkową woń. Szczególnie malownicze grupy tworzą stare, wypróchniałe i częściowo połamane topole i wierzby, nigdy nie obcinane i nie krępowane w rozroście, pokryte delikatnym srebrnym ulistnieniem, są jak gdyby ucieleśnionymi obrazami

Corota. Urok lasów czeszewskich potęgują przepiękne, stare koryta rzeczne. Co chwila otwiera się las, przecięty długą, skośną polaną, zieloną jak szmaragd. Właśnie stado jeleni przebiega polanę, kryjąc się pod ścianę drzew”.

Za tamą

Kolejne zagrożenie dla czeszewskich łągów nadeszło wraz z budową zapory na Warcie. Wypełniany od 1986 roku zbiornik Jeziorsko zakłócił rytm przyrody, ograniczając wylewy i obniżając poziom wód na terenie uroczyska Warta. Jeszcze raz okazało się, że to, co dobre dla człowieka – w tym wypadku ograniczenie ryzyka powodzi – bywa złe dla przyrody. Starorzecza zaczęły się kurczyć, a charakterystyczne dla grądów, dotychczas domieszkowe, graby, lipy i klony zaczęły wypierać typowe dla łągów wiązy, jesiony czy topole. Bez interwencji człowieka jeden z najcenniejszych lasów łągowych Europy byłby dzisiaj pięknym, lecz jednak niewyróżniającym się spośród wielu podobnych do siebie grądów. By tak się nie stało, od 2004 roku na terenie Żerkowsko-Czeszewskiego PK tworzony jest specjalny system hydrotechniczny, którego głównym elementem są progi na Lutyni i jednokierunkowe zastawki, które zatrzymują wodę w starorzeczach i zapobiegają szybkiemu opadaniu jej po okresowych wylewach Warty i Lutyni.

Większy, coraz większy

Rezerwat stworzony przez Niemców (jedyne, jaki przed I wojną światową utworzono w Wielkopolsce) miał powierzchnię zaledwie 0,75 hektara i jeśli wierzyć polskim przyrodnikom, takim jak prof. Adam Wodziczko, teren ochronny nie został wybrany zbyt szczęśliwie. W dodatku po I wojnie światowej mocno go przetrzebiono. Nowy leśniczy, nie będąc poinformowanym o istnieniu na jego terenie rezerwatu, doprowadził do wyrąbania największych okazów drzew, zwłaszcza dębów. Wycinka dotknęła zresztą terenu całego uroczyska. Na szczęście najcenniejsze okazy dębów znajdowały się i do dziś rosną poza obrębem tego kieszonkowego rezerwatu, przede wszystkim w okolicy przyczółka promowego naprzeciwko Czeszewa. W 1959 roku utworzone zostały na terenie uroczyska dwa rezerwaty: Lutynia i Czeszewo, połączone w 2004 roku w jeden Czeszewski Las. Obszar objęty ochroną wciąż się powiększa. Po ostatnim rozszerzeniu granic w 2021 roku Czeszewski Las osiągnął rozmiar 500 hektarów, czyli jest prawie 700 razy większy niż rezerwat będący realizacją pomysłu Fritza Pfuhla.

Na szlaku konwaliowym



Mimo że w herbie Przemęckiego Parku Krajobrazowego widnieje perkoz dwuczuby, to jednak jego najbardziej rozpoznawalnym symbolem jest niewątpliwie konwalia majowa. I to nie taka zwyczajna. Ta rosnąca na wyspie na Jeziorze Radomierskim nie jest, jak inne, po prostu biała. Ma delikatnie różowe żyłkowanie płatków kwiatów i także nasady pręcików.

Delikatna i silna

Wyspa Konwaliowa od XIII wieku należała do cystersów z pobliskiego Przemętu. Nie można więc wykluczyć, że to im zawdzięczamy tę przyrodniczą osobliwość. Konwalia majowa ma właściwości lecznicze, często też przez swoje podobieństwo do lilii wodnej kojarzona była z symbolem czystości. Z tego też względu pojawiała się na ołtarzach i obrazach maryjnych. Lud nazywał ją „łzami Naszej Pani”, a mnisi „drabiną do nieba”. Jako symbol niewinności, a także z powodu swego upojnego zapachu wykorzystywana jest dziś w bukietach ślubnych. Szły z nią do ołtarza między innymi sławne aktorki, jak Grace Kelly, Audrey Hepburn oraz Kate Middleton, czyli księżna Katarzyna. Z drugiej strony, konwalia jest też rośliną silnie trującą, groźne są zwłaszcza jej apetycznie wyglądające owoce. Olejek z jej kwiatów uznawany jest za afrodyzjak i wykorzystuje się go w perfumach. To znaczne przeciwieństwo lilii, a przynajmniej niektórych jej gatunków, których korzenie i nasiona są jadalne, a w przeszłości uważano nawet, że ich spożywanie obniża popęd seksualny. Z tego powodu zalecano je... mnichom. O symbolicznym powinowactwie obu roślin przypominają też nazwy konwalii – dawna łacińska *Lilium convallium* i współczesna angielska *lily of the valley*.

Kajakowa pętla

Na Wyspę Konwaliową wejść nie można. Mimo że jeszcze w latach 50. ubiegłego wieku odbywały się na niej zabawy i festyny ludowe, dziś cała wyspa jest krajobrazowym rezerwatem przyrody, który możemy podziwiać tylko z powietrza lub – co znacznie łatwiejsze – z wody. Sposobem na to jest wycieczka Konwaliowym Szlakiem Kajakowym, który ma około 37 kilometrów długości i łączy niemal wszystkie jeziora w Przemęckim Parku Krajobrazowym. Maj jest wyjątkowo



Konwalia majowa

dobrym czasem na jego przepłynięcie nie tylko ze względu na kwitnące biało-różowe kwiaty na Wyspie Konwaliowej, ale też dlatego, że w późniejszych miesiącach poziom wody w kanale łączącym jeziora Dominickie z Przemęckim zwykle spada tak mocno, że pokonanie tej części szlaku jest niemożliwe.

Jeziora na terenie parku – pamiątka po ostatnim zlodowaceniu – położone są w trzech rynnach, które niegdyś, jak pokazują historyczne przekazy i mapy, tworzyły znacznie większe akweny niż dziś. Być może nawet – jak pisał Jan Długosz – było w tym miejscu jedno, lecz „niezmierne” jezioro Dominice, ciągnące się od Brenna aż po Przemęt. Pamięć o „niezmiernych” wodach zachowała się też w podaniach

ludowych. Według jednego z nich Jezioro Trzebidzkie było niegdyś połączone z Przemęckim. Na pewno poziom wody w jeziorach był wyższy, a dziś nie różni się zbytnio pomiędzy tymi akwenami, które – dzięki temu oraz połączeniu ich kanałami – można opłynąć kajakiem, zataczając niemal pełną pętlę. Aby ją domknąć, należy przewieźć kajak na krótkim odcinku pomiędzy jeziorami Dominickim i Brzeźnie lub Zapowiednik. Spośród jezior przemęckich najwyżżej znajduje się leżący pomiędzy nimi niewielki Maszynek, najniżej zaś – Przemęckie



Małe. Jeziora są zwykle nie tylko płytkie, ale również nieduże. Wyróżnia się spośród nich największe i najgłębsze Jezioro Dominickie, którego objętość wynosi połowę objętości wszystkich akwenów na terenie parku.

Nie masz rzeki...

Wycieczka kajakowa po jeziorach przemeckich mogła być łatwiejsza, zanim osuszono Wielki Łęg Obrzański, rozciągający się, w przybliżeniu, pomiędzy Kościanem a Przemętą. Przez ten rozległy i niemal idealnie płaski teren płynęła do początku XIX wieku Obra, dziś uwięziona w trzech kanałach. „Nie masz rzeki, któraby wylewami swemi tyle czyniła szkody kraiovi naszemu, ile czyni Obra w Departamencie Poznańskim” – pisał w 1811 roku Wawrzyniec Surowiecki w dziele „O Rzekach Y Spławach Kraiów Xięstwa Warszawskiego”. „Nayżyzniejsze grunta, naypiękniejsze łęgi, które gdzieindziéy przyjemném tylko drażnieniem łechcą oko ludzkie, tu nie wystawiaią, jak tylko smutny obraz ponurości i spustoszenia” – grzmiał autor. Minimalny spadek i brak wyraź-



Wyspa Konwaliowa

nego koryta sprawiały, że Obra rozlewała się samopas po mokradłach pośród charakterystycznych, płaskich, polodowcowych ostańców, tworząc okresowo wielkie rozlewiska. Nie były to zresztą aż tak efemeryczne twory, skoro rysowano je na mapach. Największe z nich, rozciągające się na długości około 12 kilometrów powyżej Przemętu, miało powierzchnię większą niż dzisiejsze Śniardwy! Człowiek z rozlewisk tych nie miał jednak wielkiego pożytku, nic zatem dziwnego, że już od średniowiecza przymierzano się do ich osuszenia. Zadaniu temu przez setki lat nie dawali rady ani sprowadzeni do Kaszczoru, a następnie Wielenia i Przemętu cystersi, ani właściciele ziemscy. Zatory tamujące odpływ wody usunęli dopiero Prusacy. Oni też zbudowali system kanałów odwadniających i zamienili tysiące hektarów mokradeł w niezwykle żyzne łąki. Inwestycja zwróciła się podobno już po roku. Poziom wody opadł wówczas również w jeziorach przemęckich. Zmniejszyło się na przykład i podzieliło jezioro Lgińsko i inne w zlewni Młynówki Kaszczorskiej, osuszone zostały mokradła w okolicach Brenna, Miastka i Zaborówca.

W krainie raka rzecznego



Gdy przekraczam Kamionkę kładką za leśniczówką Papiernia, moją uwagę przykuwa jej dno usiane licznymi, zróżnicowanymi pod względem wielkości kamieniami – tak charakterystyczny element górskich potoków. A przecież jesteśmy na wielkopolskiej nizinie.

Góralka na nizinie

Bohaterka naszej opowieści – rzeka Kamionka – w granicach Parku Krajobrazowego Dolina Kamionki, leżącego w zachodniej części województwa wielkopolskiego, płynie między Lewicami a Kamionną, na odcinku o długości 14,2 kilometra. Swoją początek bierze w okolicach Lewic, gdzie zbiegają się ciekły odprowadzające wodę z podmokłych łąk. Po 21 kilometrach, przed Międzychodem, jako lewy dopływ Warty, królowej wielkopolskich rzek, łączy się z jej nurtem. Dolina znajduje się na terenie Pojezierza Międzychodzko-Sierakowskiego, którego cechą charakterystyczną jest dobrze zachowana rzeźba polodowcowa.



Rak szlachetny



Rzeka Kamionka

Na czym polega osobliwość tej nietypowej jak na warunki nizinne rzeki? Przede wszystkim w górnym odcinku ma bardzo szybki nurt (o średnim przepływie 140 l/s) i kamieniste dno, typowe dla rzek górskich. Z kolei odcięcie od otaczającego środowiska ocaliło jej wyjątkowy system hydrologiczny i związany z nim ekosystem. Dzięki temu, płynąc w głęboko wciętej dolinie odizolowanej od okolicznych pól, ma niezwykle czystą wodę – zaliczaną do klasy I.

Niejedno źródło

By trochę poznać Kamionkę, kierujemy swe kroki na ścieżkę edukacyjną rozpoczynającą się przy Centrum Edukacji Regionalnej i Przyrodniczej w Mniszkach.

Do ciekawszych miejsc na trasie należy jedno z pięćdziesięciu znajdujących się w dolinie źródlisk. Są one pamiątką po okresie zlodowaceń, podczas którego przesuający się lądolód między innymi przemieszał pokłady gliny i żwirów, wydzielał wśród nich mocno rozbudowany system podziemnych zbiorników. To właśnie z nich woda wydostaje się na powierzchnię pod postacią źródlisk. Stro-
me zbocza doliny są przecinane przez liczne wcięcia wyżłobione przez wodę, która szczególnie intensywnie wypływa w czerwcu i lipcu. Wchłonięta podczas roztopów, przefiltrowana i wzbogacona mikroelementami, zasila podziemne



Stary las w okolicach Mniszek

zbiorniki, które wybijają właśnie w postaci źródlisk. Inną formą wypływania wód podziemnych są młaki – woda z nich podsiąka grunt i ma postać trudnych do przejścia bagnisk porośniętych bujną roślinnością.

W Dolinie Kamionki, na terenie objętym ochroną w ramach parku krajobrazowego, zachowało się kilka torfowisk (m.in. w okolicach leśniczówki Papiernia), które porasta gruby kobierzec torfowców. Dzięki specyficznej budowie ten gatunek mchów ma możliwość gromadzenia bardzo dużych ilości wody (więcej o znaczeniu torfowisk w opowieści „Łąki trzęślicowe – wspomnienie uroczysk i mokradeł” na s. 60).

Życie podwodne

Polodowcowe ślady zauważalne są także w faunie źródlisk znajdujących się w PK Dolina Kamionki. W wodzie o niskiej temperaturze (8-10 stopni Celsjusza) żyją reliktywne gatunki zimnolubne, przeniesione na nasz teren podczas ostatniego zlodowacenia. To na przykład kielże, drobne skorupiaki o długości 20 milimetrów, które można znaleźć pod kamieniami i na piaszczystym dnie strumieni wypływających ze źródlisk.

W wodach Kamionki w rejonie Mnichów stwierdzono obecność minoga strumieniowego (*Lampetra planeri*), rzadkiego prymitywnego kręgowca wodnego, który występuje wyłącznie w dobrze natlenionych i czystych wodach. Z kolei ryby reprezentują tutaj między innymi klenie (*Squalius cephalus*), żyjące w partiach rzeki ze spokojniejszym nurtem i z roślinnością, oraz kozy (*Cobitis taenia*), preferujące piaszczyste dno.

Największą chlubą Kamionki jest rak szlachetny (*Astacus astacus*), w przeszłości pospolity mieszkaniec polskich jezior, rzek czy strumieni. W konsekwencji rozwoju rolnictwa i przemysłu kurczą się jednak zasoby czystych wód, których gatunek ten potrzebuje do życia. Niszczycielską cegiełkę dokłada także dzuma racza, dziesiątkująca populację choroba przeniesiona w XIX wieku z Ameryki Północnej do Europy – wraz ze sprowadzeniem obcych geograficznie raków przegowanego i sygnałowego.

Rak szlachetny żył w Kamionce do lat 50. i 60. ubiegłego wieku, kiedy wskutek zanieczyszczenia wyginął. Na początku XXI stulecia podjęto, zakończoną sukcesem, próbę jego reintrodukcji.

W tych partiach rzeki, gdzie płynie ona łagodniej, rosną także rośliny podwodne. Szczególnie urokliwie wyglądają rdestnice przeszyte, których długie elastyczne wstęgi łodyg, o długości nawet sześciu metrów, falują w nurcie. Ozdobą są także o połowę krótsze rdestnice grzebieniaste o sznurach długich na trzy metry. Te ostatnie możemy zobaczyć także w jeziorach, gdzie są źródłem pokarmu dla niektórych ptaków wodnych.

Za każdym razem inaczej

Idąc po szlaku wyznaczonym tuż przy granicy rezerwatu florystycznego Dolina Kamionki, utworzonego w 2004 roku, oddaliśmy się nieco od geologicznych i hydrologicznych zagadnień, bo naszą uwagę przykuwa drzewostan z leciwymi okazami buków, dębów czy jaworów, rosnących na stromych zboczach. Na początku lipca, kiedy wybraliśmy się na wyprawę tutaj, w warstwie runa dominujący niecierpka drobnokwiatowego – mocno rozpowszechnionego gatunku inwazyjnej rośliny obcego pochodzenia.

Czuję niedosyt, bowiem za sprawą intensywnej już roślinności nie mieliśmy szans zobaczyć innych osobliwości, które stanowią o specyfice tego miejsca, jak na przykład kwitnących pełników europejskich czy buławników czerwonych. W przyrodę warto zanurzać się w różnych porach roku – dzięki temu zyskuje się pełniejszy jej obraz.

W pradolinach Warty



Wyznaczono nad nią dwa parki narodowe i osiem krajobrazowych, w tym cztery w Wielkopolsce. W hymnie narodowym obok Wisły tylko o niej śpiewamy. Jan Długosz też stawiał ją na podium rzek polskich, gdy pisał: „Trzecia Warta, co znaczy straż; nie przestając bowiem na jedném łozu, ale dzieląc się i rozchodząc na kilka, wodami szeroko rozlanemi niejako wartuje”.

W tym zdaniu zresztą streszcza prawdę o Warcie już nieco zapomnianą, bo dziś rzeka płynie niemal na całej długości jednym korytem, wysp nie oblewa i zamiast wód strzec, sama przez wały powodziowe jest pilnowana. Patrząc dziś na Wartę, widzimy ją zupełnie inną niż tę, którą oglądał najwybitniejszy polski kronikarz, a i on nie mógł poznać jej już takiej, jaką była za pierwszych Piastów.

Ujarzmianie złościcy

Jak zatem się zmieniła? Wydawać by się mogło, że skoro dziś tyle słyhać o ocieplaniu się klimatu i stepowieniu Polski, Warta – jak inne duże rzeki w kraju – musiała być w przeszłości znacznie większą i głębszą. Ale to nieprawda. Przeciwnie – jej poziom od X wieku podniósł się, i to znacznie, bo nawet o trzy metry. Jednak to wcale nie znaczy, że wtedy było jeszcze bardziej sucho niż dziś! Rzeki były płytsze nie dlatego, że w obiegu przyrody było mniej wody, lecz z powodu gromadzenia się jej w jeziorach, glebie, mokradłach, torfowiskach, bagnach. Jeszcze w XIV stuleciu zaledwie 18 procent powierzchni Wielkopolski było zajętych przez grunty orne. Resztę stanowiły wody, nieużytki, tereny podmokłe, a przede wszystkim lasy, z których woda spływa i odparowuje znacznie dłużej niż z pól uprawnych. Zmniejszanie się lesistości skutkowało obniżaniem poziomu wód gruntowych, rosnącym parowaniem oraz przyspieszaniem spływu wód powierzchniowych. To z kolei przekładało się na wzrost zagrożenia powodziowego. Bo choć powodzie zdarzały się i wcześniej, to do największych dochodziło od XVI do XIX wieku, kiedy to na przykład kilkakrotnie została zalana większa część Poznania wraz ze Starym Rynkiem. Odpowiedzią na coraz częściej powtarzające się wezbrania Warty była jej regulacja, która miała również drugi cel – poprawę żeglowności. Od XVIII wieku zintensyfikowano również – rozpoczęte już w średniowieczu przez cystersów – działania związa-

ne z osuszaniem mokradeł. Nowo pozyskane grunty przekształcano w bardzo wydajne łąki (co pozwalało na znaczny wzrost dochodów z hodowli zwierząt), a następnie w urodzajne pola uprawne. Gdyby nie te wszystkie działania, mielibyśmy dzisiaj Wartę płytszą, ale też dłuższą, bardziej leniwą i kapryśną, choć niestanowiącą dużego zagrożenia powodziowego. W wielu miejscach – jak we wczesnym średniowieczu – moglibyśmy znaleźć brody, którymi przeprawiali byśmy się konno bądź nawet pieszo.

Są też jednak rzeczy niezmiennie. Warta płynie charakterystycznym biegiem raz na północ, raz na zachód, już to korzystając z pradolin wyżłobionych przez gigantyczne rzeki epoki lodowcowej, już to przelamując się przez moreny. Na terenie Wielkopolski rzeka początkowo podąża ze wschodu na zachód Pradolina Warszawsko-Berlińska, następnie gwałtownie zakręca na północ i przez Poznański Przełom Warty kieruje się do Kotliny Gorzowskiej, będącej częścią Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej. Tam znowu obiera kierunek zachodni.



Warta w Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym



Kolejne oblicze Warty

Parki nad Wartą

Nad królową wielkopolskich rzek wyznaczono cztery parki krajobrazowe. Ona je łączy, nie w każdym z nich odgrywa jednak pierwszoplanową rolę. Można powiedzieć, że jej znaczenie maleje wraz z posuwaniem się z nurtem. Nadwarciański Park Krajobrazowy położony jest na terenie dawnego zaboru rosyjskiego. Nie został objęty zatem programem regulacji Warty przeprowadzonym w XIX-wiecznych Prusach. Tu rzeka decyduje niemal o każdym aspekcie natury. Wyjątkowość terenów należących do parków Żerkowsko-Czeszewskiego oraz Rogalińskiego również wynika z działalności Warty. W obu pozostawiła ona po sobie liczne starorzecza, nad którymi zachowały się rozległe łągi czeszewskie czy największe w Europie skupisko dębów w okolicy Rogalina. Najcenniejsze fragmenty nadwarciańskich łągów chronione są w rezerwach przyrody – Czeszewskim Lesie w pierwszym i Krajkowo w drugim ze wspomnianych parków. Sierakowski Park Krajobrazowy zabezpiecza już głównie krajobraz pojezierny – dwie krainy rozdzielone (a może raczej połączone?) największą rzeką regionu.

Warta, choć od tysiąca lat ujarzmiana przez człowieka, wciąż nadaje rytm terenom nad nią leżącym. Poważną przeszkodą dla jej działalności okazało się jednak otwarcie zbiornika Jeziorsko, który spłaszcza falę powodziową i ogranicza zalewanie nadwarciańskich teras. Równie rujnujący jest brak śnieżnych zim. Warta wypływa na terenie Wyżyny Krakowsko-Częstochowskiej, nie jest więc zasilana górkimi rzekami, a wezbrania wody mają przede wszystkim charakter roztopowy. Nie przypadkiem w przeszłości najczęściej powodzi występowało wczesną wiosną, w okolicach Wielkanocy, z rzadka natomiast latem po ulewnych deszczach. Gdy zimą śniegu jest mało lub, jak coraz częściej bywa, w zasadzie nie ma go wcale, zagrożenie powodziowe jest minimalne. Jednocześnie jednak sprzyja to „wysychaniu” Wielkopolski i zmianom w ekosystemach, polegającym na przykład na ograniczeniu liczebności ptactwa wodnego czy grądowieniu, wcześniej regularnie zalewanych, łągów i olsów. Dla przyrody bowiem korzystniejszy był czas, gdy – jak za Jana Długosza – Warta nie w „jednym łożu” płynęła, lecz strażowała wielu swoim korytom. Dziś sama potrzebuje straży i to nie tylko w postaci wałów, ale również czynnej ochrony ekosystemów.



Wykaszanie łąk nadwarciańskich

O największym jeziorze Wielkopolski



Jeśli z lotu ptaka spojrzymy na nie z północnego zachodu, przypomina otwartą księgę. Księga ta zapisywana jest od kilkunastu tysięcy lat, kiedy to w czasie ostatniego zlodowacenia lądolód wycofywał się z terenu Wielkopolski, zatrzymując się na krótko na pomorskiej granicy, by następnie oddalić się na północ.

Pamiętką po tym przystanku jest szeroka i głęboka Pradolina Toruńsko-Eberswaldzka, a także fakt, że w Wielkopolsce jezior jest mniej i są one zwykle niewielkie i płytsze niż na Pomorzu czy Mazurach. Jest tak dlatego, że Pojezierze Wielkopolskie jest o kilka tysięcy lat starsze, a wypełnianie osadem i powolne zanikanie zbiorników wodnych zaczyna się bezpośrednio po ich utworzeniu.



Fragment Jeziora Powidzkiego



Jezioro Powidzkie

Woda, która się waha

Jeszcze w późnym średniowieczu poziom wody w jeziorze był o dwa metry wyższy niż obecnie, co jednak nie jest aż tak wielką różnicą, zważywszy, że na przykład Gopło od tego czasu obniżyło się o ponad sześć metrów. Tak szybki spadek poziomu lustra wody był i jest spowodowany czynnikami naturalnymi i działalnością człowieka polegającą na zapoczątkowanych pod koniec XVIII wieku regulacjach rzek i osuszaniu terenów podmokłych. W ostatnich dekadach przyczyniły się też do tego odkrywkowe kopalnie węgla brunatnego. Te działania dotyczą Jezioro Powidzkie w relatywnie małym stopniu. Wahania poziomu wody nie mają zresztą charakteru liniowego. Może to zaskakiwać, ale 2000 lat temu był on w jeziorach Pojezierza Gnieźnieńskiego zbliżony do dzisiejszego, o czym świadczy chociażby los grodu w Biskupinie, opuszczonego z powodu podnoszącej się wody.

Największe jezioro Wielkopolski jest zatem dość odporne na długookresowe wahania poziomu lustra wody. Jak pisze dr Bogumił Nowak w monografii „Jezioro Powidzkie wczoraj i dziś”, wydanej w 2019 roku: „Potężna i głęboka misa Jeziora Powidzkiego oparła się procesom zaniku i długo jeszcze, z racji swojej wielkości, będzie się im opierać. Niemniej jednak systematycznie podlega przekształceniom, które sprawiają, że zarówno ona sama, jak i pobliskie tereny powoli zmieniają swój wygląd”. Kluczowe są więc w tym względzie rozmiary zbiornika, ale również to, że nie prze-



Świt na wodzie

plywa przez niego żadna duża rzeka, a jego zlewnia jest wyjątkowo mała. Te czynniki sprzyjają zarazem zachowaniu wysokiej czystości jeziora, które jest zaliczane do mezotroficznycch – o niewielkiej żyzności i niskim stężeniu substancji organicznych.

Podróż do przeszłości

Jezioro Powidzkie jest pierwszym, licząc od południa, w rynn timer powidzko-ostrowskiej, którą wypełniają też między innymi jeziora Budziszławskie i Wilczyńskie. Jego średnia głębokość wynosi około 11,5 metra, a maksymalna – 47 metrów. Powierzchnia akwenu wciąż się zmniejsza i według najnowszych danych wynosi około 1014 hektarów, a okresowo spada nawet poniżej tysiąca. Mimo że od późnego średniowiecza poziom lustra wody obniżył się zaledwie o dwa metry, powierzchnia akwenu zmniejszyła się prawie o 40 procent. Gdybyśmy jednak 500 lat temu znaleźli się na jego południowym brzegu, nie zauważylibyśmy wielkiej różnicy w porównaniu z tym, jak wygląda on dziś. Oczywiście obecne plaże czy promenada między Powidzem a Przybrodzinem znalazłyby się pod wodą, ale jezioro było w tym miejscu wówczas tylko nieco szersze i dłuższe. A co zobaczylibyśmy, gdybyśmy – korzystając z wehikułu czasu – wybrali się w rejs po jego północnej części?

Ujrzelibyśmy zupełnie inne jezioro. Moglibyśmy na przykład opłynąć długą na trzy i pół kilometra wyspę ze wsią Ostrowo, która – gdyby zachowała się do czasów współczesnych – byłaby największą wyspą śródlądową w Polsce. Płynąc dalej, dotarlibyśmy do długiej i wąskiej zatoki, kończącej się tam, gdzie dziś znajduje się zarastające Jezioro Smolnickie, albo do drugiej, jeszcze dłuższej, która zamyka się kilka kilometrów za Anastazewem, gdyż w tamtym okresie Jezioro Budziławskie było najprawdopodobniej odnogą Powidzkiego.

Raj nieutracony

Dziś taki rejs nie jest możliwy, jednak to nie przeszkadza tysiącom turystów co roku odwiedzać położonych na brzegach jeziora letniskowych miejscowości – Powidza, Przybrodzina czy Giewartowa. Szczególną popularnością cieszy się ono wśród żeglarzy, a zwłaszcza szukających tu dobrego wiatru windsurferów. Nad akwenem ulokowało się również kilka ośrodków nurkowania. Wielkość, ale również czystość jeziora predysponuje je do tego typu aktywności. Nurkowie mogą obserwować z bliska niezwykle łąki ramienicowe, będące przyrodniczym znakiem rozpoznawczym Jeziora Powidzkiego, jak również inny jego symbol – sieje i sielawy (więcej na ten temat w opowieści „Podwodne królestwo łąk ramienicowych” – s. 64). Temperatura wody w jeziorze średnio przez 58 dni w roku przekracza 20 stopni Celsjusza, a w związku z ocieplaniem się klimatu takich dni wciąż przybywa. To sprawia, że doskonałe warunki do wypoczynku znajdują tu również amatorzy kąpieli. Niestety, turystyczna atrakcyjność jeziora ma też swoje negatywne strony. Usypywanie plaż czy budowa wspomnianej promenady przyczyniły się do zmniejszenia rozmiaru akwenu, a jego brzegi są zajmowane przez ośrodki wypoczynkowe oraz zagospodarowywane przez osoby prywatne. Ogranicza to dostęp do zbiornika i stanowi zagrożenie dla pasa szuwarów odgrywającego kluczową rolę w utrzymaniu czystości wód. Taką sytuację możemy zaobserwować chociażby między Giewartowem a Kosewem, gdzie na odcinku około trzech kilometrów cały brzeg zajęty jest przez zabudowę letniskową.

Jednak do tej pory Jezioro Powidzkie całkiem dobrze radzi sobie z presją człowieka. Poza sezonem turystycznym może się pochwalić wodą I klasy czystości, której przezroczystość wynosi nawet cztery metry. Z tego punktu widzenia cieszyć się chyba należy, że jest ono wciąż nieodkryte, zwłaszcza przez mieszkańców dalszych zakątków Polski, którzy nawet nie domyślają się, jak przyjemny i wartościowy może być wypoczynek nad największym jeziorem Wielkopolski.

O chalińskich jarach



Gdy staję na krawędzi rynny polodowcowej, już wiem, że do zakochania jeden krok. Przed sobą widzę korony ogromnych buków. W przerwach między drzewami dostrzegam w głębi, dopiero zazieleniające się, szczytowe partie olsz rosnących nad brzegiem jeziora. Jakie tajemnice zgłębię, podążając ostro biegnącą w dół ścieżką?

Na razie uwagę skupiam na majestatycznych bukach. Kolor ich dziewiczej zieleni rokrocznie wywołuje we mnie radość i nienasycenie. Nie mniejszy podziw budzą korzenie chroniące zbocze przed erozją, która w tak ukształtowanym terenie postępuje nieubłaganie. Mimo że nachylenie jest bardzo ostre, na niektórych pniach widać ślady działań bobrów. Zaskoczyło mnie, że podejmują one aż tak „wysokogórskie” wyzwania. Łany marzanki wonnej okrywają zbocza zielono-białym dywanem. Urokliwe są zarówno ich delikatne kwiaty, jak i kilka pięter liści w postaci kryzowatych okółków.

W rynnice

Geneza miejsca, które poznajemy jako Jary koło Chalina, sięga ostatniego zlodowacenia przypadającego na okres holocenu. Między innymi obszar dzisiejszej Wielkopolski przemierzał wówczas kolos ustępującego lądolodu skandynawskiego. Topiąc się i rozpadając pod spodem, wycinał w podłożu długie i głębokie tunele – rynny. Gdy bryły lodu wypełniające ich najgłębsze miejsca stopiły się, powstały tam jeziora. Taki rodowód mają właśnie jeziora Chalinek i Ławickie. W przeszłości akweny te stanowiły jeden zbiornik. W konsekwencji obniżania się poziomu wody i wypełniania rynny przede wszystkim organicznymi osadami zostały jednak oddzielone, choć nadal łączy je kanał.

Krawędź rynny lodowcowej, przy której zaczyna się najciekawsza część naszej wędrówki – także w głąb geologicznej historii tego terenu – znajduje się na wysokości 60 metrów n.p.m. W ciągu paru chwil pokonujemy w pionie 25 metrów, by znaleźć się przy łągu oddzielającym nas od zarastającego Chalinka (lustro jeziora jest dzisiaj na wysokości 35,3 m n.p.m., jego głębokość sięga 6 m). Prawie ze wszystkich stron otaczają go lasy olszowe oraz pokłady torfów, głównie pochodzenia turzycowego i olszynowego, o zróżnicowanej głębokości.



Buczyny w Jarach pod Chalinem

W przeszłości od południowo-zachodniej strony jeziora rozciągały się łąki, które wskutek zaprzestania koszenia także zarosły olszą. Brzegowe partie grzęzawiska zasłaniane są przez między innymi splecione z pokrzywami przytulie. Widok tych ostatnich zwykle przypomina mi wierzenia ludowe, wedle których rośliny te miały chronić przed porwaniem przez utopca.

Natura rzeźbiarzem

Wypatrując znaków ścieżki dydaktycznej, kierujemy się na południe. W procesie żłobienia rynny wody z topiącego się lądolodu, płynące pod znacznym ciśnieniem, przecinały także warstwy wodonośne. W ten sposób powstały liczne źródła, które są zalążkiem wartkich strumyków. Pokonujemy jeden z nich. Ma tylko kilka centymetrów głębokości, a jego brzegi zarastają krzewami dzikich porzeczek. Przez przejrzystą wodę, która za chwilę wpłynie do Chalinka, widać żwirowo-piaskowe dno usiane większymi kamieniami.

W tym rządzonym – zdawałoby się – wyłącznie przez siły natury jarze zaskakuje nas widok ruin młyna wodnego, którego mury wzniesiono z ciosanych gładów



Pozostałości młyna w Jarach pod Chalinem

narzutowych. Młyńskie koło obracały wody płynące ze źródełk znajdujących się w zboczu rynny. W czasach, gdy w miejscu tym gospodarzyli ludzie, znajdowały się tu także stawy rybne.

I znów idziemy suchą stopą, osłonięci parasolem koron drzew. Majestatyczne buki cieszą się naszą największą atencją.

Na trasie mijamy kilka rozcięć erozyjnych. W jednym z nich znajduje się polna droga prowadząca do Chalina. Prawdopodobnie w przeszłości jeździły tędy wozy, którymi dostarczano zboże do młyna. Aż chciałoby się zobaczyć to miejsce w animacji pokazującej pracę młynarza i rolników, mieszkających i pracujących w tej okolicy.

Jesteśmy przy wylocie największego i najciekawszego spośród tutejszych jarów. Rozrastające się tu krzewy zasłaniają nieco stożki napływowe przypominające kształtem odwrócony wachlarz. Przemiana goni przemianę. Wtórne rozcięcia, spowodowane przez okresowo płynące wody, zniekształciły sylwetę jaru. W rozcięciu erozyjnym przeplatają się – niczym w cieście – pasma jasnych i ciemnych warstw zróżnicowanego profilu.

Oprócz korzeni drzew, które jak żyłaste i spracowane dłonie starają się powstrzymać nieustannie postępującą erozję, ważną rolę odgrywają także pozor-

nie delikatne i bezbronne mszaki. Pokrywając powierzchnię ziemi zwartym ko-
biercem, po którym sączy się woda, również one zabezpieczają podłoże przed
wypłukiwaniem i wywiewaniem drobin gruntu.

Powrót do teraźniejszości

Dzisiejszą lekcję geologii kończymy wyjściem na wysoczyznę moreny dennej,
która w tym miejscu osiąga wysokość 90 metrów n.p.m. Od dna rynny trzeba po-
konać w górę 25 metrów. Budulcem moreny jest glina zwałowa, będąca miesza-
niną cząstek ilastych, pylastych, piaszczystych i żwirowych z tkwiącymi w niej
jak rodzyнки kamieniami i glazami. W maju okoliczne pola tworzą zielono-żółtą
mozaikę. Kwitnący rzepak i stare jabłonie niepostrzeżenie odrywają nas od odle-
głej przeszłości i przenoszą do „tu i teraz”.



Jesienne buczyny

Rozdział IV



Dziedzictwo kulturowe



Pomnik Historii w Rogalinie



Śród 114 Pomników Historii – zabytków o nadzwyczajnej randze i wyjątkowym znaczeniu dla kultury polskiej – trzy znajdują się na terenie wielkopolskich parków krajobrazowych. Jednym z nich jest zespół pałacowo-parkowy z obszarem dawnego majątku w Rogalinie – rezydencja rodu Raczyńskich.

Pomiędzy *cour d'honneur*, czyli dziedzińcem honorowym, a *jardin à la française*, czyli ogrodem francuskim, wybudował w latach 1770-1776 generał Kazimierz Raczyński herbu Nałęcz, pisarz wielki koronny, znawca i koneser architektury, barokowy pałac w duchu *entre cour et jardin* (z francuskiego: między dziedzińcem a ogrodem), będący inspiracją i wzorem dla innych wielkopolskich rezydencji. Sam twórca Rogalina wzorem jednak nie był. Jako stronnik Rosji brał od niej pie-



Pałac w Rogalinie

niądze, walnie przyczynił się do I rozbioru Polski, przystąpił do konfederacji targowickiej, a tytuł hrabiowski otrzymał już jako poddany króla Prus. W pewnym uproszczeniu można jednak rzec, że zbudował on za carskie pieniądze ośrodek polskości w Prusach. Grzechy antenata odkupili jego potomkowie, którzy gospodarowali w rogałińskim majątku do 1939 roku, przebudowywali i upiększali pałac oraz park, ale również wiele dobrego czynili dla sprawy polskiej.

250 lat tradycji

Mimo że pałac i jego otoczenie niemal od chwili powstania były kilka razy przebudowywane, nie straciły swego charakteru, delikatnie dostosowując się do zmieniających się mód, gustów i wymogów współczesności. Silniej zmienił się natomiast krajobraz najbliższej okolicy. Dawniej z usypanego w ogrodzie francuskim wzniesienia (parnasu) można było podziwiać nadwarciańskie łągi. Dziś przesłania je rozległy park angielski, płynnie przechodzący w las. Posiadłość jest znana także ze słynnych rogałińskich dębów (więcej na ten temat w opowieści „Lech, Czech i Rus – o dębach upamiętniających słowiańskich wojów” – s. 30). W pobliżu znajduje się Majątek Rogalin, prowadzący między innymi działalność rolniczą, wpisany w 2020 roku na listę Pomników Historii (więcej o nim w opowieści „Na wypasie” – s. 72).

Serię modernizacji pałacu zapoczątkował już sam jego fundator, przebudowując go w duchu klasycyzmu. Te przekształcenia, kontynuowane przez Filipa Raczyńskiego, zięcia Kazimierza, można uznać za najbardziej radykalne. Radykalny – przynajmniej z dzisiejszej perspektywy – był również sposób, w jaki Kazimierz Raczyński nie dopuścił do przejścia jego dóbr w ręce obcej rodziny. Nie miał syna, wydał więc swą młodszą córkę Michalinę za własnego kuzyna. Było to tylko jedno z licznych zdarzeń w dziejach rodu, które dziś byłyby obyczajowymi sensacjami godnymi pierwszych stron w plotkarskich magazynach.

Edward pierwszy

Filip Raczyński miał dwóch synów, którzy z biegiem lat bardzo się poróżnili, co zapoczątkowało podział na polską i niemiecką linię rodu. Młodszy z nich, Atanazy, został ordynatem w Obrzycku i pruskim dyplomata. Natomiast starszy Edward, który stał się kolejnym właścicielem majątku, rozpoczął sięgającą czasów współczesnych tradycję walki o Polskę. Nad szcęk oręża przedkładał jednak dyplomację i pracę organiczną. Był też postacią, która bardzo mocno wpłynęła na kształt i charakter Rogalina.

To jemu zawdzięczamy między innymi klasycystyczny kościół pw. św. Marcelina, będący wierną kopią rzymskiej świątyni z I wieku p.n.e., stojącej do dziś w prowansalskim Nîmes. W tej świątyni jest mauzoleum Raczyńskich, w którym znajdują się doczesne szczątki członków rodu. Sam fundator nie mógł tu jednak spocząć. Po samobójczej, makabrycznej śmierci (strzelił sobie w głowę z niewielkiej armaty) złożono go do grobowca w Zaniemyślu. Był oskarżany o malwersacje przy budowie Złotej Kaplicy w poznańskiej katedrze, do której ufundował posągi Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Edward Raczyński – koneser sztuki, bibliofil, założyciel Biblioteki Raczyńskich, fundator pierwszego w Poznaniu wodociągu – był zapewne posądzony niesłusznie, ale zawiść ludzka, jak powszechnie wiadomo, może zdziałać wiele zła.

Edwardowi Raczyńskiemu zawdzięczamy też pierwszą w Wielkopolsce ekspozycję muzealną w zaaranżowanej w specjalnie na ten cel zbrojowni. Oprócz broni gromadził w niej pamiątki narodowe. Zabytki zostały ukryte w 1939 roku i do dziś pozostają nieodnalezione, przez co – mimo wielu starań – wygląd tej sali nie wrócił do pierwotnej świetności. Inaczej stało się natomiast z innymi, pieczołowicie odrestaurowanymi pomieszczeniami pałacu, które dziś wyglądają tak, jakby Raczyńscy opuścili je tylko na chwilę i zaraz mieli do nich powrócić.

Droga do niepodległości

Kolejny właściciel Rogalina, Roger Maurycy, miał charakter nieco awanturniczy, walczył w powstaniu wielkopolskim 1848 roku i styczniowym, po którym już do ojczyzny nie wrócił. Jego wkładem w rogalińską architekturę krajobrazu jest ogromny, obsadzony lipowo-kasztanową aleją gazon założony przed wejściem głównym. Sam pałac za jego rządów nieco podupadł, a podniósł go następny właściciel, syn Rogera, Edward Aleksander.

Jemu zawdzięczamy gruntowną modernizację wnętrz pałacowych i reprezentacyjną, z wielką pieczołowitością odrestaurowaną w ostatnich latach, neorokokową bibliotekę, a także ekspozycję malarstwa. Kolekcja ta liczy dziś około 300 dzieł, wśród których wyjątkową pozycję zajmuje malarstwo polskie z przełomu XIX i XX wieku – między innymi dzieła Jana Matejki, Olgi Boznańskiej, Leona Wyczółkowskiego i Stanisława Wyspiańskiego. Przede wszystkim jednak Jacka Malczewskiego, z którym ówczesnego właściciela Rogalina łączyły więzy szczerzej przyjaźni. Rogalin był miejscem, gdzie tworzył on i inni artyści, nie tylko zresztą malarze, bo na przykład Henryk Sienkiewicz pracował tu nad „Quo Vadis”.

Po odzyskaniu niepodległości synowie Edwarda pełnili ważne funkcje w polskiej administracji i służbie dyplomatycznej. Roger Adam był między innymi wojewodą poznańskim, a następnie ambasadorem RP w Rumunii, zaś Edward Bernard posłem nadzwyczajnym RP przy Lidze Narodów i ambasadorem RP w Wielkiej Brytanii. Po wojnie Edward pozostał w Londynie, gdzie założył Instytut Polski, a w latach 1979-1986 piastował urząd Prezydenta RP na uchodźctwie. Był też ostatnim męskim przedstawicielem rodu i ostatnim dziedzicem Rogalina. Żył aż 102 lata. W 1991 roku, w setne urodziny, przekazał obrazy i inne dzieła sztuki oraz prawa własności do zespołu pałacowo-parkowego założonej przez siebie Fundacji im. Raczyńskich przy Muzeum Narodowym w Poznaniu. W ten oto sposób podsumował historię sześciu pokoleń tego zasłużonego rodu w jednym z najpiękniejszych i najważniejszych dla tożsamości jej mieszkańców miejsc Wielkopolski.



Wystawa malarstwa w Muzeum Pałac w Rogalinie, Oddział Muzeum Narodowego w Poznaniu

Edukacja wśród zabytków



Na hasło „Wychodzimy na dwór!” grupa dzieci z entuzjazmem zakłada kurtki, bo wie, że lekcja poza szkolną klasą będzie zupełnie inna. W ruch pójda oczywiście nogi, a oczy, uszy, ręce (niekiedy też nos) zaczną działać w zupełnie innym trybie niż w szkole. I wiedza niejako przy okazji sama wejdzie do głowy.

Kontakt bezpośredni

Większość z nas żyje dziś w oderwaniu od przyrody. W miarę naszego dorastania zwiększa się dysproporcja między liczbą godzin, jakie spędzamy przed ekranem laptopa, smartfona czy telewizora, a tymi, które przeznaczamy na przebywanie na łonie natury. Tymczasem bezpośredniego kontaktu z przyrodą, zanurzania się w niej, doświadczania jej wszystkimi zmysłami nie zastąpią nawet najznakomitsze filmy o tematyce przyrodniczej czy ogromne możliwości poznawcze, jakie dają nowoczesne technologie. Natura nie może być abstrakcją. Musi być namacalnym doświadczeniem, bo tylko wtedy przynosi odkrycie, zadziwienie i radość. Bezpośrednie obcowanie z nią silniej uwarściwia na potrzebę ochrony cennych siedlisk w celu zachowania konkretnych gatunków roślin i zwierząt, pokazuje łańcuch wzajemnych zależności. Dodatkowo jej odczuwanie i poznawanie, przebywanie w otwartej przestrzeni jest ważne dla zdrowia psycho-fizycznego.

W naszym regionie walory lokalnej przyrody przybliżają i popularyzują między innymi dwa ośrodki edukacji przyrodniczej należące do Zespołu Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego. Ich głównym zadaniem jest or-

”

Zespół deficytu natury opisuje cenę, jaką ludzkość płaci za odwrócenie się od przyrody: zmniejszone użycie zmysłów, niedobór uwagi, częstsze występowanie chorób fizycznych i psychicznych. Ten niedobór występuje u pojedynczych osób, rodzin i całych społeczności. Niedobór natury może zmieniać sposób zachowania ludzi w miastach, a także sposób planowania miast, gdyż długoterminowe badania wykazują związek między całkowitym brakiem lub niedostępnością parków i otwartych przestrzeni a wysoką przestępczością, depresją i innymi przypadłościami.

Richard Louv, „Ostatnie dziecko lasu”, Grupa Wydawnicza Relacja, Warszawa 2014, s. 54.

ganizowanie warsztatów, konferencji, zielonych szkół, wycieczek terenowych, spotkań czy wydarzeń edukacyjnych. To miejsca otwarte przede wszystkim dla grup dzieci, młodzieży i dorosłych, ale też turystów indywidualnych.

Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Chalinie

Zlokalizowany w zachodniej części województwa, w powiecie międzychodzkiem, około sześciu kilometrów na południowy zachód od Sierakowa, przybliża między innymi potencjał Sierakowskiego Parku Krajobrazowego, którego walory pokazaliśmy w kilku opowieściach we wcześniejszych rozdziałach. W odrestaurowanym XIX-wiecznym dworcu, przed którego wejściem rosną okazałe kasztanowce, znajdują się sale dydaktyczne z przestrzenią warsztatową, umożliwiającą przeprowadzenie zajęć edukacyjnych o przyrodzie, środowisku, ekologii czy w nurcie edukacji dla zrównoważonego rozwoju, kształtującej postawy prospołeczne i proekologiczne. W drugim budynku na gości czeka sala konferencyjno-konsumpcyjna na 50 osób oraz baza noclegowo-pobytowa z 41 miejscami (w pokojach od jedno- do czteroosobowych) i zaplecze kuchenne.



Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Chalinie

W pobliżu budynków OEP rozciąga się park przydworski i kilkunastu hektarowy teren pełniący funkcje dydaktyczno-rekreacyjne, gdzie znajdują się: miejsce na ognisko w wigwamie na 60 osób, boisko sportowe do piłki ręcznej i koszykówki, plac zabaw i hodowane są drzewa owocowe tradycyjnych odmian. Na zachód od ośrodka biegnie Jabłoniowy Szlak (więcej na ten temat w opowieści „O miłości Grafsztyńka do Pięknej z Rept” – s. 42), przy którym postawiono domki dla zapylaczy.

Przy ośrodku zaczyna się sześć ścieżek nordic walking (o różnej długości i skali trudności, o łącznej długości 50 km), trzy ścieżki dydaktyczne: w parku dworskim w Chalinie i nad Jeziorem Śremskim, nad Jeziorem Małym w Chalinie oraz Jary koło Chalina (te ostatnie przybliżyliśmy w opowieści „O chalińskich jarach” – s. 118).

Ośrodek Edukacji Przyrodniczej w Łądzie nad Wartą

Ośrodek umiejscowiony jest we wschodniej części naszego regionu, w powiecie słupeckim, około 25 kilometrów na zachód od Konina. Koncentruje uwagę na Nadwarciańskim Parku Krajobrazowym, którego wybrane atuty wyeksponowaliśmy w kilku opowieściach naszej publikacji. Urządzony został w zabytkowym, odrestaurowanym dworze szlacheckim z XIX wieku, ukrytym w dużym parku z kilkoma pomnikowymi okazami drzew. Blisko wejścia do budynku można obejrzeć tablice edukacyjne poświęcone drzewom, ptakom i owadom oraz dużą „ściankę-dom” dla zapylaczy.



Zajęcia edukacyjne w Ośrodku Edukacji Przyrodniczej w Łądzie nad Wartą



Opactwo pocysterskie w Łądzie nad Wartą

Wnętrze skrywa niezwykłą dioramę łąk trzęślicowych, w której odbiorcy mogą poczuć się niczym prawdziwi odkrywcy makroświata. Zapach, światło i dźwięki towarzyszące rytmom dnia i nocy nadwarciańskich łąk dodatkowo wprowadzą niejednego zwiedzającego w chwilę zachwytu i zadumy nad otaczającą ośrodek przyrodą. Na gości czekają tu sala konferencyjno-konsumpcyjna (ze sprzętem audiowizualnym) na 80 osób, sala warsztatowa na 30 osób oraz sala warsztatowa na 30 osób wyposażona w sprzęt optyczny (tj. świetlne mikroskopy dwuokularowe i stereoskopowe). Walorem placówki jest także punkt widokowy na dachu. Na zewnątrz można skorzystać z miejsca przygotowanego na zorganizowanie ogniska. Oprócz prowadzenia określonych zajęć edukacyjnych OEP w Łądzie uczestniczy w wielu cyklicznych wydarzeniach organizowanych przez Zespół Parków Krajobrazowych Województwa Wielkopolskiego, jak „oSowiwały tydzień” czy Tydzień Liczenia Motyli. Ofertę stacjonarną uzupełnia ścieżka historyczno-przyrodnicza „Łąd-Łądek”, quest „Z czajką po nadwarciańskim Łądzie”. Na gości czeka tu 50 miejsc noclegowych. Na terenie ośrodka co roku odbywa się największe wydarzenie historyczno-edukacyjne w powiecie słupeckim, czyli Festiwal Kultury Cysterskiej i Słowiańskiej.

Atrakcyjność pobytu w tym ośrodku podnosi bliskie sąsiedztwo z wpisanim na listę Pomników Historii pocysterskim zespołem klasztornym w Łądzie nad Wartą, którego historia sięga XII wieku.

Tam, gdzie Mieszko i Chrobry gród budowali



Prawdopodobnie to tu Mieszko I przyjął chrzest. Prawdopodobnie jest to miejsce, gdzie urodził się Bolesław Chrobry i gdzie został pochowany jego nieznany z imienia syn. Prawdopodobnie również tu książę Bolesław gościł cesarza Ottona III w roku 1000.

Prawdopodobnie – ale pewności raczej nigdy już mieć nie będziemy. Dzieje Ostrowa Lednickiego, tak jak cała historia wczesnopiastowskiej Polski, pełne są domysłów i znaków zapytania. Tak naprawdę nieznane jest nie tylko miejsce chrztu Mieszka I, ale także jego data – dzienna, a nawet roczna. Niemniej odkrycia, których dokonali archeolodzy w ostatnich latach na Ostrowie, znacznie pogłębiły naszą wiedzę o najwcześniejszych dziejach chrześcijańskiej Polski. Bo



Relikty palatium na Ostrowie Lednickim

ta wyspa jest jak otwarta księga, którą ktoś jednak kiedyś zapisał... Tyle że z powydzieranymi kartami i mocno wyblakłymi literami.

Podróż do przeszłości

Żeby dostać się na Ostrów Lednicki, w przeszłości zwany po prostu Ostrowem, trzeba wsiąść na prom. Ta krótka podróż ma w sobie coś niezwykłego. Odosobnione miejsce, niezamieszкана wysepka już przez ponad tysiąc lat jest ważnym elementem polskiej tożsamości, choć przez setki lat nieco zapomnianym.

Tysiąc lat temu nie było promu, ale były mosty. Wschodni, czyli gnieźnieński, miał 174 metry długości, a zachodni (poznański) aż 428 metrów, co daje mu miano najdłuższej przeprawy w średniowiecznej Polsce i jednej z najdłuższych we współczesnej mu Europie. Głębokość jeziora w śladzie mostu zachodniego sięga niemal 12 metrów, zatem wybudowanie go wymagało nie lada kunsztu. Oba mosty miały prawie pięć metrów szerokości i były wsparte na wiązkach drewnianych pali, których pozostałości w dnie jeziora wciąż jeszcze możemy zobaczyć, zwłaszcza na przyczółku zachodnim. Te pale wbito przed rokiem 966.



Lednica – widok z Ostrowa Lednickiego



Kościół z Wartkowic w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach

Wyrwane karty księgi

Kres mostom i świetności grodu na Lednicy w 1038 roku położył czeski książę Brzetysław I. On to najechał Wielkopolskę w czasie kryzysu, który ogarnął nasz kraj podczas rządów Mieszka II. Brzetysław po walce, która rozegrała się na mostach i w samym grodzie, spalił go, wywiózł łupy, wymordował mieszkańców. Wiemy to między innymi dzięki badaniom dna jeziora, podczas których wydobyto największy w dziejach polskiej archeologii zbiór militariów, na przykład kompletną, zwiniętą w rulon kolczugę, ważącą ponad osiem kilogramów.

Lednica nigdy potem już się nie podniosła, nigdy też nie otrzymała praw miejskich. Nie rezydował tu już ani król, ani książę, lecz kasztelan, ale i on wkrótce również się z Ostrowa wyprowadził. Jeden z niegdysiejszych grodów stołecznych dziś nie jest nawet wsią. To, co stanowiło przewagę Ostrowa, czyli obronne położenie, było jednocześnie hamulcem rozwoju. Długo jednak jego niewielki rozmiar i względna niedostępność chroniły ruiny wczesnośredniowiecznych budowli, stawianych przez Mieszka I i Bolesława Chrobrego. Sytuacja zmieniła się w czasie zaborów, gdy ówczesny właściciel wywiózł z Piasten Insel, jak wyspa nazywała się po niemiecku, około 400 wozów kamieni. Być może budulec pierw-

szej katedry Polan i palatium Mieszka I tkwi dziś w ścianach obór w okolicznych majątkach czy fundamentach dworów... A jeszcze w 1842 roku hrabia Edward Raczyński pisał we „Wspomnieniach Wielkopolski”: „Na téj kępie wznoszą się szańce, jakie podług dzisiejszego sposobu wojowania objąć by mogły 1500 ludzi załogi; wśród tych okopów, znajdują się ułamki murów, a mianowicie łuk z polnych kamieni w sześcian obrabianych stawiany”. Kilka bądź kilkanaście lat później owego łuku już nie było. A przecież Raczyński, gdy przybył na Lednicę, widział mury mocno już naruszone.

Wyspa pierwszych Piastów

Uratowanie pozostałości grodu zawdzięczamy Albinowi Węsierskiemu, właścicielowi majątku w pobliskim Zakrzewie, patriotcie, kolekcjonerowi „starożytności” i popularyzatorowi wiedzy o Lednicy, który kupił wyspę w 1856 roku. Wkrótce na Ostrowie rozpoczęły się badania wykopaliskowe, które prowadzone są do dziś. Teraz Ostrów Lednicki to rezerwat archeologiczny, prawdopodobnie najbardziej niezwykły w Polsce. W 1969 roku zostało utworzone muzeum, a w 1994 roku Ostrów – jako jeden z 15 pierwszych obiektów w Polsce – został uznany za Pomnik Historii. Celem jego ochrony jest, jak napisano w uzasadnieniu: „zachowanie, ze względu na unikatowe wartości historyczne, architektoniczne, materialne i niematerialne, najstarszego reliktu architektury Polan, miejsca chrztu w 966 r. i historycznego dokumentu początków polskiej cywilizacji chrześcijańskiej i zachodniej”.

Największym i najważniejszym zabytkiem na wyspie są ruiny pałacu książęcego z kaplicą, w której odkryto dwa baseny chrzcielne, co stało się przyczynkiem do wysunięcia hipotezy o tym, że właśnie tu odbył się chrzest Mieszka i jego dworu. W obrębie wysokich na sześć metrów obwałowań znajdują się również pozostałości niewielkiego kościoła, uważanego niekiedy za katedrę biskupa Jordana, choć raczej był to kościół dworski w czasowej siedzibie władcy wczesnośrednio-wiecznej Polski. Część ekspozycyjna muzeum jest obecnie co prawda bardzo skromna, jednak zmieni się to wkrótce – po ukończeniu budowy pawilonu ekspozycyjnego na terenie dawnego folwarku w Dziekanowicach. Ważnym uzupełnieniem, a jednocześnie oddziałem Muzeum Pierwszych Piastów na Lednicy jest park etnograficzny z jedną z największych w Polsce kolekcji budownictwa wiejskiego z XVII-XX wieku, prezentowaną na zwartym obszarze zrekonstruowanej wsi z drewnianym kościołem i odtworzonym dworem.

Krótką historia o pałacyku myśliwskim



Po II rozbiórce Polski część dóbr Radziwiłłów znalazła się w granicach Prus. Po kongresie wiedeńskim, kiedy do życia powołano Wielkie Księstwo Poznańskie, skoligacony z pruską rodziną królewską Antoni Henryk Radziwiłł został jego pierwszym, a zarazem ostatnim księciem-namiestnikiem (wielkim księciem był król Prus). Nie był wybitnym politykiem ani administratorem. Polacy mieli go za zbyt uległego i proniemieckiego, zaś Niemcy za nielojalnego i propolskiego.



W pałacu w Antoninie



Park w Antoninie

Z księcia artysta

Miał natomiast książę Radziwiłł duże ambicje artystyczne: komponował, śpiewał tenorem, grał na kilku instrumentach, występował w sztukach teatralnych, malował, rysował, wspierał twórców. Jednym słowem – był postacią w artystycznym świecie Prus ważną i znaną. Szczególne uznanie znajdował jako utalentowany wiolonczelista. Komponowali dla niego między innymi Ludwig van Beethoven, Felix Mendelssohn-Bartholdy oraz Fryderyk Chopin, z którym książę muzykował podczas jego wizyt w Antoninie. Sam Antoni był natomiast autorem pierwszej operowej adaptacji Goethowskiego „Fausta”. O dziele tym pozytywnie wypowiadał się i Chopin, i sam Johann Wolfgang von Goethe. Dziś jednak – mimo swojej popularności w XIX wieku zarówno w Niemczech, jak i w Polsce – jest zupełnie zapomniane. W tej sytuacji najznamienitszą pamiątką, jaką Antoni Henryk Radziwiłł po sobie pozostawił, jest bez wątpienia zespół pałacowo-parkowy w Antoninie „...wystawiony w kształcie ośmioboku, trzypiętrowy, z drzewa, wśród kniei bogatej we wspaniałe dęby i zwierzyne”, co możemy o nim przeczytać w wydany w 1880 roku „Słowniku Geograficznym Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich”.



Kościół pw. Matki Bożej Ostrobramskiej w Antoninie

Perła wśród kniei

Mimo wielu artystycznych talentów książę nie považył się na samodzielne zaprojektowanie pałacu. Zadanie to powierzył innemu człowiekowi renesansu doby romantyzmu, jednemu z najwybitniejszych architektów klasycyzmu w Niemczech – Karlowi Friedrichowi Schinklowi. On również malował, a także ilustrował książki, projektował meble i dekoracje teatralne. Schinkel, który wcześniej zaprojektował na przykład pałac dla rodziny von Treskow w Owińskach, właśnie wkraczał w najlepszy okres swojej twórczości i z zadania wywiązał się przednio. Wybudowany według jego koncepcji pałac myśliwski jest jedną z najbardziej oryginalnych XIX-wiecznych budowli rezydencjonalnych w dzisiejszej Polsce i historyczną perłą kultury Parku Krajobrazowego Dolina Baryczy. Robi wrażenie z zewnątrz, ale zwłaszcza od środka zachwyca, głównie za sprawą centralnego ośmiobocznego holu z imponującą kolumną z trofeami myśliwskimi. Dziś znajduje się w nim restauracja, a cały pałac jest trzygwiazdkowym hotelem.

Projektant pałacu nie był przywiązany do jednego stylu w architekturze. Wśród jego dzieł są zarówno typowe klasycystyczne budowle, inspirowane starożytną Grecją, jak i na przykład neogotyckie. Jednak pałac w Antoninie wymyka się jednoznacznej klasyfikacji. Budowla na planie krzyża greckiego wzniesiona została na fundamentach z cegieł i rudy darniowej, pomalowanych – jak cały pałac – w barwie ochry. Wypełnione cegłą ściany w konstrukcji szkieletowo-ryglowej są oszalowane modrzewiowymi belkami i sprawiają wrażenie całkowicie drewnianych.

Księżciu-namiestnikowi tak spodobała się nowa siedziba, że spędzał w niej nie tylko czas łowów, ale bywał w niej przez cały rok i wkrótce przeniósł do niej swą główną siedzibę. Wtedy też polecił wznieść kilka innych budynków, z których większość zachowała się do dziś. Wśród nich wyróżniają się budowle w modnym wówczas stylu szwajcarskim. Jednym z nich jest domek Wilhelma, postawiony dla syna Antoniego, innym – leśniczówka. W bezpośrednim sąsiedztwie pałacu stoją jeszcze dwa dawne budynki gospodarcze, czyli tak zwana ogrodówka oraz wozownia. Dziś w dawnej wozowni i stajni znajduje się sala konferencyjno-edukacyjna oraz punkt monitorowania lasów Nadleśnictwa Antonin, natomiast w ogrodówce zorganizowana została izba przyrodniczo-leśna. Do antonińskiego założenia należą również dwie budowle położone po wschodniej stronie traktu kalisko-wrocławskiego. Jedną z nich to dawna kaplica grobowa Radziwiłłów, w której pochowano Antoniego i jego ukochaną żonę Luizę, bratanicę Fryderyka, króla Prus. Duża rozmiarami – jak na mauzoleum – jest dziś kościołem, który wyglądem przywodzi na myśl raczej świątynie chrześcijańskie z Kaukazu niż naszej części Europy.

Życie muzyką

Jak inne pałace należące do 1939 roku do polskiej arystokracji, również Antonin został po wojnie znacjonalizowany. Przez prawie 30 lat należał do administracji Lasów Państwowych, która do dziś opiekuje się niektórymi budynkami kompleksu. Ten czas nie był dla pałacu zbyt łaskawy. To, że niszczący zabytek, postawiony przecież w znacznym stopniu z nietrwałego materiału, jakim jest modrzewiowe drewno, dotrwał do dziś w dobrym stanie, zawdzięczamy Jerzemu Waldorffowi, przejęciu pałacyku przez urząd konserwacji zabytków i przekształceniu go w dom pracy twórczej. Tego faktu natomiast nie sposób nie wiązać z osobą Fryderyka Chopina, który przecież dwukrotnie w Antoninie gościł. To dla upamiętnienia wizyt kompozytora Antonin stał się sceną festiwali chopinowskich, zainicjowanych w roku 1982, choć nieregularne koncerty odbywały się tu już kilka lat wcześniej. Dni Chopinowskie początkowo nie miały formy festiwalu. Faktycznie stały się nim pięć lat później, już pod funkcjonującą do dziś nazwą „Chopin w barwach jesieni”. Wydarzenie odbywa się co roku we wrześniu, trwa cztery dni i jest jednym z trzech festiwali chopinowskich w Polsce. Kameralne wnętrza antonińskiego pałacyku są jednak również sceną przez cały rok. Odbywają się tu między innymi recitale pianistyczne oraz koncerty jazzowe. O pobytach Chopina w Antoninie przypomina niewielki salonik muzyczny z instrumentami z epoki, obrazami i litografiami.

Wśród krajobrazów Łysej Góry



Sercem Żerkowsko-Czeszewskiego Parku Krajobrazowego jest niewątpliwie rezerwat Czeszewski Las. Ale czymże byłoby serce bez organizmu, dla którego bije!

Ten organizm najlepiej oglądać z Łysej Góry (161 m n.p.m.), będącej kulminacją Wału Żerkowskiego i najwyższym szczytem w promieniu kilkudziesięciu kilometrów, albo – co dużo łatwiejsze – z punktu widokowego znajdującego się przy szosie do Żerkowa. Widziano co prawda i wyższe szczyty niż Łysa Góra, i większe jeziora niż starorzecza Warty pod Czeszewem, ale miano Szwajcarii Żerkowskiej, jakie już w XIX wieku nadano tej ziemi, nieco jest tylko na wyrost...

W żerkowskiej arkadii

U stóp Łysej Góry rozłożyła się wieś Brzóstków, a trochę niżej Śmiełów. W obu miejscowościach wzrok przyciągają jasne fasady klasycystycznych budowli, wyglądem przywołujących grecką Arkadię. Bardziej znany i chętniej odwiedzany jest pałac



Kościół pw. Jana Chrzciciela w Brzostkowie



Pałac w Śmiełowie

w Śmiełowie, ale za pierwszoplanowego bohatera panoramy należy jednak uznać brzóstkowski kościół pw. św. Jana Chrzciciela, postawiony na stoku wysoczyzny i dobrze widoczny nie tylko z Łysej Góry, ale też z wielu innych miejsc Szwajcarii Żerkowskiej. Niczym latarnia stanowi swoisty punkt orientacyjny dla wędrowców.

Klasycyistyczna świątynia z charakterystycznym tympanonem wspartym na ośmiu jońskich kolumnach jest – nie tylko ze względu na położenie, ale też za sprawą sporych rozmiarów – dominantą krajobrazu, lecz w Brzóstkowie warto poszukać jeszcze jednego niezwykłego, choć mało znanego i trudno dostępnego zabytku. To spichlerz, który zobaczyć można, idąc drogą przez wieś. Jego konstrukcja nie ma odpowiednika w całej Polsce! Ponad 200 lat temu został on przebudowany w duchu romantyzmu – nadano mu wówczas wygląd średniowiecznej warowni z czterema narożnymi ceglanyimi basztami zwieńczonymi blankami. Żałując, że tak niezwykły budynek jest trudno dostępny dla osób z zewnątrz, zejdźmy niżej, by odwiedzić te popularniejsze, choć jednak mniej oryginalne budowle.

Do najstarszych należy gotycki kościół pw. NMP Wniebowziętej w Dębnie, ufundowany tuż przed śmiercią przez najznamienitszego obywatela tej wsi – Wincentego Kota herbu Doliwa, który był między innymi prymasem Polski i wychowawcą synów Władysława Jagiełły. Młodszy z nich, Kazimierza, osobiście koronował na króla. Świątynia, wybudowana niemal 600 lat temu, utrzymała swój gotycki charakter, a do najcenniejszych elementów jej wystroju należą ba-

rokowe, XVII-wieczne ołtarze boczne. I do Dębna zawitał w pierwszej połowie XIX stulecia klasycyzm – w postaci oryginalnej, wolno stojącej dzwonnicy, przypominającej raczej budynek bramny. Uważny obserwator dostrzeże u jej szczytu tajemniczego anioła śmierci. W Dębnie znajdziemy również tablicę upamiętniającą Adama Mickiewicza, który odwiedził w 1831 roku miejscowego proboszcza, a także zrujnowany dziś dwór, należący niegdyś do rodziny Mycielskich.

Z Mickiewiczem po Szwajcarii

Miejscem, które z naszym największym narodowym wieszczem najbardziej się kojarzy, jest oczywiście Śmiełów. Pałac tu zlokalizowany jest dziś siedzibą Muzeum Adama Mickiewicza, oddziału Muzeum Narodowego w Poznaniu, a niemal 200 lat temu gościł autora „Dziadów”, gdy ten po nieudanej próbie dołączenia do wygasającego już powstania listopadowego przebywał pod fałszywym nazwiskiem przez kilkanaście miesięcy w Wielkopolsce. Poeta odwiedził wówczas kilkadziesiąt dworów, zbierając doświadczenia, które potem wykorzystał między innymi w „Panu Tadeuszu”. Opowieść o kawiarence, Jankielu i wiele opisów przyrody to ponoć właśnie efekt tego pobytu. Swoją drogą dobrze się chyba stało, że autor naszej narodowej epepei zawrócił znad Proсны i nie rzucił się w wir wojny. Szablą władał z pewnością gorzej niż piórem i być może, zamiast „Pana Tadeusza” i III części „Dziadów”, mielibyśmy kolejnego tragicznego bohatera poległego na polu chwały.

Nie wiadomo dokładnie, w ilu miejscach Mickiewicz gościł. Wśród nich kilka było na terenach obecnie zajmowanych przez dwa parki krajobrazowe: im. gen. Dezyderego Chłapowskiego (Kopaszewo, Chorynia) oraz Żerkowsko-Czeszewski (Śmiełów, Komorze Przybysławskie, Dębno). W pałacu Gorzeńskich w Śmiełowie wieszcz przebywał trzy tygodnie, a kolejni właściciele majątku, Chełkowscy, po roku 1886 stworzyli tu ośrodek kultu uwielbianego poety, izbę muzealną, a w setną rocznicę jego pobytu postawili w pałacowym parku niewielki pomnik. Zdemolowany po II wojnie światowej pałac w Śmiełowie został z wielką pieczołowitością odrestaurowany i jest dziś prawdziwą perłą w rezydencjonalnej koronie Wielkopolski.

Poeci i patrioci

Oprawiony na kamiennym bloku medalion z wizerunkiem Mickiewicza w Śmiełowie nie jest jedynym w okolicy pomnikiem wystawionym polskim wieszczom narodowym. Po drugiej stronie Warty, w Miłosławiu, w dziewięćdziesiątą rocznicę urodzin i pięćdziesiątą rocznicę śmierci, w obecności około 360 gości za-



Pałac w Winnej Górze

proszonych imiennie przez właściciela pałacu w Miłosławiu, odsłonięty został pierwszy na ziemiach polskich monument poświęcony Juliuszowi Słowackiemu. Uwieńczona mową Henryka Sienkiewicza uroczystość była manifestacją patriotyczną, choć odbyła się w kameralnej scenerii miłosławskiego parku, na terenie prywatnym rodziny Kościelskich. A to dlatego, by władze pruskie nie mogły budowy i odsłonięcia pomnika zablokować. Józef Kościelski sam był poetą i niezwykle cenił twórczość autora „Kordiana”, a związki Kościelskich z literaturą są silne do dziś. Przecież nagroda ich imienia, przyznawana nieprzerwanie od 1962 roku młodym polskim twórcom, została ufundowana przez Monikę Kościelską.

Miłosław warto odwiedzić nie tylko z tego powodu. Miasteczko może się poszczycić również okazałym pałacem, wybudowanym na początku XIX wieku, a przebudowanym w latach 1843-1844 przez ówczesnego właściciela Seweryna Mielżyńskiego według własnego projektu. Trzy kilometry na zachód stoi bodaj jeszcze okazalszy pałac w Winnej Górze. Został on pobudowany na fundamentach wcześniejszego, w którym mieszkał Jan Henryk Dąbrowski, generał wojsk napoleońskich i postać występująca w naszym hymnie narodowym. W barokowym winnogórskim kościele spoczywają doczesne szczątki twórcy legionów polskich we Włoszech.

O pierwszych koźlakach, drewnianych wiatrakach



Nie budowano ich, lecz powoływano do życia. I nie po to, by działały i produkowały, lecz by chodziły, gadały i pracowały. Miały imiona i były traktowane jak członkowie rodziny. Siały niepokój, lecz bali się ich tylko obcy. Ten respekt przechodził zwykle na młynarzy, którzy na wsi mieli zupełnie wyjątkową pozycję.

Koźlaki są jednym z symboli Wielkopolski. Niegdyś powszechne, dziś stają się prawdziwą rzadkością. Choć są jednym z najważniejszych znaków tożsamości Wielkopolan, ich los nie przedstawia się w najjaśniejszych barwach. Wiatraki giną, są w coraz gorszym stanie technicznym, a niektóre w ostatnich latach po prostu przestały istnieć.

Pojawiły się w naszym regionie w XIV wieku. Były to koźlaki – wiatraki najprostsze i najprymitywniejsze. Ich konstrukcja nie zmieniła się właściwie do czasów współczesnych. I mimo postępu technicznego oraz wypracowania innych typów wiatraka, w Polsce nigdy nie oddały pierwszeństwa. W XVIII stuleciu mieliśmy ich w naszym kraju około 20 tysięcy. Do dziś przetrwało około 500, lecz ich liczba nieubłaganie się zmniejsza, a wiele jest w ruinie. Najwięcej koźlaków zachowało się w Wielkopolsce, co w dużej mierze zawdzięczamy Feliksowi Klaczyńskiemu, który pierwszy podjął się ratowania wiatracznego dziedzictwa Polski. Pochodzący z Mikstatu inżynier budownictwa i pasjonat wiatraków zapoczątkował akcję ich inwentaryzacji.

Koźlak, paltrak i holender

Większość polskich wiatraków to koźlaki, czyli drewniane konstrukcje wsparte na koźle. Koźlak – podobnie jak paltrak, ale inaczej niż holender – obracany jest w stosunku do kierunku wiatru w całości. Jest to konstrukcja raczej krucha, podatna na uszkodzenia, nie może pracować przy silnym wietrze. Zdarza się, że pal, który jest główną częścią koźła i na którym wsparta jest konstrukcja, łamie się. Częściej jednak wiatr i opady atmosferyczne nie oszczędzają śmigieł i w oszalowaniu ścian wyszarpują rany. Jednak największą tragedią dla koźlaka jest pożar. Jak ten z 2014 roku w Racocie, gdzie spłonął wyjątkowy wiatrak z 1809 roku.



Wzgórze z wiatrakami w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach

Paltraki pod względem konstrukcji są bardzo podobne do koźlaków. W XIX wieku, gdy rozpowszechniły się na ziemiach polskich, czasami przerabiano je z koźlaków. Różnica między nimi polega na tym, że w wypadku paltraków cały budynek wspiera się nie na kruchym koźle, lecz na szynie z rolkami, biegnącej po całym obwodzie ścian wiatraka. Taka konstrukcja jest znacznie stabilniejsza, bowiem ciężar jest równomiernie rozłożony. Paltrak jest też efektywniejszy, jednak jego budowa, jak i eksploatacja są droższe.

Trzecim rodzajem jest wiatrak słupowy, czyli holender. Pierwsze konstrukcje tego typu, podobnie jak paltraki, powstały w Niderlandach i zostały rozpowszechnione przez pochodzących stamtąd osadników. Holendra rozpoznamy bardzo łatwo. W przeciwieństwie do dwóch pozostałych typów obracana jest wyłącznie głowica (czapa) budowli, zatem dolna jego część zwykle bywa murowana.

Najstarszy w Polsce

Najwięcej wiatraków znajduje się na terenie Lednickiego Parku Krajobrazowego, ale tylko jeden z nich – w Rybitwach – został tu wybudowany. Pozostałe przeniesiono z innych miejscowości w Wielkopolsce. Najbardziej rozpoznawalna jest malownicza grupa trzech koźlaków stojących na Wzgórzu Wiatracznym w Moraczewie przy

drodze z Gniezna do Pobiedzisk. Wszystkie zostały tu przeniesione w latach 60. XX wieku w ramach zagospodarowania Szlaku Piastowskiego. Otoczono je wysokim ogrodzeniem i nie są udostępnione dla turystów. Grupa trzech wiatraków stoi również w Wielkopolskim Parku Etnograficznym w Dziekanowicach. Każdy z nich reprezentuje inny typ, a wizyta w skansenie jest świetną okazją, by uchwycić różnice między koźlakiem, paltrakiem i holendrem. W tak zwanym małym skansenie naprzeciwko Ostrowa Lednickiego znajduje się natomiast prawdopodobnie najstarszy wiatrak w Polsce. Wryta na mącznicy (jednym z elementów konstrukcyjnych) data 1585 wydawała się nieprawdopodobna, jednak przeprowadzone kilka lat temu badania dendrochronologiczne potwierdziły wiek obiektu. Pierwotnie ten drewniany wiatrak stał w Gryżynie, na skraju obecnego Parku Krajobrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego. Dziś – po spaleniu się wiatraka w Racocie – jedynym na terenie tego parku jest dwustuletni, niszczący i od lat nieremontowany koźlak w Jerce. Poza nim zachowały się także szczątki koźlaka w Nochowie. Obumiera również wiatrak w Rybitwach. Kilka lat temu stracił śmigła, od tego czasu z rany po utraconych skrzydłach z wyrzutem wychyla się fragment mechanizmu (wału skrzydłowego).

Uchronić przed ruiną

Znacznie lepsza – przynajmniej z zewnątrz – jest kondycja zagospodarowanych wiatraków, które należą do prywatnych właścicieli i zostały zaadaptowane na pomieszczenia mieszkalne. Jeden z nich stoi w Ostrowie nad Jeziorem Powidzkim, natomiast drugi, o imieniu Stanisław, w Brennie (Przemęcki PK). Jest to dom wakacyjny z dwoma sypialniami i jedenastoma miejscami noclegowymi. Jednak najlepszym przykładem wzorcowo odrestaurowanego koźlaka jest Szczepan z Budziszławia Kościelnego. Budziszławski wiatrak imię swoje zawdzięcza ostatniemu właścicielowi, Szczepanowi Mrówczyńskiemu, który w 1926 roku sprowadził ten wybudowany w 1858 roku obiekt z Kościana. Szczepan mełł zboże do lat 70. ubiegłego wieku, potem, jak większość wielkopolskich wiatraków, niszczał. W 2011 roku wyremontowano go i udostępniono do zwiedzania. Tuż obok wybudowana została tak zwana chata młynarza, w której przestrzeń znalazła filia biblioteki gminnej wraz z Izbą Pamięci Wsi, Młynarstwa i Rolnictwa. Wiatrak jest największą i najwartościowszą częścią ekspozycji. Dziś Szczepan to jedna z wizytówek gminy i kulturalne centrum okolicy. Po remoncie zyskał nowe oszalowanie, ale całe jego wyposażenie jest historyczne. Imponuje w nim zwłaszcza oryginalne podwójne koło pałeczne.



Podróż w świat młynarstwa

O przybyciu 12 cysterek z Trzebnicy do Owińsk



Kiedy dokładnie zamieszkały w Owińskach? Czy na pewno było ich 12? I dlaczego przybyły z Trzebnicy? Na każde z tych pytań istnieje kilka odpowiedzi.

O początkach owińskich cysterek wiemy niewiele, gdyż po kasacie klasztoru ukryto przed Prusakami jego archiwum tak skutecznie, że do dziś nieznane są jego dalsze losy. Pewne jest natomiast, że w połowie XIII wieku – jak pisał Jan Długosz – „Książę wielkopolski i poznański Przemysł I, chcąc się przyczynić do pomnożenia chwały Bożej w swoich księstwach, zakłada w swojej wsi książęcej Owińsku, położonej nad rzeką Wartą, klasztor mniszek reguły cysterskiej i buduje z cegieł zarówno kościół, jak klasztor i mieszkania dla siostr”.



Ogród przy ośrodku dla dzieci niewidomych w Owińskach. W tle kościół pw. św. Jana Chrzciciela



Kopuła w kościele pw. św. Jana Chrzciciela w Owińskach

Przepraszam, dziękuję, proszę

Zapewne najpierw postawiono klasztor, a dopiero później – choć prawdopodobnie jeszcze w trakcie budowy – wprowadziły się do niego zakonnice. Niemal na pewno było ich 12, bo taka była cysterska zasada zasiedlania nowych miejsc. Liczba 12 uważana była za doskonałą, jednak nie uwzględniano w niej ksieni, tak jak w liczbie apostołów nie liczonego Jezusa. A dlaczego cysterki przybyły z odległej Trzebnicy, a nie na przykład z wielkopolskiego Ołoboku?

Powodów mogło być kilka. Po pierwsze, żona Przemysła I Elżbieta przed zamążpójściem przebywała w klasztorze w Trzebnicy. Jeśli złożyła śluby zakonne – a część źródeł mówi o porwaniu jej z klasztoru – książę mógł w ten sposób odkupić swój grzech. Ale książę mógł też fundacją owińskiego konwentu podziękować za ustanie wojen z Piastami śląskimi i odzyskanie południowej Wielkopolski. Mógł również prosić tym sposobem o dalsze łaski, syna i przychylność stanu duchownego. Który z tych powodów przeważył, trudno dziś dociec.

Dobre czasy, złe czasy

Cystersi byli zakonem kulturotwórczym. Zmieniali krajobraz przyznanej im, zwykle nieurodzajnej i nieco zapomnianej przez ludzi ziemi. Ponoć na zboczach

Dziewiczej Góry cysterki hodowały larwy czerwca polskiego, które służyły im do wyrobu barwnika do tkanin. Od nich swą nazwę wziął podobno Czerwonak. Wieś Potasze była zaś miejscem wyrobu potażu, składnika niezbędnego do wyrobu szkła i przedmiotów ceramicznych, w produkcji mydła, środków piorących i farb, a także do wypieku pierników.

Dobra cysterek rozciąły się po obu stronach Warty, obejmowały niemal cały obszar puszczy, jednak centralnym punktem były Owińska z murowanym klasztorem. Z tamtych budynków zostało do dziś niewiele. W trudnych dla zakonów czasach reformacji nastąpił kryzys powołań, liczba zakonnice znacznie spadła, a te, które zamieszkiwały w Owińskich, nie tak gorliwie jak poprzedniczki modliły się i pracowały. Gotyckie mury, które wiele widziały, postanowiono zastąpić barokowymi.

W 1728 roku świat ujrzał nowe, znane do dziś oblicze owińskich włości, ze zwieńczonym okazałą kopułą barokowym kościołem pw. św. Jana Chrzciciela. Warto wejść do środka. Wnętrze jest bogato zdobione, choć już nieco przyblakłe i aż prosi się o renowację. Duże wrażenie robi zwłaszcza polichromia na sklepieniu kopuły. Jej autorem jest znany z innych dzieł na terenie Wielkopolski franciszkanin Adam Swach, którego najstynniejszym dokonaniem jest – nie ze względów artystycznych jednakże – znajdujący się w poznańskim kościele pw. Najświętszej Krwi Pana Jezusa fresk ilustrujący czarną legendę o Żydach profanujących hostię.

Królestwo tyflogii

Niedługo cysterki cieszyły się odnowionym i przebudowanym klasztorem. Na początku XIX wieku Prusacy dokonali kasaty tego i innych zakonów na ziemiach polskich. W pocysterskich murach miejsce znalazł zakład dla umysłowo chorych, który działał do wybuchu II wojny światowej. Po niej, w 1952 roku, założono tu zakład dla dzieci niewidomych, który jako Specjalny Ośrodek Szkolno-Wychowawczy dla Dzieci Niewidomych działa do dziś. W 2012 roku założono tu piękny i ogólnie dostępny Park Orientacji Przestrzennej, który z lotu ptaka wygląda jak wymyślny ogród francuski. Ma on jednak przede wszystkim służyć rehabilitacji i rewalidacji podopiecznych Ośrodka. Dzieci i młodzież poznają i uprawiają tu także rośliny, a w tak zwanej zwierzętarni mogą dotykem poznawać między innymi borsuka czy jelenia. Dostępne dla wszystkich, choć bez stałych godzin otwarcia, jest też Muzeum Tyflogiczne, w którym gromadzone są przedmioty związane z edukacją niewidomych, na przykład jedna z największych w Europie kolekcja trójwymiarowych map.



Ślady po wsi Dzwonowo. Żółte, wyższe zboże rośnie tam, gdzie stały budynki

Nieudane cywilizowania próby

W Parku Krajobrazowym Puszcza Zielonka lasy zajmują aż 78 procent powierzchni. Ale nie zawsze tak było. W średniowieczu zupełnie inny był układ szlaków komunikacyjnych i inna sieć osadnicza. Znaczną część terenu, na którym dziś rosną okazałe sosny, modrzewie czy dęby, w przeszłości zajmowały pola uprawne i łąki. Co najmniej od czasu sprowadzenia do Owińsk cysterek próbowano bowiem ujarzmić puszcę. Pamiątką po nich są między innymi dwa niegdysiejsze miasta, dziś będące maleńkimi, ukrytymi pośród lasów wioskami.

Jedno z nich to położony nad rzeczką Trojanką Głębocek, który prawa miejskie uzyskał w 1458 roku, ale już od 1580 występuje w źródłach jako wieś. O jego miejskiej przeszłości przypomina głąz upamiętniający wysłanie przez mieszczan rycerza na wojnę z Krzyżakami. W XIV wieku miastem nazywano również położone kilka kilometrów na północ Dzwonowo. Nie zachował się dokument lokacyjny, a że nie było też widocznych śladów po miejscowości, wiedza o dawnych czasach nie owocowała powszechną świadomością czy chociażby głązem pamiątkowym jak w Głębocku. Dopiero w 2014 roku Marcin Krzepakowski, archeolog zajmujący się odkrywaniem zaginionych miast, zwrócił uwagę na widoczne na zdjęciach lotniczych cienie na polach Dzwonowa. Mogły one świadczyć – i jak się wkrótce okazało, było to słuszne przypuszczenie – o istnieniu pod powierzchnią ziemi pozostałości budynków dawnego miasta. Dziś ten fakt jest już dobrze udokumentowany, a mieszkańcy wsi z dumą mówią o swej odległej przeszłości. Ślady najłatwiej zobaczyć w czasie suszy – zboże rosnące na miejscach niegdysiejszych budynków jest wyższe i dorodniejsze.

W kojącym cieniu zadrzewień



Kiedy było trzeba, dobywał broni albo chwycił za... pług. Jego ojciec był utracjuszem, lecz on potrafił nie tylko podnieść z ruin rodzinny majątek, ale uczynić go wzorem dla innych, a przy okazji – bez intencji, czy jednak na pewno... – położyć podwaliny pod park krajobrazowy nazwany jego imieniem.

Ojciec wybrał dla niego karierę w wojsku pruskim. On jednak całe życie walczył o Polskę – najpierw u boku Napoleona, potem w powstaniu listopadowym, podczas którego doszedł do stopnia generalskiego. Jednak polem jego batalii była przede wszystkim rola, bo – jak ponad 120 lat temu pisał jego biograf ks. Walerian Kalinka: „[...] wiedział jasno, że tylko przez ulepszenie rolnictwa i podniesienie ludu wiejskiego można jeszcze naród ocalić”.

Do Turwi przez Borodino

Dezydery Chłapowski po odwrocie wojsk napoleońskich spod Moskwy wrócił do Turwi, by na zawsze odmienić nie tylko swoją posiadłość, ale również całe wielkopolskie rolnictwo. Miał w sobie dużo pokory. Wiedział, że jako żołnierz ma niewielkie pojęcie o rolnictwie. Radził się okolicznych ziemian, ale oni podawali mu



Okolice Turwi w Parku Krajobrazowym im. gen. Dezyderego Chłapowskiego



Posiadłość Chłapowskich w Turwi

wyłącznie „sprawdzone” metody. Tymczasem on potrzebował czegoś więcej. Jego ojciec, Józef Chłapowski, żył prawdziwie po pańsku, nie mając na to środków, i konsekwentnie doprowadzał rodzinę do bankructwa. Dezydery, który przez krótki czas przebywał w Anglii, zobaczył tam, że można gospodarować lepiej, osiągając wyższe plony. Wrócił więc do Wielkiej Brytanii, by przez 18 miesięcy zgłębiać tajniki – jak sam je określał – „rolnictwa angielskiego”. Przyjechał stamtąd z wiedzą o nowych technikach upraw, z nowymi maszynami i pewnym Szkotem, który jak nikt umiał je obsługiwać. Przejął zadłużony majątek i dogadał się z wierzycielami. Nie wiadomo, czy ci zgodzili się na warunki niedoświadczonego rolnika z rozsądku czy z desperacji, czy też sądząc, że wkrótce i tak przejmą zadłużoną Turwę. Wątpliwości musiało być sporo. „Wielkie zdziwienie wywołało u sąsiadów, że w Turwi sieją trawy, koniczynę zamiast zboża, że pola ogradzają żywymi płotami, że na nieużytkach sadzą drzewa; nic podobnego w Polsce nie widziano, mówiono tedy, że pułkownik zwaryował i starano się wpłynąć na starostę, by syna przywiódł do opamiętania i zapobiegł jego ruinie” – pisał ksiądz Kalinka.

Dezydery Chłapowski sprowadził na ziemię polskie nowe rasy bydła, owiec, nieznaną wcześniej odmianę roślin uprawnych, spopularyzował koniczynę i wprowadził stosowany do dziś płodozmian, zamiast archaicznej trójpolówki.

Jednak na krajobraz jego włości najbardziej wpłynęło to, jak pan na Turwi walczył z osuszaniem i erozją gruntów poprzez nasadzanie zagajników i szpalerów drzew, a także tak zwanych żywych płotów. Te ostatnie sadzono z wszelkich krzewów, które można było przycinać, ale szczególnie nadawał się do tego głóg.

„Odcinanie zatem klinów dla pól wyprostowania i zasadzenie ich drzewami dla zasłony, zmniejszy wprawdzie pola, ale ułatwiając uprawę, użyźnienie, robotę i zarząd cały, pomnoży zbiory a osobiwie czystą intratę” – tłumaczył w swym dziele „O rolnictwie”, które napisał, odsiadując w szczecińskiej twierdzy roczny wyrok po powstaniu listopadowym. Z książki tej wynika, że Dezyderemu Chłapowskiemu bliski był zarówno aspekt ekonomiczny, jak i estetyczny. Chciał też dzielić się swoją wiedzą ku powszechnej korzyści. „W Anglii i Szkocji tym sposobem uporządkowane pola nadają tym krajom postać angielskiego ogrodu. Nie dla samej tylko piękności życzylibym widzieć takie rolnictwo u nas zaprowadzone, ale także dla wielkich korzyści, które z niego wypływają” – pisał. Wiele uwagi poświęcał również melioracji. Jednak nie osuszaniu bagien, jak zaznaczał, ale prawidłowej gospodarce wodnej, pozwalającej na jak najlepsze wykorzystanie ziemi. Nie walczył z przyrodą, lecz szedł z nią na układ, oddając jej, co należne, i czerpiąc z tej „współpracy” korzyści.

Nie tylko przyroda

Dezydery Chłapowski przebudował też w nowym duchu postawiony w drugiej połowie XVIII wieku pałac w Turwi, w którym mieści się dziś Stacja Badawcza Instytutu Środowiska Rolniczego i Leśnego Polskiej Akademii Nauk. Któreż inne miejsce byłoby odpowiedniejsze dla takiej instytucji? Pionier pracy organicznej w Wielkopolsce od wykwintnego baroku wołał surowy neogotyck, od sztucznego ogrodu francuskiego – naturalny park angielski, a od kartusza herbowego – pozytywistyczny zegar. Najbardziej widoczną pamiątką po przebudowie jest charakterystyczna neogotycka kaplica dobudowana do głównego budynku pałacu, będąca świadectwem głębokiej religijności rodziny Chłapowskich.

Jakże wielkim wstrząsem musiało być zatem samobójstwo ukochanej córki Zofii, chorującej na depresję. Jednak nawet to tragiczne zdarzenie wydało piękne owoce. Gdy Zofia odebrała sobie życie, jej mąż Jan Koźmian ufundował drogę krzyżową, która miała stać się upamiętnieniem żony i próbą przebłagania za jej grzech. Trudno było „tak świętą” inwestycję przeprowadzić w celu uczczenia samobójczyni, jednak Jan wystarał się u papieża o stosowne pozwolenie. Kaplicz-



Pałac w Racocie

ki Kopaszewskiej Drogi Krzyżowej z płaskorzeźbami, które zostały zamówione w Paryżu, stoją przy polnych drogach pomiędzy Kopaszewem, czyli rodzimym majątkiem przekazany siedem lat wcześniej nowożeńcom przez Dezyderego Chłapowskiego, a parafialnym Rąbiniem, w którym znajduje się też nekropolia rodziny Chłapowskich, między innymi grób Dezyderego.

Nie tylko Turew

Komu nie przypadnie do gustu, bądź co bądź, dość przyciężki w formie pałac w Turwi, może znajdzie upodobanie w skromnym i lekkim pałacu w Konarzewie albo w najokazalszym i najbardziej znanym zabytku na terenie Parku Krajozrazowego im. gen. Dezyderego Chłapowskiego – zespole pałacowo-parkowym w Racocie. Racockie dobra mają bardzo ciekawą historię. Klasykistyczny pałac w barokowym założeniu wybudowano tu ćwierć wieku po posiadłości w Turwi. Krótce należał do rodziny Jabłonowskich, po czym został sprzedany Wilhelmowi Orańskiemu, późniejszemu królowi Niderlandów. W ręce polskie wrócił dopiero w 1919 roku, by dwa lata później stać się jedną z letnich rezydencji Prezydenta RP. Dziś mieści się w nim hotel i restauracja, a cały kompleks od 1928 roku jest siedzibą jednej z najstarszych w Polsce stadniny koni.

O kminie ochweśnickiej



Nieledwie dwie wiorsty od pruskiej granicy, na północnych kresach guberni kaliskiej, w słupeckim powiecie, w miasteczku Skulsk, nie więcej jak 56 dymów liczącym, mieszkańcy jego imali się niezwykłego rzemiosła, będąc w nim najbardziej biegłymi nie tylko w Królestwie Polskim, ale i bodaj w całym Cesarstwie Rosyjskim.

Byli obraźnikami lub – jak sami siebie nazywali – ochweśnikami. Malowali „święte obrazy” i sprzedawali je nad Wisłą, a gdy w 1850 roku zniesiona została granica celna między Królestwem Polskim a pozostałą częścią Imperium Rosyjskiego – także nad Niemnem, Dnieprem czy Oką. Mogli wówczas bez przeszkód docierać do najdalszych zakątków wielkiego państwa. Szczególnie upodobali



Pyrczok, czyli rodzaj baby ziemniaczanej

sobie tereny zamieszkane przez grekokatolików, choć widywano ich i w Petersburgu, i w Pskowie, i w Odessie. Wtedy też popyt na ich dzieła tak wzrósł, że wyodrębniła się osobna grupa obwoźnych handlarzy, którzy z kolei nie ograniczali się już do rozprowadzania skulskich obrazów, lecz dostarczali wszelkich dewocjonalistów i nie tylko. Oferta handlowa była szeroka, a niektórzy z ochweśników po założeniu sklepów gdzieś w dalekiej Rosji już do Skulska nie wracali.

Fabrykanci ze Skulska

Gdy jeszcze obraznicy sami musieli obrazy malować na płótnie – bo papier nadal nie nadawał się do tego, by taśmowo odbijać na nim ilustracje, a na staloryty niebogaci skulscy rzemieślnicy nie mogli sobie pozwolić – robili to w sposób niebywały. Pisał o nich 120 lat temu w miesięczniku etnograficzno-geograficznym „Wisła” Stanisław Górka: „Taki skulski fabrykant brał kawał płótna na kilkanaście łokci długi i na jaki łokieć, półtora szeroki, odmierzał na nim liczbę obrazów, znacząc szerokość każdego. Następnie na środku każdego odmierzonego kawałka płótna rozpoczynał rysunek twarzy Świętego lub Świętej. Ażeby sobie ułatwić rozmiar tego rysunku, przykładał drugi, trzeci i czwarty palec do płótna w ten sposób, że drugi i czwarty palec trzymał pionowo i w tych miejscach rysował oczy, zaś trzeci odsuwał jak najniżej i to była miara dla nosa. Następnie malował ten sam element tą samą farbą na wszystkich kawałkach płótna”. Tak wykonywanych obrazów nie można było wyprodukować zbyt wiele, a świętych w kalendarzu jest przecież co niemiara. Malowani święci – jeden podobny do drugiego – w zależności od potrzeby często odgrywali rolę raz tego, raz tamtego... Obraznicy natomiast nie byli wzorami cnót wszelakich. Nie dość, że święty z obrazka w razie potrzeby różne przybierał imię, to jeszcze ochweśnikom zdarzało się podawać za księży, a nawet udzielać sakramentów.

Tajemna mowa obrazników

Nie każdy musiał wiedzieć, o czym między sobą w takich sytuacjach rozmawiali. I nie każdy rozumiał, a raczej nie rozumiał nikt, gdyż posługiwali się mową, jakiej nigdzie poza wąskim środowiskiem ochweśników nie używano. Był to język oparty przede wszystkim na polskiej gwarze złodziejskiej, ale w swoim skromnym słowniku (około 800-1000 słów) mający wyrazy wzięte chyba z tuzina języków wschodniej i południowo-wschodniej Europy. Samo słowo „ochweśnik” pochodzi z języka rosyjskiego.

Początkowo posługiwali się tym żargonem wyłącznie obraźnicy ze Skulska, następnie jednak przejęli go również handlarze i szmuglerzy ze Ślesina, gdzie kmina ochweśnicka przetrwała do dziś. Na temat ślesinian można w XIX-wiecznej literaturze przeczytać wiele, delikatnie mówiąc, niepochlebnych opinii. Na otoczonych bagnami tak zwanych wyspach złodziejskich na Jeziorze Ślesińskim, które dziś są już tylko kępami suchej ziemi wystającymi ponad dno doliny, miały swe siedziby zbójnickie bandy napadające na podróżnych. Z tej to ponoć grupy wywodzą się ci, którzy następnie – gdy dzięki rozwojowi techniki drzeworytniczej i drukarskiej możliwe było znaczne zwiększenie produkcji obrazów – zajęli się ochweśnictwem.

Agaciarze ze Ślesina

Po I wojnie światowej obraźnictwo przestało być już tak dochodowe, aż w końcu zupełnie przeszło do historii. Przyczynił się do tego również miejscowy proboszcz, który nakazał parafianom usunąć wszelkie, wszak nieidealne, wizerunki świętych pochodzące ze skulskich warsztatów. Jednak dzięki handlarzom ze Ślesina specyficzny żargon przetrwał. Już w XIX stuleciu wielu z nich przerzuciło się na bardziej intratny interes, jakim był handel medykamentami oraz zwierzętami, zwłaszcza gęśmi. Kupowali je w zaborze rosyjskim, sprzedawali w pruskim. A żeby gęsi mogły pokonywać długie wiorsty do granicy pieszo, podkuwali je smołą i pierzem (więcej na ten temat w opowieści „Na wypasie” – s. 72). Takich przedsiębiorców nazywano agaciarzami, bo w kminie ochweśnickiej agatami bądź jagatami określano gęsi. Po II wojnie światowej agaciarze zostali natomiast pierzakami, gdyż zajmowali się handlem starym pierzem na zlecenie gminnych spółdzielni. Powiat koniński, a zwłaszcza gmina Ślesin, nie miały sobie w tej działalności równych w całym województwie, a pewnie i w Polsce.

Kto chciałby choć trochę poczuć lokalne klimaty, ale też usłyszeć kminę ochweśnicką, powinien pojechać we wrześniu do Ślesina na doroczny Jarmark Ochweśnicki. Odbywa się wówczas konkurs kminy, warto posmakować dań tutejszej kuchni, na przykład pyrczoka, opsypunki czy pierogów z gęsiną. Na ślesińskim rynku można też zobaczyć pomnik ochweśnika, choć raczej jest to agaciarz, gdyż pod pachą niesie – niepodkutą widocznie jeszcze – gęś. W Skulsku śladów po tych specyficznych handlarzach i ich kminie już nie ma. Jarmarki odbywają się w miasteczku co miesiąc, ale te ochweśnickie przejęli potomkowie mieszkańców wysp złodziejskich.



Pomnik agaciarza na rynku w Ślesinie

*Bartek z piekła - pustelnik
lasów włoszakowickich*



Choć na chrzcie dano mu na imię Jan, a po ojcu odziedziczył nazwisko Kowalewicz, nazywano go Bartkiem z piekła. Był barwną postacią, która przez 86 lat życia wrosła w krajobraz lasów włoszakowickich.

Mieszkał w samym środku dzisiejszego Przemęckiego Parku Krajobrazowego, na trudno dostępnym, nieurodzajnym i zabagnionym południowym brzegu jeziora Maszynek. Takie miejsca – niegościnne, odludne, ciemne, pełne kolczastych krzewów i pokrzyw – miejscowa ludność nazywała piekłami. Po jego zagrodzie dziś nie ma już śladu. Dom rozpadł się jeszcze przed jego śmiercią, a potem podobny los spotkał również stodołę, w której pod koniec życia sypiał na sianie. Nie zachował się również jego grób na cmentarzu w Brennie. W jego miejscu pochowano już inną osobę.

Przypomniane dziedzictwo

To wszystko nie znaczy jednak, że Bartek z piekła nic po sobie nie pozostawił. Zachowała się kronika, którą pisał od 19. roku życia, oraz niezwykle dzieło jego życia, czyli wznoszony mozolnie i systematycznie przez 20 lat kopiec na cześć prezydenta Stanów Zjednoczonych Woodrowa Wilsona. Przetrwała też pamięć o tym wyjątkowym człowieku, uratowana przed kilkunastoma laty przez prof. Kazimierza Stępczaka i Kazimierza Wolniczaka. Uratowana skutecznie, czego trwałymi śladami są między innymi szlak turystyczny, coroczne rajdy turystyczne 11 listopada i nazwa bagnistego południowowschodniego brzegu jeziora Maszynek w Państwowym Rejestrze Nazw Geograficznych – Bartek z Piekła.

Był dziwakiem, może nawet tak zwanym wiejskim filozofem. Kierował się mało dziś popularnymi ideami. Mimo niedostatku, nigdy o nic nikogo nie prosił. Tak rozumiał pojęcie godności. Przez 20 lat poświęcał swój czas, żeby wznosić kopiec będący wotum za niepodległą Polskę. Tak rozumiał pojęcie patriotyzmu. Przez większość życia mieszkał samotnie. Urodził się jako obywatel Królestwa Prus, zmarł tuż po zakończeniu II wojny światowej. Pod koniec życia wpadł w głęboką biedę. Na zachowanych fotografiach jest starym, niedołącznym mężczyzną w łachmanach, bez butów, z krzaczastą, siwą brodą i – jak sam mawiał – łąką na głowie, którą raz w roku kosił jego przyjaciel z dzieciństwa. To jednak bardzo niepełny i niesprawiedliwy obraz. Tak wyglądał w ostatnich latach życia – w czasie okupacji niemieckiej i tuż po niej. Wcześniej był przecież młodym człowiekiem, zaskakująco dobrze wykształconym, z szerokimi horyzontami, posługującym się kilkoma językami i bardzo starannym charakterem pisma. Tyle że nieco dziwnym, trochę innym...

Droga do piekła

Jako dziecko był bardzo zdolnym uczniem, chciał zostać nauczycielem, ale jego rodziców nie było stać na edukację syna. Został więc rolnikiem. A znał się na agrotechnice jak mało kto w okolicy. Niezwykle odczytany, wprowadzał nowe techniki upraw, szczególnie chętnie najmowano go do sadzenia drzew owocowych. Hodował też krowy i wyrabiał ser, bardzo ceniony przez kupujących. Właśnie po śmierci dwóch krów, spowodowanej wydanym przez Niemców podczas okupacji zakazem trzymania ich w rzekomo w zbyt niskim chlewie, popadł w największą biedę. Z Niemcami już od dawna miał zresztą na pieńku. Będąc jeszcze poddany niemieckiego cesarza, otwarcie deklarował się jako polski patriota. Prenumerował polskie gazety, zmuszając listonosza Niemca, który w dodatku domagał się czytania ewangelii w kościele w Brennie po niemiecku, do codziennych wizyt w jego odległym o kilka kilometrów od poczty piekle. A po odzyskaniu przez Polskę niepodległości przystąpił do usypywania kopca.

Jako człowiek nie tylko odczytany, ale i interesujący się otaczającą go rzeczywistością i rozumiejący procesy rządzące światem, uznał zapewne, że bez przystąpienia Stanów Zjednoczonych do I wojny światowej trwałaby ona dłużej i nie zakończyła się zwycięstwem ententy, a Polska – jeśli nawet wróciłaby na mapę Europy – mogła nie odzyskać lasów włoszakowickich i jego piekła.

Ora et labora

Ziemia, na której żył, leżała na pograniczu Wielkopolski i Śląska, żywiołu polskiego i niemieckiego. Traktatem wersalskim większość powiatu wschowskiego przyznano Niemcom, a granicę wyznaczono zaledwie trzy kilometry od jego chaty, pozostawiając po niemieckiej stronie między innymi Lgiń, do którego chodził do kościoła. Tamtejsza świątynia nie była jednak jedyną przez niego odwiedzaną. Na msze chodził przede wszystkim do Brenna i Włoszakowic, a czasem do oddalonego o 12 kilometrów Przemętu, z piękną trójnawową barokową bazyliką pw. Najświętszej Maryi Panny i św. Jana Chrzciciela, oraz do maryjnego sanktuarium w Wieleniu Zaobrzańskim. Obie te miejscowości w przeszłości należały do zakonu cystersów. A sam Bartek był trochę jak cysters, bliska mu była benedyktyńska dewiza *ora et labora* (módl się i pracuj). Czas spędzał na pracy, lekturze i modlitwie. Zmieniał krajobraz, użyźniając ziemię, niwelując okoliczne pagórki i wznosząc okazały kopiec. Zdarzyło mu się nawet utworzyć

niewielki staw, który zarybił, a z wikliny porastającej brzegi tego zbiornika wytwarzał kosze i inne przedmioty.

Po latach przyroda odebrała swoją własność. Na Kopcu Wilsona wyrósł las, a wiatr i woda nieco go zniwelowały. Wciąż jednak stoi, idealnie wtopiony w krajobraz jednego z najbardziej dzikich obszarów Przemęckiego PK, będąc jednak domem już nie dla Bartka z piekła, lecz między innymi dla padalców i jelonków rogaczy.



Drewniana rzeźba Bartka z piekła